

W obronie

Polkoju

PISMO, KTÓRE CZYTA CAŁY ŚWIAT

Nr 8 (38) Sierpień 1954 r. Cena zł 2,50

Pierre Cot: Pomyślna oznaka	2
C. Morgan: Wywiad z Kriszną Meno- nem	5
Charles Chaplin — przyjaciel ludzi	9
Spotkanie w Sztokholmie	17
J.-P. Sartre: Broń przeciw historii	24
P. Preiou: Od Sajgonu do Genewy	28
Jules Moch ostrzega	34
10.000 delegatów w Paryżu	39
Arystofanes	41
George Sand, Polska i Włochy	62
Hja Erenburg: Odwilż (I)	67
Gobeliny Jean Lurçat	73
Dr Saulnier: Niech żyją wakacje!	76
G. Cunnabon: Film „Sól ziemi“	82
Amatorzy pszczoł, ptaków i kwiatów	92
Iszi z plemienia Yahi	97
L. Arenal: Sztuka meksykańska	103
Laureat Leon Kruczkowski	108
K. Procter: Kobiety z Władysławowa	109
Sztuka polska na Biennale	112
Stefan Litauer: Fakty i komentarze	113
Kubryka filatelistyczna	123
Szachy	125

A.F.

Wydawca: POLSKI KOMITET OBRONCOW POKOJU

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 53

Telefony: Redaktor Naczelny 662-01

Sekretarz Redakcji 65-184

Godziny przyjęć: 13 — 15

Administracja: W-wa, ul. Wiejska 12, tel. 824-11.

Warunki prenumeraty: kwartalnie	— 7,50 zł
półrocznie	7 15,00 zł
rocznie	— 30,00 zł

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy

Ekspedycja Centralna: Srebrna 12.

Drukarnia RSW „Prasa”, W-wa, al. Jerozolimskie 125

Wszelkie reprodukcje naszych tekstów i ilustracji są dopuszczalne tylko za podaniem źródła: „W Obronie Pokoju”

» W OBRONIE POKOJU «



Większość artykułów pochodzi z miesięcznika:

DEFENSE DE LA PAIX

33, rue Vivienne — Paris II — Tel. CEN 49-27, 49-28

pod redakcją PIERRE COTA

deputowanego do francuskiego parlamentu

oraz

CLAUDE MORGANA, literata i publicysty

KOMITET DORADCZY:

Dr ATAL (Indie), *prof. Uniwersytetu*, JOSE BERGAMIN (Hiszpania) *pisarz katolicki*, IZABELA BLUME (Belgia) *deputowana specjalistyczna*, GEORG BRANTING (Szwecja) *deputowany socjalistyczny*, ILJA ERENBURG (ZSRR), *pisarz*, Gen. ERIBERTO JARA (Meksyk) *b. minister*, MAHDI JAWAHIRI (Irak) *poeta*, LEON KRUCZKOWSKI (Polska) *przewodn. Zw. Literatów Polskich*, MAO DUN (Chiny) *przewodn. Zw. Literatów Chińskich*, CESA NABARAOUI (Egipt) *dziennikarka*, PIETRO NENNI (Włochy) *b. minister*, MARIA ROSA OLIVER (Argentyna) *literatka*, LUIGI RUSSO (Włochy) *krytyk*, GORDON SCHAFFER (W. Bryt.) *publicysta*, ARNOLD ZWEIG (Niemcy) *pisarz*.

PIERRE COT

ZASADĄ naszego miesięcznika jest nie zajmowanie się problemami polityki wewnętrznej. Jeżeli poświęcamy dzisiaj znaczną część naszego artykułu wstępnego niedawnemu kryzysowi rządowemu we Francji, to jedynie ze względu na międzynarodowy oddźwięk, jaki wydarzenie to musiało wywołać.

Francuska polityka zagraniczna przybierze nowy obrót, — lub co najmniej skieruje się ku nowym drogom. A stanowisko Francji na szachownicy światowej jest tego rodzaju, że wszelka zmiana jej polityki wpływa na równowagę sił, od których w ostateczności zależy bądź bieg ludzkości do nowej wojny, bądź też utrwalenie pokoju.

Jak przedstawia się — jedynie z punktu widzenia polityki międzynarodowej — upadek gabinetu Laniela i utworzenie gabinetu Mendès France'a?

* * *

Zauważmy przede wszystkim, że gabinet Laniela został obalony w wyniku jego polityki zagranicznej. Pokonanym w tym kryzysie był w mniejszym stopniu Laniel, osobistość nie zwracająca szczególnej uwagi, aniżeli minister spraw zagranicznych — Georges Bidault.

Francuska opinia publiczna oceniła, że postawa Bidault na konferencji genewskiej umniejszała szanse pokojowego uregulowania wojny w Wietnamie i groziła doprowadzeniem do „internacjonalizacji”, lub raczej do „amerykanizacji” konfliktu, w czym kryło się wielkie niebezpieczeństwo. Obalając rząd, Zgromadzenie Narodowe wyraziło wolę olbrzymiej większości narodu francuskiego.

W rezultacie ludzie, którzy od dziesięciu lat wytyczali szlaki i kierowali polityką zagraniczną Francji, zostali usunięci od władzy. Najbardziej zagorzałymi zwolennikami polityki siły w Azji i „europejskiej wspólnoty obronnej” w Europie byli w łonie gabinetu Laniela — Bi-

dault, Plevén i Teitgen. Ludzie ci utrzymali pewne wpływy we francuskim parlamencie, ale wpływ ten zmalał i nie wchodzi już w skład rządu.

Co więcej — od zakończenia wojny tękę ministra spraw zagranicznych trzymał w swoich rękach niemal bez przerwy członek Mouvement Républicain Populaire, francuskiego stronnictwa chrześcijańsko-demokratycznego, którego powiązania z Watykanem są powszechnie znane. Stronnictwo to znajduje się dzisiaj w opozycji. Przyjaciele dr Adenauera i de Gasperiego nie rządzą już dzisiaj na Quai d'Orsay (siedziba francuskiego MSZ w Paryżu).

Wreszcie, by dobrze zdać sobie sprawę, jak dalece przekształca się francuska polityka zagraniczna, trzeba jeszcze zauważyć, że Komisja Spraw Zagranicznych i Komisja Obrony Narodowej Zgromadzenia Narodowego opowiedziały się obie przeciw „europejskiej wspólnotie obronnej” i za odrzuceniem układów z Bonn i Paryża, uchwalonych przez Bidault i jego poprzedników z Mouvement Républicain Populaire.

Zbadajmy po drugie pozytywne strony tego kryzysu, lub raczej jego rezultaty.

W nowym rządzie Pierre Mendès-France jest nie tylko premierem, ale także ministrem spraw zagranicznych. On przeto będzie obecnie prowadził w imieniu Francji rokowania w Genewie.

Otóż poglądy jego na wojnę w Wietnamie znane są przez wszystkich, zarówno za granicą, jak i we Francji. Wobec Zgromadzenia Narodowego nowy premier zobowiązał się uczynić wszystko, by zakończyć wojnę w Wietnamie w przeciągu czterech tygodni na drodze kompromisu. Jeżeli mu się to nie powiedzie,łoży na ręce prezydenta Republiki dymisję swojego gabinetu. Jak powiedział, „postawił na pokój” i to na pokój osiągnięty w ciągu jednego miesiąca.

Wynikają z tego dwie ważne konsekwencje. Pierwsza, że Mendès-France bardziej aniżeli ktokolwiek inny zainteresowany jest w szybkim osiągnięciu rezultatów w Genewie. Po drugie, jego azjatyccy rozmówcy są w tym samym zainteresowani.

Gdyby premierowi Mendès-France nie powiodło się, mogłyby po wrócić do władzy stare kadry, które usunął. W Zgromadzeniu Narodowym, nie będącym — niestety — obrazem francuskiej opinii publicznej — niektórzy z tych, którzy dzisiaj aprobują usiłowania Mendès-France'a, zgodziliby się jutro, gdyby usiłowania te nie powiodły się, na „internacjonalizację” konfliktu. Pokój i odprężenie sytuacji międzynarodowej znalazłyby się w niebezpieczeństwie. To niebezpieczeństwo umieją ocenić uczestnicy rokowań w Genewie.

Analogiczne uwagi dotyczą zagadnienia „europejskiej wspólnoty obronnej”. Niektóre tezy Mendès-France'a bardzo się różnią od tych, jakich broni francuski Ruch w Obronie Pokoju. Ale i tutaj dostrzegamy zmianę i niewielki postęp. Nowy prezes rady ministrów uznaje, że francuski parlament nie może uchwalić „europejskiej wspólnoty obronnej” w jej obecnej formie.

Mendès-France proponuje, aby po przeprowadzonej na szeroką skalę debacie parlamentarnej przedłożyć „alternatywne rozwiązanie” sygnatariuszom paktu atlantyckiego pod rozważę i dyskusję. Wszystko to zajmie dużo czasu i umożliwi odbycie konferencji międzynarodowych,

które prawdopodobnie nie ograniczą swojego składu do mocarstw zachodnich.

Znowu postawiony zostanie problem europejskiego bezpieczeństwa zbiorowego. Procedura zgodna z koncepcją premiera Mendès-France'a nie jest z całą pewnością w pełni zadowalająca. Ale odgrywa rolę kuba zimnej wody, wylanej na zniecierpliwienie rządu Stanów Zjednoczonych i ambicje kanclerza Adenauera.

* * *

Powyższe uwagi pozwalają ocenić rolę, jaką odegra według wszelkiego prawdopodobieństwa premier Mendès-France w ewolucji polityki francuskiej i — tym samym — w sytuacji międzynarodowej.

Niektórzy z jego przeciwników określili go jako „neutralistę”. Jest to — niestety — nieścisłe. Mendès-France zamierza pozostać wierny paktowi północno-atlantycznemu. Pragnie jednak odegrać w tonie koalicji atlantyckiej rolę łagodzącą i pojednawczą.

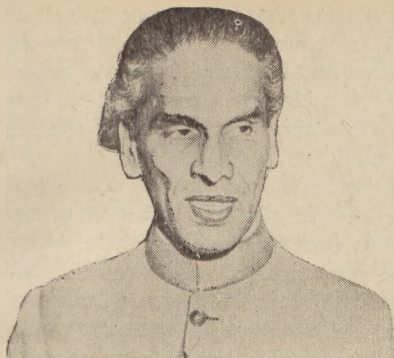
Mendès-France nie chce, aby Francja była zwykłym pionkiem na szachownicy Stanów Zjednoczonych. Polityka zagraniczna Francji zbliży się do polityki rządu brytyjskiego i tym samym wyraźnie odciąć się będzie od polityki USA.

Przez swoje pochodzenie, swoje wychowanie i poglądy premier Mendès-France jest konserwatystą, ale konserwatystą inteligentniejszym od wielu innych. Nie żądamy od niego tego, czego nam dać nie może.

W szczególności winniśmy zwrócić uwagę na tę dziecinną koncepcję, jaką jest pogląd, że można by uregulować problemy polityki zagranicznej z poszanowaniem suwerenności narodowej, odnosząc się nieprzychylnie do tych, którzy bronią pokoju i odmawiając oparcia się na francuskiej klasie robotniczej.

Oceniamy jednakowoż z zainteresowaniem wysiłki, zmierzające do wydobywania Francji z utartej koleiny, na którą wywiedli i na której trzymali ją poprzednicy obecnego premiera.





Wywiad z **KRISZNĄ MENONEM**

*doradcą rządu Indii, nadzwyczajnym
wysłannikiem premiera Nehru na kon-
ferencję genewską.*

CLAUDE MORGAN

W ŚRÓD komunikatów, wywieszanych na tablicy informacyjnej w Maison de la Presse (Domu Prasy) w Genewie, można było codziennie znaleźć wiadomość, że Kriszna Menon kolejno rozmawiał z ministrami: Edem, Mołotowem, Czou En-laiem, Bidault, jak również z przedstawicielami Wietnamskiej Republiki Demokratycznej i Państw Stowarzyszonych.

Ten wielki dyplomata, bliski przyjaciel i doradca premiera Nehru, rozwijał nieustanną aktywność na rzecz rokowań. Mimo że Indie nie są reprezentowane na konferencji, odgrywają jednak poważną rolę. Występują one w Genewie — według określenia jednego z brytyjskich delegatów, wypowiedzianego w kula-

rach Pałacu Narodów — jako szóste wielkie mocarstwo.

Jak więc przedstawia się w rzeczywistości polityka zagraniczna Indii?

Nasz miesięcznik przywiązywał zawsze jak największe znaczenie do pokojowych wysiłków premiera Nehru. Toteż skorzystaliśmy z nadarzającej się w Genewie sposobności, by zwrócić się do nadzwyczajnego wysłannika premiera Nehru, Kriszny Menona, z prośbą o wyłożenie głównych zasad i celów tej polityki zagranicznej rządu hinduskiego.

W ciągu rozmowy, jaką odbyliśmy w salonie Hotel des Bergues, Kriszna Menon kładł nacisk na to, iż ogólna linia polityki hinduskiej jest bardzo prosta i trzyma się z daleka od wszelkiego dyplomatycznego macchiavellizmu.

Polityka ta odpowiada narodowym dążeniom narodu hinduskiego, czyli — ściślej mówiąc — postawa rządu hinduskiego wyraża się w rzutowaniu na płaszczyźnie międzynarodowej narodowych dążeń narodu hinduskiego.

Kriszna Menon odwołuje się do Gandhiego przypominając, że Indie pozostają wierne tradycji idei Gandhiego, głoszącej politykę nie używania przemocy, politykę pokojową.

Nauce Gandhiego wierny jest cały naród hinduski. Ale Kriszna Menon podkreśla różnicę między zasadami a metodami. Tej wierności dla zasady nie stosowania przemocy nie należy brać w sensie zbyt wąskim i technicznym. Indie posiadają swoją armię, lotnictwo, korpus kadetów. Ale cała polityka zagraniczna Indii skierowana jest ku pokojowi. Rząd premiera Nehru nie chce rozwijać kompleksu mocarstwowości, nie rozumie w terminach mocarstwowości, broni się przed wcieleniem Indii do grupy, lub do bloku mocarstw.

Kriszna Menon potrafi mówić z wielką siłą przekonania, która wyraża się w spojrzeniu, inteligencji i promieniowaniu jego bardzo wyrazistej twarzy i w głębokiej, bijącej od niego szczerości. Nie chce on, aby politykę zagraniczną Indii określano jako politykę trzeciej siły. Sądzi, że błędem byłoby określać ją w ten sposób. Trzecia siła przeciwstawiałaby się dwóm innym — zamiast dwóch walczących ze sobą sił pojawiłaby się trzecia.

Celem polityki zagranicznej Indii jest obniżenie stopnia napięcia między dwiema przeciwstawiającymi się sobie siłami. Warun-

kiem tego jest, by nie przyłączać się ani do jednej z nich, ani do drugiej. To warunkuje także, by nie popierać tych, którzy utrzymują, że uda im się narzucić pokój drogą wyścigu zbrojeń.

Kriszna Menon uważa, że wszystkie rozbieżności azjatyckie w odniesieniu do Chin i do Indochin winny być rozwiązywane drogą rokowań. Rząd hinduski stara się również uregulować drogą rokowań z Francją problem zniesienia przeżytków imperiaлизmu w Indiach (chodzi tutaj o rokowania w sprawie francuskich posiadłości w Indiach).

Jedną z cech zagranicznej polityki Indii jest nie zajmowanie się sprawami ideologicznymi. Po prostu rozpatruje ona wszelkie problemy w duchu pokoju. Ale i tutaj Kriszna Menon zastrzega się przed zbytnim upraszczaniem. Nie oznacza to mianowicie, aby Indie nie miały zająć możliwie jak najsilniejszej postawy w sprawie, co do której rząd Indii powziąłby decyzję.

ANI TRZECIA SIŁA, ANI NEUTRALIZM

Jednakowym błędem byłoby oceniać politykę Indii jako stanowisko trzeciej siły, jak i określać ją słowem neutralność. Indie nie pragną utworzenia odizolowanej od reszty świata kordonem sanitarnym strefy pokojowej, oznaczałoby to bowiem powstanie nowego bloku.

W tym miejscu Kriszna Menon powraca do tego, co stanowi sam rdzeń zagadnienia zagranicznej polityki hinduskiej. Jest nim zaufanie do poczucia narodowego poszczegól-

nych krajów, co razem tworzy wielką siłę pokojową. Wyraża on przekonanie, że gdyby każdy kraj mógł swobodnie określać swoją politykę, łatwiej byłoby osiągnąć porozumienie. Indie nie zamierzają eksportować tego poglądu, ale gdyby taka linia polityczna okazała się słuszną, będzie ona oddziaływać jako przykład do naśladowania.

Menon uśmiecha się, wyrażając pogląd, iż mocarstwa silniejsze mogą uważać metody takie za naiwne i dziecinne, a ludzie cyniczni i bardziej może inteligentni powiedzą, że rzecznicy tak naiwnej polityki nie mogą liczyć na powodzenie.

Jednakże niezależnie od tego, czy Indie mają rację, czy też nie, postępują one w taki właśnie sposób, a polityka ta cieszy się poparciem szerokich mas ludowych kraju. Nie wystarczy powiedzieć, zdaniem Kriszny Menona, że popiera ją naród hinduski, jest ona bowiem tworem narodu, który, jak powtarza nasz rozmówca, pozostaje wierny myśli przewodniej — jeżeli już nie metodzie i technice — Gandhiego.

Po chwili milczenia Kriszna Menon wyraża swój osobisty pogląd na sytuację międzynarodową. Najgorszą rzeczą, jaka mogłaby się zdarzyć — to, że w wypadku, gdyby jedna z grup mocarstw chciała zniszczyć drugą, cały świat zostałby wciągnięty w niszczycielską wojnę. Najlepszą — byłoby osiągnięcie czegoś w rodzaju równowagi w warunkach współistnienia.

Dla osiągnięcia tego celu niezbędna jest redukcja światowego poziomu zbrojeń. Kriszna Menon wyraża

nadzieję, że cel ten można będzie osiągnąć bądź pod działaniem rozważliwej inteligencji i perswazji, bądź też pod naciskiem warunków ekonomicznych.

Hinduski mąż stanu kładzie nacisk na sytuację nie do zniesienia, w jakiej żyje ta wielka część ludności świata, która stale głoduje. To utrudnia osiągnięcie porozumienia. Potępia on ucisk, stosowany przez Francję w Afryce Północnej; nie przyczynia się on bowiem do zmniejszenia naprężenia tej sytuacji. Nadto Menon oświadcza, że wzrost nacjonalizmu gospodarczego, przeszkadza ustanowieniu pokojowych stosunków na świecie.

Kriszna Menon stwierdza, że tego tak ważnego problemu podniesienia stopy życiowej narodów nie można rozwiązać jedynie drogą pomocy technicznej i ekonomicznej. Dopóki nie nastąpi redukcja zbrojeń, cała energia narodów idzie na podtrzymywanie naprężenia sytuacji międzynarodowej i tym samym nie przyczynia się do polepszenia poziomu życia ludności.

Zadaje wówczas pytanie, czy Pakistan, który wyraził zgodę na wcielenie go do amerykańskiego systemu wojskowego, nie naraża Indii na wciągnięcie ich w wir wyścigu zbrojeń. Kriszna Menon mówi, że Indie nie mogą odpowiedzieć na tę pomoc wojskową wzmożeniem zbrojeń. Nie mogą one rywalizować z tak silnym mocarstwem przemysłowym, jakim są Stany Zjednoczone. Rywalizacja ze Stanami Zjednoczonymi oznaczałaby obniżenie poziomu życia ludności.

Indie mogą jedynie ubolewać, że utworzony został sojusz wojskowy, rozszerzający zimną wojnę na nowe obszary świata.

NAUKA GANDHIEGO

Kriszna Menon, wybitny dyplomata, powraca teraz do drogiej mu idei, jaką jest konieczność przełamania tego wielkiego naprężenia grożącego światu, rozproszenia tej atmosfery wzajemnych podejrzeń, niestosowania przemocy w stosunkach pomiędzy narodami, to znaczy — konieczność walki z poglądem, że potęgą jednej z grup byłaby jedyną gwarancją bezpieczeństwa.

Kriszna Menon raz jeszcze podkreśla pełny udział narodu hinduskiego w tej polityce. Uważa on za ważny czynnik fakt, iż cały naród hinduski, łącznie z dwustu milionami analfabetów, uczestniczy w życiu politycznym kraju bez różnic rasowych i klasowych.

Uważa on nadto, że w sprawach publicznych i samorządowych wszystkie problemy społeczne należy oceniać z punktu widzenia przemocy i nie stosowania przemocy. Po-

zostaje to w zgodzie z nauką Gandhiego, według której wszelkie czyny oceniać należy jako funkcję postawy stosowania bądź też nie stosowania przemocy. W ten sposób, stwierdza Kriszna Menon, osiąga się ducha prawdziwego zrozumienia, osiąga się tę tolerancję, która jest przeciwieństwem przemocy i która jest samym jądrem cywilizacji.

Kriszna Menon nie zgadza się z tymi, którzy powiadają, że jest to postawa czysto azjatycka. Uważa on, że jest to po prostu ludzka postawa i że Europa, która była kolebką liberalizmu, mogłaby odegrać podobną rolę i prowadzić politykę o wiele bardziej niezależną, gdyby starała się postępować w duchu pojednania i tolerancji.

Niestety, rozmówcę mojego odwołują na spotkanie z szefem jednej z poważnych delegacji zagranicznych. Na zakończenie raz jeszcze Kriszna Menon kładzie nacisk na wybitną rolę swojego kraju, stwierdzając, że Indie potępiają wszelkie bariery, sztucznie wzniesione między narodami. Z tego właśnie szczególnie względu rząd hinduski domaga się dopuszczenia Chin do ONZ.





WYŁĄCZNIE DLA PISMA
„W OBRONIE POKOJU“

CHARLES CHAPLIN przyjaciół ludzi

Charles Chaplin i Dymitr Szostakowicz otrzymali Międzynarodowe Nagrody Pokoju za „wybitne zasługi i twórczą pracę w służbie pokoju i przyjaźni między narodami“. Tę decyzję Jury Międzynarodowych Nagród Pokoju, ustanowionych przez ŚRP, oznajmił z trybuny sali obrad Światowej Rady Pokoju (26 maja 1954 r. w Berlinie) pisarz kolumbijski Jorge Zalamea. W parę dni potem delegacja w składzie dr Richard Synge, laureat Nagrody Nobla, pisarz francuski Vercors, radziecki filmowiec Sergiusz Gierassimow, prof. Bonnard, słynny szwajcarski hellenista i Jorge Zalamea udali się do Szwajcarii, by wręczyć Chaplinowi przyznaną mu nagrodę.

Charles Chaplin w krótkim i wzruszającym przemówieniu, które poniżej zamieszczamy, złożył na ich ręce podziękowanie i udzielił Jorge Zalamei — wyłącznie dla miesięcznika „W Obronie Pokoju“ — tchnącego szlachetnością myśli i uczuć wywiadu.

„Powszechne jest pragnienie pokoju. Czy to na Wschodzie, czy na Zachodzie — jeżeli wysuwa się żądanie pokoju, stanowi to, moim zdaniem, krok we właściwym kierunku.

„Dlatego jestem bardzo zaszczyczony i szczęśliwy z otrzymania tej nagrody. Nie uważam się za upoważnionego do rozstrzygania problemów, których istnienie zagraża pokojowi, ale wiem, że narody nigdy tego nie dokonają w atmosferze nienawiści i nieufności. Nie rozstrzygną również tych problemów zagrożenia użycia bomby atomowej. Niebawem wszyscy będą znali tajemnicę jej produkcji i niebawem wszystkie narody będą ją posiadały.

„W naszej erze nauki o atomie narody winny myśleć o rzeczach mniej przestarzałych i bardziej konstruktywnych, aniżeli uciekanie się do przemocy dla rozstrzygnięcia rozbieżności. Godne pożałowania wysiłki, zmierzające do przekonania narodów o słuszności wojny przy użyciu bomby wodorowej są zbrodnią przeciw człowieczeństwu i fermentem powszechnego szaleństwa.

„Oddalmy od nas tę rozpaczliwą i zgonną atmosferę, starajmy się wzajemnie zrozumieć nasze problemy, bowiem wojna światowa nikomu nie przyniesie zwycięstwa. Dlatego winniśmy zająć się tym, co jest w człowieku naturalne i zdrowe, dążyć do zwycięstwa ducha dobrej woli, podstawy wszelkiego natchnienia, wszystkiego, co jest w życiu twórcze, dobre i szlachetne.

„Wyteśmy w tym kierunku wszystkie nasze wysiłki, by osiągnąć pełną chwałę erę pokoju, która da szczęście wszystkim narodom“.

Vevey, 3 czerwca 1954 r.

Przemówienie

CHAPLINA





JEŻELI jest na świecie człowiek, który może czuć się bezpieczny od fatalnych skutków zimnej wojny i oddalony od konsekwencji międzynarodowego konfliktu, takim człowiekiem jest Chaplin.

Miłość, jaką otaczają go narody, bogactwo, które wypracował sobie trudem długiego życia, kraj, jaki zamieszkuje i nawet jego wiek zapewniają mu maksimum bezpieczeństwa, jakie można dzisiaj w naszym świecie osiągnąć. Zasłużenie i spokojnie, bez kłótni i spieć, mógłby Charlie Chaplin poświęcić wspaniałe zmierzch swojego życia tworzeniu nowych arcydzieł, które zwiększyłyby jego rozgłos i zamożność.

Tymczasem z nieoczekiwaną pokorą powiedział Chaplin w czasie jednej z naszych rozmów:

— Powodzenie pozwoliło mi pozostać lojalnym wobec samego siebie.

Dając wyraz tej lojalności wobec własnych przekonań, Charles Chaplin wraz ze swoją żoną i otoczony dziećmi, książkami i biblioteką, czy drzewami swojego parku śledzi z czujną uwagą życie zewnętrzne i namiętnie występuje przeciw ludziom, lub czynom stojącym na przeszkodzie temu ideałowi pokojowego życia, życia harmonijnego i szczęśliwego, jakie głosił Charlie w osiemdziesięciu niezapomnianych filmach.

To samo oburzenie, które w 1917 r.

było natchnieniem pierwszych scen „Charlie żołnierzem“ i które znalazło wyraz — w 1940 r. — w „Dyktatorze“ wyraża się teraz w takich oto jego słowach:

„Godne pożałowania wysiłki, przy pomocy których próbuje się skłonić narody do wyrażenia zgody na wojnę atomową, są zbrodnią przeciw człowieczeństwu. Ale może istnieje rzecz jeszcze gorsza — zimna wojna. Bowiem produkcja tych broni terroru nie jest już tajemnicą i niebawem będzie je można produkować we wszystkich krajach, dużych i małych. W ten sposób broń ta sama się zanuluje.

Ale zimna wojna może trwać nieskończenie, niszcząc ludzkość moralnie, duchowo i gospodarczo. Nie ma gorszego szaleństwa i większej potworności, jak codzienne jatczenie milionów istot, które systematycznie uczy się nienawidzić, stwarzając sztuczne obawy. Należy zapobiec temu szaleńczemu przedsięwzięciu, trzeba powstrzymać tę okropną zimną wojnę“.

Kiedy Chaplin tak mówi, z twarzą całą rozjaśnioną inteligencją i zapalem, bijącym z jego oczu, ukazuje się za nim Charlie, mały człowieczek, który żył w nieustannej walce z przesadami. Walka Charliego nie miała innego celu, jak pojednanie między ludźmi i światem. Poprzez najbardziej niesamowite perypetie szukał zawsze równowagi i porządku — przywrócenia sprawiedliwości, prowadzącej do pokoju.

Podobny do siebie samego — tłumaczy:

— Nie jestem politykiem. Nie uprawiam żadnej działalności poli-

tycznej, ani nie mam żadnych kontaktów politycznych. Jestem artystą, indywidualistą, może tym, co nazywają liberałem.

Wiem jednak doskonale, że droga, którą chce się wskazać ludzkości, jest bezsensowna, bowiem musiałaby ona doprowadzić do wojny powszechnej, lub do całkowitego zdeprawowania umysłu ludzkiego.

Jeżeli chcemy uniknąć fatalnej katastrofy, musimy wzajemnie starać się zrozumieć problemy, dzielące narody, winniśmy prowadzić rokowania, znaleźć warunki kompromisu,

który by pozwolił każdemu narodowi żyć według jego zwyczajów i dążeń, a każdemu człowiekowi — odnaleźć jego godność i poczucie solidarności ze wszystkimi jego bliźnimi.

Potem w rozmowie z wielkim filmowcem radzieckim Sergiuszem Gierassimowem Chaplin podkreśla z naciskiem konieczność porozumienia:

— Wiem, że uczestniczymy w procesie ewolucji, który nie może się zatrzymać. Wiem, że narzucone krajom zachodnim problemy tej ewolucji są bardzo złożone z gospodarczego punktu widzenia i stwarzają bardzo re-

Podczas niedawnego pobytu w Szwajcarii premier Nehru długo rozmawiał z Chaplinem. Na zdjęciu od prawej: premier Nehru, Chaplin i córka Nehru.





alne trudności dla Francji, Wielkiej Brytanii i innych krajów. Jest rzeczą konieczną, aby Związek Radziecki dawał opinii publicznej nowe dowody swej woli ułatwienia rozwiązania tych problemów.

Przybyliśmy aż do Manoir du Ban nad brzegiem Lemanu, by wręczyć Charlesowi Chaplinowi Międzynarodową Nagrodę Pokoju za 1953 rok — my, to znaczy Vercors, dr. Richard Syngé, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie chemii, wybitny hellenista Andre Bonnard, Sergiusz Gierassimow, który otrzymał za swoje filmy trzykrotnie Nagrodę Stalina i sekretarz Jury Międzynarodowych Nagród Pokoju.

Zebrałiśmy się wokół niego, by mu przekazać dowód miłości, z jaką miliony ludzi czerpały pociechę, radość i nadzieję z jego dzieła, realizowanego w ciągu przeszło 45 lat pod zawsze trwałym znakiem humanizmu.

Drzewa parku, z których jedno sławne jest ze swojego cienia — poruszają w słońcu spóźnionej wiosny swymi koronami zielonymi, miedziastymi, fioletowymi, a mnie przychodzi na myśl końcowe przemówienie z „Dyktatora“:

„Mówię do tych, którzy mogą mnie usłyszeć: Nie rozpaczajcie. Nieszczęście, które na nas spadło, jest tylko rezultatem wściekłego apetytu, zgorzknienia ludzi, którzy obawiają

się postępu ludzkiego. Nienawidzą do ludzi minie, a dyktatorzy zginą. A władza, którą sobie uzurpowali, powróci do narodów...

Żołnierze, nie czyńcie z samych siebie daru dla tych brutalów..., którzy was głodzą i którzy pędzą was jak bydło, nim posłużą się wami jako mięsem armatnim...

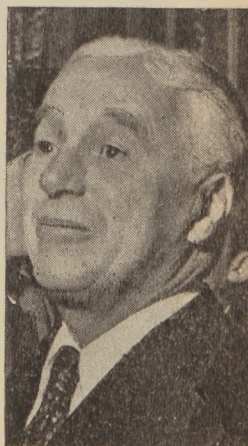
Żołnierze, nie jesteście maszynami, nie jesteście bydlęmi. Jesteście ludźmi. Nosicie w waszych sercach miłość ludzkości. Bądźcie bez nienawiści. Nienawidzą tylko ci, którzy nie są kochani. Ci, którzy nie są kochani i nienormalni...

Żołnierze. Nie bijcie się o niewolnictwo. Walczcie o wolność... Wy, naród, macie władzę stworzenia wolnego i wspaniałego życia, możecie uczynić z życia promienną przygodę“.

Chaplin jest wierny sam sobie. Słowa, które dzisiaj wygłasza, odpowiadają dokładnie duchowi tego przemówienia i wyrażają te same uczucia, które jego niemy język mimiką ukazywał nam w niezapomnianych scenach Vercorsą Chaplin mówi:

Odpowiadając na przepojone wzruszeniem słowa Vercorsa Chaplin mówi:

— Winniśmy zobowiązać się, by powrócić do tego, co jest w człowie-





*Stoją wokół Chaplina (od lewej do prawej): prof. Synge, Vercors,
prof. Bonnard i Jorge Zalamea.*



*Gotąbek Picassa na
ofiarowanym Chaplinowi
dyplomie honorowym.*

ku naturalne — do ducha dobrej woli, będącego podstawą wszelkiego natchnienia, wszystkiego co jest twórcze, dobre i szlachetne w życiu.

* * *

Chaplin jest człowiekiem szczerym, łatwym i poufałym. W jego jasnych oczach płonie mały ogienek ciekawości i wesołości. Nurza się w rozmowie jak pływak w fali i — często — w jego rękach, ramionach, oczach i ustach pojawia się Charlie.

Kiedy po raz pierwszy złożyłem mu wizytę, z czarującą wspaniałością opowiedział mi o filmie nad którym w tej chwili pracuje. Mają to być przygody, perypetie i doświadczenia małego króla, zdetronizowanego za to, że chciał, by ener-

gia atomowa służyła celom pokojowym zamiast produkcji bomb. Kiedy mi o tym opowiada, co być może, jest również dla niego chwilą twórczenia, ożywia się tak dalece, że mimicznie odtwarza całą scenę i już ogarnięty swoim dziełem, czyta mi jego fragment.

Przy udziale ruszających się, gestykulujących i mówiących sześciu uczniów szkoły podstawowej, Chaplin buduje jedną z najbardziej oryginalnych, przejmujących i głębokich satyr, jakie kiedykolwiek napisano na temat jednego z aspektów życia współczesnego. Być może, że ta scena stanowi jeden z kulminacyjnych momentów artystycznej twórczości Chaplina.

Wiadomo, ile wysiłków poświęca Chaplin realizacji filmu. Wielki arty-

sta pracuje zawsze według swoich własnych idei, swoich własnych koncepcji, własnych tekstów i własnej muzyki.

— Aby stworzyć film — tłumaczy mi Chaplin — muszę stworzyć cały świat, wewnątrz którego z absolutną logiką przejawia się wyraz moich idei. Każdy szczegół dekoracji, każdy rozwój akcji, każde słowo dialogu, każde tło lub rys muzyczny muszą się ze sobą harmonizować, aby stworzyć atmosferę, świat, w którym moje intencje i moje idee będą mogły wyrażać się w sposób swobodny, spontaniczny i logiczny.

W tym to własnym świecie, tworzącym fragment po fragmencie, może Chaplin osiągnąć to doskonale połączenie prawdy i poezji, które stanowi jedną z tajemnic jego geniusza.

Wielki artysta najbardziej jak się zdaje lubi ze swoich dzieł „Światła

rampy“, „Nasze czasy“, „Światła wielkiego miasta“. Sądzi on, że najdoskonalsza jego scena komiczna znajduje się w „Hrabim“, filmie z 1916 r., gdzie oświadczyły Charliego hamuje głośnie mlaskanie sąsiada przy stole. Na wspomnienie tego kawału słynny mimik zdaje się odczuwać tęsknotę za filmem nienimym i jego trudnościami.

Są nas setki milionów ludzi, złączonych miłością dla Charlie Chaplina, w podziwie dla geniusza, zdolnego stworzyć „Dyktatora“, „Pana Verdoux“, „Światła rampy“. Znać Chaplina osobiście, to prawdziwy przywilej, bowiem wtedy jedynie można się upewnić, że poetę, a nawet filozofa, żyjących w Chaplinie, ożywia to samo serce — serce przyjaciela ludzi.

JORGE ZALAMEA





Spotkanie w Sztokholmie

Od naszego specjalnego wysłannika

REVISORA

NIEBAWEM po rozpoczęciu obrad konferencji genewskiej odbyła się w Berlinie nadzwyczajna sesja Światowej Rady Pokoju, której zasadniczym celem było oznajmienie światu w tym decydującym momencie woli narodów.

Stwierdzić można, że cel ten został osiągnięty. W najcięższej na konferencji chwili, kiedy rokowania dreptały w miejscu, żaden z jej uczestników nie odważył się wziąć na siebie zerwania obrad, co w oczach narodów, obserwujących konferencję genewską z zastrzoną czujnością, obciążyłoby sprawcę tego czynu straszliwą odpowiedzialnością.

Spotkanie w Sztokholmie (19—23 czerwca 1954 r.) miało zupełnie od-

mienny charakter, jakkolwiek było niemniej ważne i nie ulega wątpliwości, że wywarło — także i ono — swój wpływ na przebieg obrad konferencji genewskiej.

Inicjatywa zorganizowania tej Międzynarodowej Konferencji na rzecz osłabienia napięcia w stosunkach międzynarodowych wyszła od komitetu francuskiego. Tym razem nie chodziło o konferencję organu światowego, ale o spotkanie między ograniczoną liczbą osobistości, znanych na całym świecie, które — odczuwając zaniepokojenie narodów wobec groźby broni atomowej — postanowiły skonfrontować swoje punkty widzenia w sprawie najlepszych sposobów zmniejszenia napięcia międzynarodowego.

Wystarczy wymienić nazwiska i stanowiska członków biura Konferencji w Sztokholmie, aby dać pojęcie o jej charakterze i klimacie:

Angelos Angelopoulos, b. profesor Uniwersytetu w Atenach,

John Bernal, profesor, członek Królewskiego Towarzystwa Fizycznego Wielkiej Brytanii w imieniu delegacji Światowej Rady Pokoju.

Rene Capitant, b. minister, profesor na Wydziale Prawa w Paryżu.

Ilja Erenburg, deputowany do Rady Najwyższej ZSRR.

Dr Raul Busto Fierro, deputowany z ramienia Partii Peronistów w Argentynie.

Jakob Friis, b. poseł z ramienia socjal-demokracji w parlamencie Norwegii.

Masano Ikeda, poseł z ramienia liberalów w Japonii.

Dr. Joseph Iwand, prof. teologii na uniwersytecie w Bonn.

Eric Johnson, kwakier (Stany Zjednoczone).

Kuo Mo-żo, przewodniczący Akademii Nauk, wiceprzewod-

niczący Ludowej Rady Konsultatywnej Chin.

Hisao Kuroda, przewodniczący Partii Robotników i Chłopów, poseł do parlamentu japońskiego.

Aleksander Korniejczuk, poseł do Rady Najwyższej ZSRR.

Oskar Lange, poseł, prof. ekonomii na Uniwersytecie Warszawskim, rektor SGPiS.

Riccardo Lombardi, poseł, b. minister, członek KW Partii Socjalistycznej Włoch.

Liao Czen-czi, przewodniczący Związku Młodzieży Demokratycznej Chin, stały członek Ludowej Rady Konsultatywnej Chin.

Jacques Madaule, pisarz, profesor (Francja).

Pani Rameszwari Nehru, radca w ministerstwie odbudowy, b. przewodnicząca Konferencji Kobiet Hinduskich.

Eusebio Rocha, poseł z ramienia Partii Pracy w Brazylii.

Sydney Silvermann, poseł z ramienia Partii Pracy w Izbie Gmin.

Dr Anup Singh, poseł partii Kongresu w Indiach, b. przewodniczący Komisji ONZ dla Korei.

Spotkanie powitały liczne depesze z pozdrowieniami, wśród których na szczególne wyróżnienie zasługują pisma Tomasza Manna i François Mauriaka.

Otwarta pod tak dobrymi auspicjami Konferencja dobrze wystarto-

wała. Rene Capitant, jeden z sygnatariuszy francuskiego orędzia które zwoływało konferencję, przewodniczył pierwszemu posiedzeniu i tymi słowami określił cel, jaki zebrani winni osiągnąć:

„...Wszyscy zrozumieliśmy, że jeżeli sytuacja taka będzie trwała nadal, świat może być skazany na zagładę. Ale zamiast poddawać się uczuciu pesymizmu i fatalizmowi, wyraziliśmy przeświadczenie, że ten rozwój sytuacji można zatrzymać i że zadaniem ludzi, zadaniem każdego człowieka, zadaniem każdego obywatela, ludzi wolnych, jest uczynić wszystko, by zatrzymać ludzkość w pochodzie do katastrofy.

A ponieważ rządy zdawały się zbyt często ustępować przed tym zgubnym fatalizmem, sądziliśmy, że spotkanie obywateli, wolnych ludzi, przybyłych bynajmniej nie po to, by wciągać do czegoś swoje narody, lub nawet swoje stronnictwa, ale po to, by mówić ze sobą jak człowiek z człowiekiem, dla wymiany wiadomości, po to, by razem umocnić swoje wspólne poglądy — sądziliśmy, że takie spotkanie, które może się niektórym wydać daremne, kryje w sobie siłę duchową, która będzie mogła wywrzeć wpływ swoim działaniem na bieg wydarzeń“.

Pani Rameszwari Nehru nawiązała rozmowę w imieniu delegacji Indii, której przewodniczyła.

„Nade wszystko pragniemy pokoju — powiedziała — pragniemy go nawet bardziej, aniżeli postępu materialnego, którego przecież tak bardzo potrzebujemy. Bez tego pokoju nie byłoby wart postęp materialny?“

Ci wszyscy, którzy uczestniczyli w pracach Konferencji uderzeni byli następującymi faktami:

1) szczerością, z jaką wypowiadali się delegaci,

2) ich wzajemną troską o tolerancję i nie wysuwanie wszelkich wza-

jemnych zarzutów. Nikt nikogo nie oskarża. Bierze się fakty takie jakimi są i szuka się warunków współistnienia.

3) Tak, jak na konferencji w Genewie, jak na nadzwyczajnej sesji Światowej Rady Pokoju, jak na wszystkich konferencjach międzynarodowych przedstawiciele Indii odgrywają rolę pojednawczą i pierwszoplanową.

4) Znaczenie uczestnictwa Japonii (delegacja japońska składa się z dwu dziesiętu dwóch członków, w tym z posłów, reprezentujących różne odłamy opinii publicznej). Cała Japonia wstrząśnięta jest straszhliwymi skutkami doświadczeń atomowych.

Na spotkaniu omawiano trzy grupy zasadniczych zagadnień. Po pierwsze problem najpilniejszych rokowań, a wśród nich — rokowań w sprawie Indochin i konieczności podjęcia rokowań berlińskich w sprawie problemu niemieckiego.

Po drugie — problem rozbrojenia i zakazu doświadczeń i produkcji broni atomowej.

Po trzecie — zagadnienie bezpieczeństwa — tutaj właśnie mieści się także sprawa Gwatemali — sposoby położenia kresu podziałowi świata na dwa bloki, przywrócenie uniwersalności Organizacji Narodów Zjednoczonych — przede wszystkim poprzez przyznanie należnego miejsca w jej łonie Chińskiej Republice Ludowej.

W chwili, gdy piszę te słowa, konferencja jeszcze się nie zakończyła, ale już widać jasno punkty, co do których osiągnięto porozumienie.

Sztokholm jaśnieje w blasku białych nocy. W świąteczne wieczory

małe, płaskie, staroświeckie stateczki — jedno po drugim przewożą tłumy spacerowiczów do Skansenu.

Nad roziskrzonymi do szaleństwa, ruchomymi światłami Tivoli (sztokholmskie wesołe miasteczko) rozpościera się wielki park, gdzie stoją jak w muzeum na wolnym powietrzu drewniane domki ze starych, prymitywnych wiosek Szwecji, a także i Skansenu, istniejącego tutaj dużo dłużej, aniżeli rozkwitłe między ramionami morza czarujące perspektywy architektoniczne Sztokholmu.

Ostatnie wzniesienie góruje nad spokojnym krajobrazem odnogi morskiej, spokojnej jak jezioro.

Była północ. Woda odbijała niebieski i szary kolor nieba i chmur. Parowiec żłobił bruzdę, której wachlarz rozszerzał się z jednego brzegu na drugi. Rybacka łódź ślizgała się po wodzie, ciągnąc sieć rozpiętą u szczytu żerdzi.

A wśród tych niezliczonych par młodych ludzi, błądzących po obszer-

nym parku, w słodczy blasku zorzy północnej, iluż wiedziało, że przyszłość ich zależy być może w pewnym stopniu od tego spotkania, które odbywało się w Sztokholmie, a z całą pewnością — od rezultatów konferencji w Genewie?

Cała ta młodzież przypominała mi, o co naprawdę chodzi w tych międzynarodowych rozmowach — o szczęście człowieka. Jesteśmy na tej drodze. Posuwamy się naprzód. Jeżeli obrady genewskie powiodą się, rozpoczną się znowu obrady w Berlinie.

Jeżeli przerwana zostanie wojna w Indochinach, klimat odprężenia, zapał i wola narodów nie dopuszczą do ratyfikacji układu o „europejskiej wspólnocie obronnej“. Będziemy posuwać się naprzód w miarę jak walczymy. Bardziej niż kiedykolwiek — jakże dzisiaj tego nie dostrzec — przyszłość zależy od nas samych.

DOKUMENTY KONFERENCJI

Uczestnicy konferencji (jednogłośnie uchwalili tekst pisma do członków konferencji genewskiej i do ONZ.

Pierwsze domaga się od rządów, reprezentowanych w Genewie, przede wszystkim, zjednoczenia wysiłków dla zawarcia rozejmu i pokoju między Francją a trzema państwami w Indochinach na zasadach niepodległości tych trzech krajów i prawa, jakie posiada każdy naród —

wybierania sobie ustroju politycznego według własnej woli.

Pismo to żąda również natychmiastowego rozpoczęcia rokowań w sprawie pokojowego rozwiązania problemu koreańskiego na identycznych podstawach.

Pismo do ONZ zawiera wezwanie do zaprzestania działań wojennych w Gwatemali i wycofania wojsk napastniczych.

Ponadto obecni uchwalili jednogłośnie następującą rezolucję:

W niespokojnym świecie, gdzie mocarstwa stawiają pod znakiem zapytania swoje wzajemne zamierzenia, gdzie króluje nieufność i strach, które w przeszłości rozniecały tyle konfliktów — spotkały się swobodnie osobistości z trzydziestu krajów Wschodu i Zachodu, by radzić nad sprawą międzynarodowego odprężenia.

Ludzie ci sprawdzili drogą doświadczenia, że spotykając się — ludzie rozsądni i bez przesądów szybko dochodzą do wzajemnego zrozumienia i że w sprawie rozbieżności, dzielących obecnie świat, możliwe jest osiągnięcie porozumienia.

Różnice ustrojów politycznych i społecznych nie stanowią same w sobie nieuniknionych źródeł wojny. Pokojowe współistnienie jest najzupełniej możliwe pod warunkiem, że uzna się prawnie i faktycznie swobodę narodów dużych i małych w decydowaniu o swych losach. ONZ, której istnienie ma zasadnicze znaczenie dla sprawy pokoju, winna stanowić odbicie realnej sytuacji międzynarodowej i winna być uniwersalna. Dlatego Chińska Republika Ludowa i wszystkie państwa, które bądź zwracały się, bądź zwrócić się o przyjęcie, winny być dopuszczone do ONZ.

Zasady powyższe należy stosować przede wszystkim w rokowaniach genewskich, których powodzenie będzie miało wielkie znaczenie dla sprawy pokoju światowego.

Nawiązane w czasie spotkania w Sztokholmie kontakty dają wszystkim uczestnikom przeświadczenie, poparte rozumowo, że konferencja genewska może i powinna odnieść powodzenie w sprawie położenia kresu wojnie w Indochinach.

Jeżeli chodzi o Koreę, konieczne jest podjęcie w najkrótszym czasie przerwanych rokowań.

Pokój jest niepodzielny. Nie wystarczy przywrócić go w Azji. Aby zapanował również w Europie, niezbędne jest pokojowe rozwiązanie problemu niemieckiego. Trzeba zatem możliwie jak najszybciej podjąć rokowania w sprawie Niemiec i — tymczasem — powstrzymać się od wszystkiego, co mogłoby je utrudnić.

Broń atomowa strasliwą groźbą zawisła nad ludzkością. Trzeba zatem doprowadzić do:

- całkowitego przerwania doświadczeń, które same przez się zagrażają zdrowiu ludności;
- do tego, aby państwa, które obecnie dysponują bronią masowej zagłady zobowiązały się jej nie używać i aby produkcja i posiadanie tych broni podlegało kontrolowanemu zakazowi;

Wówczas wykorzystywanie energii atomowej dla celów pokojowych przyniesie ludzkości niezmierzone bogactwa.

Rokowania w sprawie ograniczenia kontroli zbrojeń winny również być prowadzone z wolą osiągnięcia rezultatów. Ich powodzenie wyzwoli olbrzymie siły produkcyjne dla powszechnego dobrobytu.

Poważnym czynnikiem odprężenia będzie z drugiej strony rozwój wymiany handlowej pomiędzy Wschodem a Zachodem, która będzie mogła poważnie się zwiększyć z chwilą zniesienia obecnie istniejących przeszkód.

Wyrażono również pragnienie zwiększenia i rozszerzenia wymiany handlowej.

Uczestnicy spotkania w Sztokholmie stwierdzili z zadowoleniem, że osiągnęło ono pomyślne rezultaty. Wyrazili oni żal, że w niektórych kołach w pewnych krajach zaproszenia nie objęły większej ilości osób. Zobowiązali się nadto zapoznać narody swoich krajów z rezolucjami, uchwalonymi w Sztokholmie i przyczynić się do tego, by w 1955 r. odbyło się nowe spotkanie, o jeszcze szerszym zasięgu, aniżeli obecne.

REZOLUCJA OGÓLNA

Przedstawiciele 30 krajów Wschodu i Zachodu spotkali się, aby podjąć próby przyczynienia się do osłabienia napięcia międzynarodowego. Pokojowe istnienie narodów jest w pełni możliwe pod warunkiem uznawania praw wszystkich narodów, zarówno wielkich jak i małych.

ONZ, której działalność jest konieczna dla dobra pokoju, powinna odzwierciedlać w sposób właściwy rzeczywiste stosunki w świecie, powinna być organizacją powszechną. Dlatego też do ONZ należy przyjąć Chińską Republikę Ludową i wszystkie państwa, które zwróciły się lub zwrócą się z prośbą o przyjęcie ich do ONZ.

Wszystkie państwa powinny wyrzec się stosowania przemocy przy rozwiązywaniu spornych problemów.

Tymi zasadami należy się przede wszystkim kierować w rokowaniach genewskich. Konferencja genewska może i powinna osiągnąć sukces, zwłaszcza w sprawie Indochin.

Co się tyczy Korei, to konieczne jest możliwie jak najszybsze wznowienie przerwanych rokowań.

Pokojowe rozwiązanie kwestii niemieckiej konieczne jest po to, aby pokój mógł być zapewniony również w Europie. Dlatego też rokowania w sprawie Niemiec powinny być wznowione możliwie jak najszybciej.

Powinny również być prowadzone rokowania w sprawie ograniczenia i kontroli zbrojeń.

Innym ważnym czynnikiem, który może zmniejszyć napięcie na świecie, jest rozwój handlu między Wschodem a Zachodem.

Uczestnicy konferencji zobowiązują się złożyć w swoich krajach sprawozdanie z wyników obrad oraz postanawiają zwołać nową konferencję na początku 1955 roku, w której powinny wziąć udział szersze koła niż te, które były reprezentowane na tej konferencji.

APEL DO UCZESTNIKÓW KONFERENCJI GENEWSKIEJ

Konferencja zwraca się do rządów, reprezentowanych w Genewie z prośbą:

1) aby zjednoczyły swe wysiłki w celu możliwie jak najszybszego doprowadzenia do zawieszenia broni w trzech państwach indochińskich;

2) aby unikały wszystkiego, co może przedłużyć i rozszerzyć konflikt w Indochinach;

3) aby podjęły kroki w celu możliwie jak najszybszego podpisania traktatu pokojowego między Francją a trzema narodami indochińskimi na zasadzie suwerenności i jedności narodowej każdego z trzech państw indochińskich.

Konferencja domaga się niezwłocznego wznowienia rokowań w celu pokojowego rozwiązania problemu koreańskiego.



Bomba wodorowa — broń

ZRZUCENIE bomby atomowej naraziłoby ludzi na niebezpieczeństwo, które znamy aż z nadto dobrze*). Jednakowoż nawet kiedy pozostaje w stanie groźby narzuca ona radykalną zmianę we wzajemnych stosunkach między narodami, i to właśnie ona — bomba atomowa — określa charakter tego, co nazywamy zimną wojną.

Powstanie armii narodowych przyniosło w rezultacie udziiesięciokrotnienie masakr, ale, w jakiś sposób, armie te mimo wszystko mogły hamować zapędy kół rządzących. Jeszcze wczoraj dla zabicia milionów ludzi trzeba było użyć milionów ludzi, żeby zaś te miliony ludzi zgodziły się umierać lub zabijać, było rzeczą konieczną, aby konflikt wyrażał w pewnej mierze — jeśli nie ich interesy, to przynajmniej ich namiętności, oraz aby nie raził ich poczucia sprawiedliwości.

Właśnie udział mas w armii narodowej zmusił rządy do rozróżniania wojen agresywnych i obronnych, przy czym wojny agresywne to te, które prowadzą inni, zaś wojny obronne to te, które prowadzimy my sami. Tak więc, nawet w krajach demokracji burżuazyjnej opinia pub-

liczna sprawuje pewną kontrolę w czasie wojny narodowej; ale przede wszystkim, w czasie i po drugiej wojnie światowej, w okupowanej Europie, w ZSRR, potem w Chinach, potem w Indochinach, byliśmy świadkami narodzin armii ludowych, które żyją w narodzie, a nie nad narodem, i są w nim — powiadają Chińczycy — „jak ryba w wodzie“.

W tym wypadku już przez sam fakt, że lud bierze na siebie całą wojnę, którą popiera, zdobyw on Pokój! Wojna ludowa jest prowadzona przeciw jakiemuś agresorowi, okupantowi, lub kolonizatorowi, armia ludowa tworzy się z miejsca, niekiedy zajmuje ona miejsce armii narodowej, wycofującej się lub znajdującą się w ucieczce; armia ludowa może być tylko obronna i wyzwolenicza; armia ludowa broni się na swej własnej ziemi, nie mogłaby ona zaatakować innego narodu i przekroczyć jego granic, nie tracąc swego charakteru; widzieliśmy to, kiedy usiłowano zwerbować członków naszego Ruchu Oporu na wojnę przeciw Indochńczykom.

Ale armia ludowa znalazła swój dokładny odpowiednik w broni atomowej: armia ludowa i broń atomowa — oto dwa przeciwstawne elementy naszych czasów. W chwili kiedy totalny udział ludu w konflikcie

*) Przemówienie wygłoszone na nadzwyczajnej sesji SRP w Berlinie.

przeciw historii

JEAN-PAUL SARTRE



staje się ostatecznie czynnikiem Pokoju względnie ograniczenia wojny — straszliwa władza pozwala zachodnim przywódcom prowadzić wojnę, lub grozić jej wszczęciem, obywając się bez ludu.

W chwili kiedy armia ludowa staje się organem politycznym, który pozostaje w pełnej harmonii z ludźmi pracy i który często pomaga im pracować — aby zburzyć jakąś stolicę, aby zniszczyć jakiś naród wystarczy jednej garstki ludzi i jednej chwili, jednego rozkazu wydanego na odległość przez aparat biurokratyczny odcięty od kraju.

Wojna odrywa się od ludzkości, nie jest już hamowana przez masy, które ją prowadziły i które od niej cierpiały. Jeszcze wczoraj przeciwstawiały się sobie różne klasy wewnętrznej armii, dziś wojna, wojna atomowa, jest w ręku kilku uprzywilejowanych i ich najemników. Pewien dziennikarz amerykański oświadczył mi kiedyś, jak gdyby nigdy nic: „U nas ludzie tak bardzo kochają pokój, że woleliby zrzucić bomby atomowe na przeciwników, niż mobilizować piechotę“.

Naturalnie, opinia ta jest niesprawiedliwa; naród amerykański jako całość pragnie pokoju, ale właśnie, im bardziej się go przekonuje, że dla

prowadzenia wojny obejdzie się bez niego, tym mniej wpływa on czynnie na bieg wypadków. Na skutek tego fatalizmu, który się włącza narodowi amerykańskiemu, wojna atomowa wymyka się wszelkiej kontroli, o jej rozpoczęciu jutro mogłoby zdecydować kilku ministrów — wbrew woli i wbrew interesom ich własnego narodu. I na tym chyba polega największe niebezpieczeństwo.

Gwałt jest zawsze abstrakcyjny: nie bierze on pod uwagę naturalnego biegu rzeczy; ich normalnego rozwoju, ich specyfiki, ich organizacji; chce działać siłą i wszystko niweczy. W tym sensie broń atomowa jest najwyraźniejszym obrazem gwałtu; czyni ona z wojny najbardziej abstrakcyjną z abstrakcji. Właśnie dlatego broń atomowa jest jedyną bronią, jaka obecnie nadaje się do użytku uciskających mniejszości. Ich zadanie byłoby bez niej niemożliwe do wykonania, gdyż im chodzi o utrzymanie abstrakcyjnych barier przeciwko narodom, między ludźmi, wewnątrz kraju, i o sprawowanie rządów wbrew wymogom historii i ekonomii.

Ale dziś jest coraz trudniej używać ludzi wbrew ich woli i przeciw ich interesom. Jakżeż żywić nadzieję, że będzie można długo posługiwać się samymi Niemcami, ażeby utrzymać Niemcy rozdarte? Jakżeż posługiwać się Francuzami, ażeby stworzyć armię europejską, która stanowiłaby ich zgubę? A dla kontynuowania zimnej wojny jakżeż posługiwać się Europejczykami, którzy pierwsi padli jej ofiarą? Ciemniejący znajdują coraz mniej współników wśród ciemniejących. Dyplomacja, propaganda, a nawet pieniądze stają się bezradne. Czyż rząd amerykański, wysyłając Czang Kai-szekowi swoje dolary i swoją broń, przeszko- dził żołnierzom Kuomintangu w przechodzeniu do komunistycznej armii ludowej? A my, którzyśmy tak wiele mówili o napuszczeniu Azjatów przeciw Azjatom, czyżesmy zdołali postawić pod bronią armię Bao Daję?

Dziś kości są rzucone. Trzeba odbudować jedność Niemiec, trzeba uznać suwerenność Wietnamu, trzeba aby Czang Kai-szeń poszedł w zapomnienie i należy uznać Chiny Komunistyczne, trzeba to uczynić, gdyż jest to zgodne z biegiem Historii, to znaczy, że odpowiada to interesom i woli mas, które Historię tworzą.

Trzeba aby tak się stało, ponieważ tak się stanie, ponieważ tak już się dzieje: naszym żołnierzom nie brak ani odwagi, ani inteligencji, ani dyscypliny. A w Indochinach przegraliśmy, gdyż byłoby sprzeczne z prawami historii i logiki oczekiwać, że armia zawodowa, oddalona o tysiące kilometrów od swych baz jest w stanie zwyciężyć armię ludową. Pozo-

staje jedyna ucieczka: bomba atomowa. Bomba atomowa jest bronią przeciwko historii.

Jakkolwiek brutalne i gwałtowne, praktykowane niegdyś żądania w formie ultimatum stanowiły wyzwanie, prowokację. Ultimatum oznaczało: jeśli nie ustąpicie, będziemy się bić, a jeśli będziemy musieli się bić, wtedy nasza strona odniesie zwycięstwo. Ale nieprzerwane ultimatum w postaci bomby atomowej nie ma nic wspólnego z dawnym zwyczajem rzucania wyzwania, a ci co usiłują nas nastraszyć doświadczeniami na Bikini nie mówią o zwycięstwie, a to głównie dlatego gdyż wiedzą, że i inne narody dokonują rozszczepiania atomu i że — gdyby je sprowokować — również one mogłyby użyć go do celów zniszczenia. Wiedzą również o tym, że bomba wodorowa może zniszczyć armię ludową, ale żadna armia narodowa nie może jej zwyciężyć.

Właściwie chodzi tu o szantaż, którego przedmiotem jest zniszczenie rodzaju ludzkiego. Usiłują powstrzymać Historię, podobnie jak Jozue powstrzymywał Słońce, grożąc wysadze niem świata w powietrze: „Jeśli Francuzi przegrają wojnę, wtedy zrzucimy bombę, i tym gorzej dla człowieka; zrzucimy ją na Indochińczyków, Chińczyków, Rosjan, wszystko jedno na kogo”. Aby powstrzymać świat od kroczenia naprzód swoją drogą, wysuwa się groźbę zniszczenia Historii poprzez likwidację czynnika tworzącego Historię. To wszystko, co mogą zrobić: zniszczyć człowieka, aby uniemożliwić jego przemianę. Przez samą swoją istotę bomba stanowi podstawę i koncentrat polityki

całkowicie wrogiej prawdziwemu rozwojowi ludzkości, polityki której celem jest narzucenie alternatywy: status quo lub zniszczenie. A jest przecież rzeczą pewną, że nie będziemy się zmieniać, kiedy będziemy martwi. Właśnie to marzenie o kolektywnej śmierci pozwala twierdzić, że bomba atomowa jako taka jest reakcyjna.

Wiem co mi na to odpowiedzą:

„Ludzie wojny są na szczęście zgubieni właśnie przez ich potęgę, katastrofa którą nam przygotowują jest zbyt kompletna, grożą nam nią w każdym oddzielnym wypadku, ale nie ośmielią się jej rozpętać“. Czyż można unicestwić ludzkość z powodu wycofania się w Korei pułku amerykańskiej piechoty morskiej lub z powodu straty Dien Bien Fu? Broń jest zbyt straszliwa, brak jej elastyczności, z każdym dniem oddala się ona bardziej od konkretnej rzeczywistości; zbyt dufni w swoją władzę, ci którzy ją posiadają stracili nawet wspomnienia najbardziej elementarnej dyplomacji, ograniczają się oni do gróźb i nie wykonują swoich pogroźek? Tymczasem łamią się bariery, mnożą się kontakty, narody przestają straszyć się nawzajem i dzieje się coś, czemu nie można przeszkodzić, rodzi się nowa jedność Europy i świata; usiłując przeciwstawić się Historii, bomba atomowa może się znaleźć poza nawiasem Historii.

Nie jest to całkiem pewne, jest przecież pewna strategia atomowa; nawet jeśli bomba nie miałaby wybuchnąć, to przynajmniej służy ona do zastraszenia sąsiadów i innych mniej uprzywilejowanych narodów.

Przyczynia się ona do tworzenia bloku, rodzi strach, a poza tym — skoro może być zrzucona bez kontroli narodu — daje ona w ręce kilku ludzi władzę samowolną. Gniew, niezręczność, fałszywe kalkulacje były dotąd w historii przyczyną incydentów bez poważniejszych konsekwencji, obecnie mogą one stać się bardzo niebezpieczne, a zły humor kilku ludzi rządzących może stać się czynnikiem historycznym.

Trzeba, aby Historia rozbroiła bombę atomową, inaczej bomba może wysadzić świat. Zadanie narodów jest więc podwójne: trzeba stworzyć związek przeciw bombie, wszędzie zastąpić wojnę przez Pokój, abstrakcyjne sprzeczności — przez sojusze, trzeba wszędzie odnieść pokojowe zwycięstwo, nigdy nie dając bombie atomowej czasu ani pretekstu do wybuchu. Trzeba doprowadzić do pokoju w Korei, w Indochinach, trzeba zrealizować jedność Niemiec, trzeba aby w obliczu konkretnej jedności ludów szantaż atomowy w pełnym świetle ukazał swój abstrakcyjny charakter. Z drugiej strony, trzeba walczyć przeciw strachowi. Narody domagały się i domagają się nadal, aby zebrali się przedstawiciele pięciu wielkich mocarstw dla uchwalenia definitywnego zakazu produkcji i użycia broni atomowej.

Te dwa zadania są również naszymi zadaniami, zadaniami Kongresu Pokoju. Winniśmy zdwoić wysiłki. Historia Przeszłości często tworzyła się w drodze wojny; obecnie, ponieważ wojną oznaczałaby koniec świata, Historia może się tworzyć tylko w POKOJU i przez POKÓJ.

OD SAJGONU DO GENEWY

Rozmowa z dawnymi uczniami

Prof. PIERRE PRETOU

PIERRE Pretou, wieloletni nauczyciel w liceach indochińskich, spotkał wśród członków delegacji Wietnamskiej Republiki Demokratycznej na konferencji genewskiej dwóch swoich dawnych uczniów. Przeprowadził z nimi długą rozmowę — w szczególności na temat przyszłości Unii Francuskiej. Omawiane problemy dotyczyły podstaw, na jakich można by utrwalić pokój i utworzyć swobodny związek dwóch narodów — francuskiego i wietnamskiego.

Wydawało nam się przeto rzeczą niezmiernie interesującą, by właśnie teraz, kiedy pokój zdaje się rysować w niedalekiej przyszłości, usłyszeć od Pierre Pretou streszczenie przebiegu tej rozmowy.

SIEDZĘ oto między dawnym moim uczniem z liceum Petrus-Ky (od imienia słynnego wietnamskiego uczonego) i dawnym uczniem liceum Chasseloup-Laubat.

Zaprosili mnie na „długą“ rozmowę. Obie szkoły, gdzie otrzymali solidne średnie wykształcenie znajdują się w Sajgonie. Do jednej uczęszczają wyłącznie Wietnamczycy, a nauczycielami są Francuzi i Wietnamczycy, w drugiej zawsze widziałem siedzących obok siebie w ławkach Francuzów, Wietnamczyków,

mieszkańców Khmeru, Patet Lao, katolików, buddystów, muzułmanów i niewierzących.

Wszyscy żyli bratersko ze sobą sprzymierzeni przez gry lub przyjaźnię, równi pomiędzy sobą i wyróżniani przez nauczycieli jedynie za zachowanie, zasługi i pracę.

Obaj siedzący obok mnie mężczyźni dźwigają ciężką odpowiedzialność. Z godnością i szlachetnie dźwigają ją w Wietnamskiej Republice Demokratycznej.

Wybitny łacinnik, obecny wice-minister sprawiedliwości w rządzie Wietnamskiej Republiki Demokratycznej mówi do mnie: „Mój kochany profesorze, nie nie zapomniałem, nawet tego drobnego żwiru na podwórzu liceum Chasseloup. Czy pamięta pan, jak się ślizgał pod naszymi stopami?”.

Wzrusza mnie przypominając tysiące szczegółów, które tak dokładnie wryły się w jego pamięć. I kiedy słucham tych wspomnień, jestem jednocześnie i szczęśliwy, i wstrząśnięty, widzę znowu te czasy, kiedy tak bardzo zdolni uczniowie wietnamscy po opuszczeniu naszych szkół, bądź też wyższych uczelni sportrzegali, że odmawia im się praw, których cenę im pokazywaliśmy.

Jedna tylko rzecz nieco mnie pociesza. Oto przemówienie wygłoszone 5 listopada 1945 r. przez doradcę dla spraw nauczania i spraw kulturalnych (Marcel Ner.). Zacytuję je z pamięci:

„Po opuszczeniu tych szkół, gdzie wolność, równość, braterstwo nie były tylko słowami, ale wchodziły w codzienny zwyczaj, ujrzeli nagle, że dzielą ich różnice statutu”.

Świadomość tego dramatu i jego ewentualne konsekwencje pchały tytuł nauczycieli do zajmowania się sprawami publicznymi. Uważali oni, że zajęcia ich o tyle tylko mają sens i wartość, o ile klimat szkoły ogarnie również miasto.

Tak, ponad wszystkim, ponad bolesnymi godzinami i poważnymi konfliktami odnaleźliśmy „klimat szkoły”.

Istniało w Wietnamie ludowe wejście w dwoistość natury ludzkiej. Każdy z nas, wierzone, ma dwie dusze, albo raczej — dwie grupy dusz. Mój przyjaciel z lat dziecińczych, Paul Mus, dzisiaj profesor w Collège de France, niegdyś uczeń Collège Paul Bert w Hanoi, określił je następująco:

„Jedne są **na dole** i wchodzą w mas z ziemi, wraz z pożywieniem, jakie z niej czerpiemy — są to dusze wegetatywne... To część ziemi w nas samych.

Do tego dochodzi w różnych proporcjach — zależnie od człowieka i jego działalności — jedna część z nieba, **ponad nami**. W najczystszej formie duchem tym jest rozum, który znaczy tyle co świadomość w nas zawarta, świadomość harmonii rzeczy między nimi a nami“ (P. Mus: Wietnam, Socjologia wojny).

Serca były nam jednym rytmem, rozum i mądrość wybrały się na poszukiwanie „harmonii rzeczy między nimi a nami”.

Nguyen Thank Ha, sekretarz delegacji Wietnamskiej Republiki Demokratycznej uprzejmie podaje mi notes i swoje pióro. Ten spontaniczny gest nikogo nie zdziwi. Wszyscy delegaci z naszych departamentów ocenili jego kurtuazję. Pewien inwalida wojenny we Francji mówił mi nawet o „wzruszających względach”, jakich mu nie szczędzono.

Chwytamy problemy na gorąco, rozdzielamy je na części i oto piszę takie oświadczenia:

„To, cośmy mówili o Unii Francuskiej nie jest manewrem.

Moglibyśmy przypomnieć, że to, co mówimy nie jest niczym nowym. Wystarczyłoby przypomnieć i powołać się na różne oświadczenia prezydenta Ho Szi Mina, który zapewnił naród francuski o całkowitej przyjaźni narodu wietnamskiego. Zawsze głosił on, że Wietnam pragnie sojuszu z Francją na bazie swobodnej decyzji w ramach Unii Francuskiej.

To stanowisko delegacji Wietnamskiej Republiki Demokratycznej opiera się na trzech realnych przesłankach — gospodarczej, stosunków kulturalnych między Francją a Wietnamem, wspólnocie ideałów obu narodów — francuskiego i wietnamskiego“.

Zestawmy wszystko to, co mocno przemawia za tymi stwierdzeniami.

Przykłady są liczne i ściste. (Uwaga: „**Le Monde Economique et Financier**“ z 13 czerwca udzielił tragicznego poparcia deklaracjom złożonym 6 czerwca w sprawie tkanin).

Zapoznajmy się z tekstem, który spisałem pod dyktando delegatów wietnamskich:

Tkaniny: „Kupujemy dużo i w coraz większych ilościach tkanin francuskich, które otrzymujemy ze strefy okupowanej. Nasze organa handlowe nastawione są przede wszystkim na zakup tkanin francuskich. Po pierwsze dlatego, że nie mamy ich w dostatecznej ilości, następnie zaś dlatego, że Wietnamczycy przyzwyczajeni są do tkanin tego rodzaju i tego pochodzenia.

Po cóż mielibyśmy je zastępować innymi? Ale właśnie obecnie tym

francuskim tkaninom zagraża ostra konkurencja ze strony japońsko-amerykańskich wyrobów włókienniczych. Amerykanie chcieliby wyprzeć tkaniny francuskie, drogą masowego importu tkanin japońskich pod amerykańską kontrolą. Jak dalece zjawisko to jest groźne, świadczy wiadomość w „**Information Economique**“, iż w związku z tym francuskie fabryki włókiennicze zmuszone będą zawiesić produkcję, co doprowadzi do bezrobocia wśród wielu francuskich robotników“.

Pod tytułem „Eksport tkanin do Indochin i do Afryki Północnej znajduje się w trudnej sytuacji“ pisze „**Monde**“, iż „rzecznicy zachowują rezerwę co do widoków rynku indochińskiego na przyszłość. Znają oni możliwości konkurencji japońskiej i zadają sobie pytanie, czy masowy import japońskich wyrobów włókienniczych pod pretekstem obniżki cen nazajutrz po dewaluacji piasra, nie miałyby stać się nieświadomie zastosowanym środkiem ożywienia ruchu handlowego, co oznaczałoby — jeżeli założymy możliwość uzyskania całkowitej niezależności gospodarczej Państw Stowarzyszonych — wyparcie produktów francuskich“.

Oto, co napisaliśmy w odniesieniu do dwóch ostatnich realnych przesłanek:

Realność stosunków kulturalnych między Francją a Wietnamem:

a) Artykuły prof. Nguyen Manh Thuonga („W Obronie Pokoju“) o kulturze francuskiej i istnieniu tej kultury w Wietnamskiej Republice Demokratycznej są najzupełniej ścisłe.

W 1952 r. obchodziliśmy rocznicę Wiktora Hugo.

b) Jeżeli chodzi o język francuski, możecie osądzić de visu et auditu, że dobrze nim jeszcze władają w strefach, pozostających pod maszą całkowitą kontrolą. Mówią nim wykształceni inteligenci we francuskich szkołach. Można to było stwierdzić na Kongresie Narodów w Wiedniu, można to stwierdzić jeszcze teraz w Genewie. Otrzymujemy regularnie całą francuską prasę demokratyczną. Nadal dzieci uczą się w naszych szkołach języka francuskiego i to, jak sądzimy, nie ustanie.

c) Są i będą u nas studiowane francuskie dzieła literackie, które oceniamy jako postępowe, to jest takie, które posiadają wartość humanistyczną. Rozumiemy przez to, że mogą wpłynąć na poszanowanie wolności człowieka, niepodległości narodów, równości, braterstwa, pokoju.

d) By lepiej dowieść naszej szczerości i wyjaśnić nasze stanowisko, jak wreszcie po to, by wyciągnąć wniosek z tego rozdziału, podajemy i podkreślamy inne zjawisko:

Od ośmiu lat w strefie, znajdującej się pod naszą kontrolą, nigdy nie mieliśmy epidemii. Dlaczego? Ponieważ nasze kadry epidemiologów, utworzone we francuskich szkołach, zastosowały wszelkie niezbędne środki dla zapobieżenia epidemii. Chcemy nadal pozostać wierni francuskiej metodzie naukowej.

Realna przesłanka w postaci wspólnoty, ideałów narodu francuskiego i wietnamskiego:

Ta wspólnota ideałów, ta wspólnota braterstwa, wolności, równości, jak również demokracji i pokoju przesz-

ła chrzest wspólnej walki ramię przy ramieniu w czasie długich lat dla położenia kresu bratobójczej wojnie i przywrócenia przyjaźni między dwoma narodami.

To mówi wszystkim. A wszystko to mówi jeszcze wraz z tym, cośmy wskazali, bądź też opowiedzieli, o nadziejach, które się spełniają i które mogłyby się spełnić w pokoju.

Oto realne podstawy, na których naszym zdaniem mogłoby się oprzeć solidne przymierze z Francją.

* * *

„Obchodzili rocznicę Wiktora Hugo bo taki był rozkaz Moskwy i Chin“ — odparł pewien sceptyk, któremu mówiłem któregoś dnia o miłości Wietnamczyków dla kultury francuskiej. Oburzył mnie ten pogląd.

Zacząłem szperać w moich zbiorach. Popatrzymy, czemu należy unikać tak głupich uwag.

Szkoła Średnia w Sajgonie — IV klasa B — 28 uczniów.

Ocena zawodowa głównego inspektora oświaty (wydział literatury), 27 stycznia 1932 r.

Lektura z objaśnieniami: Uczniowie mieli przygotować tekst Wiktora Hugo, wyjątek z „Rozmyślań“ pt. „Życie na polaci“.

Objaśnienia przeprowadzone bardzo dobrze, żywo, interesująco. Uczniowie opanowali bardzo dużo pojęć z dziedziny literatury. Jeden z nich zapytany, przypomniał w związku z tekstem słynne wyrażenie Montaigne'a o „więzieniu trzymanej w niewoli młodzieży“.

Inny orientuje się w ideach pedagogicznych Jean-Jacques'a Rousseau, wyłożonych w „Emilu“. W sumie od-

nosi się wrażenie, że profesor rozszerza jak tylko możliwe horyzont intelektualny swoich uczniów i podsuwa im interesujące punkty widzenia.

Klasa zna życiorys Wiktora Hugo.

Komentarz dotyczy treści — (plan, podział, ogólne idee) i formy. Profesor starannie unika banalnych parafraz, zbyt często nazywanych pretensjonalnie „wyjaśnianiem tekstu“. Stwierdzam z przyjemnością wielką troskę o ścisłość komentarza treściowego.

Opowiadają, że dawni uczeni wietnamscy, który byli naprawdę wykształceni, w latach 1895 — 1898 zaklinali się tylko na mistrza LU (Rousseau) i MANH (Montesquieu), czytany w chińskim przekładzie. Wszystkim znane są zdolności uczniów wietnamskich. Ułatwia to zadanie profesorom.

Cieszymy się szczerze, że Moskwa, Chiny i Wietnam czczą Wiktora Hugo i nie zapominają, że w Wietnamie cywilny mandaryn zawsze górował nad mandarynem wojskowym (cedant arma togae). W rzeczywistości każdy Wietnamczyk interpretuje na swój sposób poniższe wiersze A. Chénier (w jego liście do Voltaire'a):

**Lamiąc złudną koronę możnych,
Trzy tysiące lat przeszło nad po-
piolami Homera,
I Homer szanowany przez trzy ty-
siące lat
Młody jest jeszcze chwałą i nie-
śmiertelnością.**

Mógłbym założyć się, że Jegu Ekscelencja Trang Cong Tuong, wice-minister sprawiedliwości rządu Wietnamskiej Republiki Demokratycznej przetłumaczyłby wam doskonale

„Semper florentis Homeri“ Lukrecjusza.

Na tej podstawie można by wnioskować, że Ronsard lub Montaigne, Moliere lub Racine, Musset lub Victor Hugo, lub Balzac i wielu innych znanych będzie przez następne pokolenia, kiedy już od dawna zapomniani zostaną gubernatorzy i wysocy komisarze.

Ponieważ jednak żywię głębokie przeświadczenie, że tylko szybkie zakończenie tej wojny może umożliwić prawdziwy rozkwit literatury i sztuki i scementować na zawsze najpiękniejszą z unii, zakończę najpierw dwoma cytataми. Pokażą one wszystko, co można by uzyskać, gdyby umiało powrócić do „tego klimatu szkoły“, o którym mówiłem na początku.

Prof. Nguyen Manh Thuong, autor świetnego artykułu w nr 20 miesięcznika „W Obronie Pokoju“, pokazał, z jaką uwagą i radością partyzanci uczyli się w nocy języka francuskiego, przy blasku małej dymiącej lampki, zasilanej olejem kokosowym.

Powiedział do mnie w Wiedniu: „Widzi pan. Jeszcze dla was pracujemy“.

A dr. Le Dinh Tam, przewodnicząca delegacji wietnamskiej na Kongresie Narodów w Wiedniu, wyznała mi: „Dokładamy wielkich wysiłków, by pozostawić nauczanie języka francuskiego. Wojna ogranicza naturalnie nasze możliwości, sprawa nie jest więc łatwa. Trzeba myśleć o przyszłości“.

Myśli, które tutaj rzuciłem na papier, wykażą być może, że dawniejszy profesor zawsze starał się wznieść ponad „dusze książkowe, aby wszech

świat nie stał się jedynie atramentem i papierem“.

Wyciągam list z mojej teczki. Stary wietnamski przyjaciel, profesor, tak jak ja na emeryturze, powie ostatnie zdanie tego artykułu; należy ich wysłuchać:

„Ludzka jest miłość sprawiedliwości i niepodległości. Zasadniczą rzeczą jest zrozumieć się i ułożyć. Jakkolwiek by było, mapa świata jest dzisiaj bardzo zawiła, a ci, którzy to uczynili, poniosą za to odpowiedzialność przed historią. Pragnę z całego mojego serca, aby pokój pozwolił Wietnamowi odrodzić się i wejść w normalne ramy świata. Wojna jest nienawistna, praca jest piękna. Gdybym miał na nowo rozpocząć moje życie dla pracy, uczyniłbym to z zapalem.

Wiem, że moi rodacy bynajmniej nie nienawidzą Francuzów, ale kocha

ją niepodległość. Niech Francja da nam Wolność, a my podejmiemy się stworzyć atmosferę przyjaźni: „Przestanie płynąć krew wietnamska i francuska i będzie dość pieniędzy dla tych, którzy źle mieszkają“.

Człowiek, który napisał ten list, uczylł tysiące Francuzów języka wietnamskiego i francuskiego tysiące Wietnamczyków. Pomógł mi on „urosnąć o drugą duszę“. To daje mi jedno tylko prawo, ale korzystam z niego, prawo, by powiedzieć, że można mieć zaufanie do Wietnamskiej Republiki Demokratycznej.

Skoro mimo wojny Wietnamska Republika Demokratyczna „przetrwała“ potrafi, twierdzę, korzystać z pokoju, by wszystkie swoje zasoby rozwinąć w kierunku pożądanego postępu. Również „na wzór francuski“.



KOMISJA Spraw Zagranicznych Francuskiego Zgromadzenia Narodowego powzięła niedawno uchwałę, która ma wartość ostrzeżenia. 24 głosami przeciwko 18, przy 2 wstrzymujących się od głosowania Komisja wypowiedziała się w dniu 9 czerwca br. przeciwko ratyfikacji układu o „europejskiej wspólnocie obronnej“, przyjmując sprawozdanie socjalistycznego deputowanego Jules Mocha, zalecające odrzucenie projektu armii europejskiej.

W tymże miesiącu nakładem wydawnictwa Robert Laffont w Paryżu wyszła bardzo godna uwagi książka pióra Jules Mocha, poświęcona analizie projektu armii europejskiej, którą autor krytykuje zarówno jeśli chodzi o formę jak i o zasady. Przedmiotem głównego ataku krytyki Jules Mocha są: międzynarodowe konsekwencje układu o armii europejskiej, sprawa funkcjonowania tej armii, sprawa techniki wojskowej i francuskie problemy wewnętrzne. Poniżej zamieszczamy kilka wyjątków z rozdziału poświęconego międzynarodowym konsekwencjom układu.

OSTRZEGAM !

JULES MOCH

I. Projekt „pozostaje w faktycznej sprzeczności z układami międzynarodowymi zawartymi w latach 1944—1948“.

...,Zgodnie z tym tekstem (Uchwały Poczdamskie, podpisane 2 sierpnia 1945 r. — Red.), cele okupacji polegają na zupełnym rozbiciu i demilitaryzacji Niemiec... eliminacji lub nadzorze nad całym przemysłem niemieckim, który mógłby być użyty do celów produkcji wojskowej. W tym celu:

Wszystkie niemieckie siły zbrojne lądowe, morskie i powietrzne, oddziały SS, SA, SD i Gestapo łącznie z całą ich organizacją, sztabami i instytucjami, włączając w to Sztab Generalny, korpus oficerski, oddziały rezerwowe, szkoły wojskowe, organizacje weteranów wojennych i inne organizacje... służące do podtrzymywania tradycji wojskowej w Niemczech, będą zniesione całkowicie i ostatecznie, żeby nie dopuścić do odrodzenia się i reorganizacji niemieckiego militarizmu...

Cała broń miała być oddana do rozporządzenia Sojusznikom, albo zniszczona. Jej produkcja została zakazana.

W złożonej nazajutrz deklaracji Bidault Francja poparła cele postawione okupacji Niemiec w Uchwałach Poczdamskich, zgodziła się więc na całkowitą demilitaryzację tego kraju. Tymczasem układ o Europejskiej Wspólnocie Obronnej stanowi przeciwieństwo tekstu uchwalonego w Poczdamie“.

II. Projekt armii europejskiej „zwiększa napięcie, pogarszając stosunki z Rosją i utrudnia poszukiwanie rozwiązań pokojowych“.

...,Czy względne powiększenie zachodniego potencjału wojskowego kompensuje w wieku atomowym fakt pogłębienia rozbicia świata na dwa wrogie obozy i wynikające stąd ryzyka? Odpowiedź na to pytanie nie jest wcale zadowalająca. Tak więc, nawet ci obserwatorzy, którzy pozostali najbardziej nieufni wobec „zwrotu“, jakiego dokonali od przeszło roku przywódcy Kremla — powinni przyznać, że nie należy przystępować do ratyfikacji Układu Paryskiego akurat w momencie, kiedy rokowania międzynarodowe, podjęte w Berlinie z początkiem 1954 r., toczą się dalej w Genewie“...

III. Projekt armii europejskiej „komplikuje i opóźnia pokojowe zjednoczenie Niemiec“.

...,Wszyscy ci, którzy żądają obecnie, aby Niemiecka Republika Federalna jak najszybciej przystąpiła do realizacji układu o armii europejskiej, winni sobie zdać sprawę, że pierwszą i nieuniknioną bezpośrednią konsekwencją takiej decyzji będzie pogłębienie rozbicia Niemiec. Jeślibyśmy przyjęli układ o armii europejskiej, włączylibyśmy Niemiecką Republikę Federalną, definitywnie lub na długi okres czasu, do systemu sojuszków wojskowych, które Związek Radziecki uważa za skierowane przeciw sobie... Z punktu widzenia jedności Niemiec ryzyko tego rodzaju polityki jest zbyt wielkie... Należy najpierw wyczerpać wszystkie środki celem nawiązania poważnego kontaktu między czterema mocarstwami okupacyjnymi, zanim Niemiecka Republika Federalna zostanie związana definitywnymi zobowiązaniami“.

IV. Projekt układu o armii europejskiej „nie bierze pod uwagę żywotności uczuć narodowych, którym zagraża, nie stwarzając jednocześnie na to miejsce ducha europejskiego, oraz likwiduje suwerenność narodową w ważnych dziedzinach — na rzecz — nie ja-

kiejś narodowej demokracji — ale na rzecz wynarodowionej technokracji“.

...,Istotnie, Układ brutalnie niszczy suwerenność Francji w żywotnych dziedzinach. Niewątpliwie ktoś może odpowiedzieć, że w związku z zasadą jednomyślności w Radzie przy rozpatrywaniu spraw zasadniczych, minister francuski będzie mógł uzależnić swoją zgodę od uprzedniej aprobaty parlamentu. Jest to słuszne tylko teoretycznie i częściowo. Teoretycznie tylko, gdyż trudno sobie wyobrazić, że w okresie poważnego napięcia delegat francuski mógłby w ten sposób opóźniać decyzję, potrzebną najwyższemu odpowiedzialnemu Dowództwu. Częściowo tylko, gdyż w wypadku odwrotnym, minister, nawet poparty przez swój parlament, może pozostać bezsilnym — przy zastosowaniu tej samej właśnie reguły jednomyślności. Tak byłoby w wypadku, jeśli — po przedłużeniu służby wojskowej do dwu lat — Francja uznałaby za możliwe skrócić ją znów do 18 miesięcy po zlikwidowaniu kryzysu: sprzeciw jednego, jedyne państwa, tego na przykład, które żywiłoby rewindykacje terytorialne — wystarczyłoby, aby tego Francji zakazać...”

V. Projekt armii europejskiej „przyznaje dowództwu paktu atlantyckiego zbyt dużą rolę wobec państw członkowskich“.

...,Oto jeden tylko przykład z wielu. Najwyższe dowództwo NATO decyduje o rozmieszczeniu sił zbrojnych. Musi ono uzyskać zgodę zainteresowanego rządu, jeśli chodzi o stacjonowanie lotników amerykańskich w Anglii lub we Francji. Procedura jest więc prosta.

Natomiast jeśli chodzi o siły armii europejskiej, na przykład o rozmieszczenie kilkudziesięciu tysięcy Niemców w Alzacji jako „logistycznej“ flanki dywizji stacjonujących po prawym brzegu Renu, ma ono konsultować się z Francją tylko jeśli chodzi o sposób wykonania, a nie o samą zasadę rozmieszczenia wojsk obcych. Tu znajdujemy się u źródła, z którego wynikają fakty niesłuchanie złożone.

Tu właśnie leży źródło tym większych trudności, że można by cytować wiele podobnych przykładów, zwłaszcza jeśli chodzi o przygotowywanie planów mobilizacji, o określenie granic rejonów terytorialnych, podział rynków itd.

Tak więc suwerenność państw wchodzących w skład Europejskiej Wspólnoty Obronnej jest o wiele bardziej ograniczona, niż to się wydaje przy szybkiej lekturze Układu.“

VI. Projekt armii europejskiej „upośledza Francję na korzyść Niemiec“.

„...,Niemcy byli zdecydowani wykorzystać nadarzającą się szansę, kazać sobie zapłacić najwyższą cenę za swą zgodę na remilitaryzację, która przecież odpowiadała życzeniom wielu z nich. Stąd właśnie wzięło się proklamowanie — niemal na samym początku Układu — zasady niedyskryminacji.

Jednakże zasada ta została ujęta tak szeroko, że faktycznie oznacza ona dyskryminację Francji. Nie liczą się na przykład jako nasz wkład nasze ofiary w Indochinach, mimo twierdzenia, że ta bolesna kampania stanowi część ogólnej obrony wolnego świata.

A równocześnie, wraz ze zniknięciem większej części naszych narodowych sił zbrojnych — powstają kontyngenty niemieckie“.

VII. Projekt układu o armii europejskiej „daje Niemcom zachodnim pewną supremację w dziedzinie przemysłowej i możliwą supremację w dziedzinie militarnej“.

„...,Nie chodzi tylko o przewagę głosów w łonie Rady: problem jest bardziej szeroki, stanie on zarówno w Zgromadzeniu jak i w Komisariacie. Przyczyna tego leży w układzie sił ekonomicznych. Z chwilą gdy wyłoni się jakaś trudność tego rodzaju — a realizacja planów zbrojeniowych nieuniknienie je zrodzi — wtedy zaistnieje poważne niebezpieczeństwo, że znajdziemy się w mniejszości. Belgia bowiem i Holandia — pozostając w sensie politycznym naszymi wiernymi sojusznikami — gospodarczo są bardziej związane z Niemcami niż z nami. Współzależność zespołu nadreńskiego będzie wrażliwa w przyszłości.

Historia potwierdza nasze obawy. Wspólnicy Niemiec nigdy im nie dorównywali. Dowodem niech służą Franciszek-Józef, Mussolini, państwa hitlerowskiej Europy — podobnie jak w łonie Cesarstwa podrzędną rolę odgrywała Bawaria czy Radenia wobec Prus. Czy zwolennicy „Małej Europy“ pozostają nieczuli na tego rodzaju lekcje?“

..., „Nikt nie może przewidzieć, jaki będzie stan polityczny Niemiec po zjednoczeniu, którego data jest nieokreślona. Trzeba więc wziąć pod uwagę ryzyko zmian Układu, a nawet jego wypowiedzenia. Cała konstrukcja jest więc ułomna, A ułomność tę podkreśla redakcja jednej z klauzul Układu z Bonn, w której mocarstwa stwierdzają: „Zakładając, że te zjednoczone Niemcy przejmą zobowiązania Republiki Federalnej...” Zakładać jakąś hipotezę, to zupełnie coś innego niż nałożenie pewnego zobowiązania.

Tak więc, ostateczna wartość Układów z Bonn i Paryża zależy od niemożliwej do przewidzenia ewolucji sytuacji politycznej Niemiec aż do chwili zjednoczenia. Jakiż więc weksel in blanco każe się nam podpisać!

IX. Projekt „może zaszkodzić wysiłkom zorganizowania pokoju w warunkach rozbrojenia“.

..., „Ale rozbrojenia nie można osiągnąć w izolacji. Każdy układ w sprawie rozbrojenia łączy się z rozwiązaniem głównych sporów politycznych. **Pokój jest niepodzielny.** W żadnym miejscu nie dojdzie do rozbrojenia tak długo, jak długo będą się toczyć walki w jakimkolwiek miejscu. Każdy z partnerów pójdzie na ustępstwa w jednej sprawie tylko pod warunkiem, że może liczyć na ustępstwa przeciwnika w innej sprawie, porzuci jakąś pozycję tylko pod warunkiem, że to wycofanie się nie zwiększa jego ryzyka i jest wyrównane innymi korzyściami. 1

Stąd konieczność zwołania wielkiej konferencji z udziałem głównych zainteresowanych i mającej za przedmiot obrad całość problemów — na możliwie najwyższym szczeblu. Doprowadzenie do zwołania takiej konferencji winno być głównym zadaniem naszej dyplomacji, jeśli zatroszczy się ona o połączenie wysiłków, które dziś są rozproszone. Berlin i Genewa to tylko początki, o zbyt skromnej skali i zbyt ograniczonym przedmiocie. A jednak zrodziły się nadzieje, które mogłaby raz jeszcze obrócić w nicość ratyfikacja Układu Paryskiego..

„Oto — konkluduje Jules Moch — garść uwag natury międzynarodowej, które usprawiedliwiają stanowisko francuskich przeciwników Europejskiej Wspólnoty Obronnej“.

10.000 DELEGATOW

W PARYŻU

Z INICJATYWY francuskiego ruchu w obronie pokoju odbyła się w Paryżu w dniach 12 i 13 czerwca w Welodromie Zimowym manifestacja narodowa. Nie był to Kongres w obronie pokoju, toteż uczestnikami tej manifestacji nie byli wyłącznie członkowie ruchu.

Nie była to również konferencja w tym sensie, że wszyscy ci, którzy na nią przybyli, już tym samym wyrazili swoją zgodę na trzy cele manifestacji — odrzucenie projektu „europejskiej wspólnoty obronnej”, zawarcie pokoju w Indochinach i zakaz użycia broni atomowej.

Ta manifestacja opinii publicznej miała wykazać potęgę woli pokoju narodu francuskiego. Rezultat całkowicie odpowiadał nadziejom. Dziesięć tysięcy delegatów nie tylko z Paryża, ale ze wszystkich departamentów Francji zbierało się przez te dwa dni w Welodromie Zimowym.

Skład delegacji przedstawiał wachlarz najróżniejszych poglądów. Ta różnorodność znalazła wyraz w wystąpieniach. Słyszeliśmy przemówienia członków Rassemblement du Peuple Français, Mouvement Républicain Populaire, socjalistów, niezależnych, komunistów, będących autorytetami w odnośnych ugrupowaniach i partiach. To dowodzi, że niezależnie od zrozumiałych, istniejących między nimi rozbieżności, istnieje porozumienie co do sprawy pokoju i środków jego urzeczywistnienia.

Manifestacja zbiegła się z otwartym kryzysem parlamentarnym i politycznym we Francji, który wykazał, ile może zdziałać zaalarmowana i aktywna opinia publiczna.

Po raz pierwszy od zakończenia wojny rząd francuski upadł z powodu zasadniczego problemu polityki zagranicznej — wojny w Indochinach. Można powiedzieć, że naród interweniował w rokowaniach genewskich i to w kierunku zachowania pokoju.

Wszyscy uczestnicy manifestacji byli świadomi tego nowego czynnika, bowiem naród okazał się zdolny do obalenia rządu, który usiłował wieść go w kierunku przeciwnym sprawie pokoju. Naród może zatem postąpić jeszcze jeden krok dalej i otrzymać rząd, który wyrazi jego wolę czynami.

Rozumiemy, dlaczego manifestacja zakończyła się jednomyślnym uchwaleniem apelu do obywateli. W apelu tym żąda się w szczególności, aby we wszystkich miastach i we wszystkich wioskach obywatele obchodzili dzień 11 lipca jako dzień narodowego święta pokoju.

Delegacje, wybrane spośród możliwie najszerzych warstw ludności z poparciem wielu osobistości z gmin całego kraju, udadzą się do swoich rad miejskich i zażądają od mera, aby ich petycje przekazał parlamentarzystom i władzom publicznym. Jest to zastosowanie niepisanego prawa, prawa wnoszenia petycji, co stanowi trwały przepis francuskiego prawa cywilnego. Ale tym razem zasięg, jaki te petycje przybiorą na szczeblu narodowym, winien wywrzeć niezaprzeczalny wpływ w parlamencie.

Gilbert de Chambrun

Pokój, wieś, ptaki

il. HANS ERNI

ARYSTOFANES, obywatel ateński, urodził się prawdopodobnie w Eginie w roku 446 lub 445 przed n. e., to jest przed dwoma tysiącami czterystu latami.

Był on zapewne drobnym rolnikiem. Przed ludem ateńskim, który gorąco ukochał, ale surowo sądził, rozrzucał podczas świąt ku czci Dionizosa — w świetnych komediach lirycznych — uroki wsi, ptaków, prostego i radosnego życia chłopca, nieco je upiększając, a przede wszystkim pokoju, który w jego oczach stanowi najcenniejsze dobro człowieka.

Związany najściślej z życiem wiejskim, głęboko kochał pokój. Nienawidził tych, którzy parli do wojny i drapieżną satyrą piętnował ich jak przegięrzem. Jego siła inwencji słownej, to lirycznej, to znowu komicznej, miłość jaką otaczał najbliższe dobra człowieka — chleb, słońce, kwiaty, poezję — stanowcza odwaga, jakiej było trzeba, aby w owym czasie, w czasie trwania wojny w mieście, trawionym wojenną gorączką, publicznie bronić pokoju, bronić go tak szlachetnie mimo ataków, jakich był przedmiotem, niezrównana stałość — wszystko to i wiele jeszcze innych jego zalet dają mu prawo do naszej miłości i do naszego hołdu.

Światowa Rada Pokoju obchodzi i wzywa nas do uczczenia w Arystofanie — w latach 1954 i 1955 — jednego z największych poetów, który umiał w warunkach swojej epoki bronić pokoju, a co najmniej raz przyczynić się także do jego zwycięstwa.

Chór chłopów, winogradników i węglarzy

Więc jednak Wojan nigdy nie sędzie u mego stoła,
ni staroindyjskiej piał będzie gędźby, ze mną do społa
rozparty leżąc — on urodzony warchoł i pianiec,
który nas mnieniem śwem się cieszących, porwał w swój taniec,
wszystko popsował, obalił, wyciął w bojowej koście,
a żadną miarą nie dał się wzruszyć gorącej proście:
„Usiądź i przypij i zostań z nami jako druh słodki!“ —
co wszem pożogą nawiedził swoją nasze opłotki
i wszystko wino z winnic wytłoczył przed braniem.

(Antystrofa)

Siedzi przy uczcie, a pycha wielka wzdyma mu serce i płuca,
a na znak, iż mu dobrobyt służy, przed progi pierze wyrzuca...
Ach, czemuż pięknej Kiprydy dworko i Charyt wdzięcznych dużyco,
przed okiem mojem tak długoś lube taiła lico?
Przeczyby nas nie miał Eros połączyć w wieczystym spole,
z kwiecica bujnego — jak go malują — wieńcem na czole?
A może mniemasz, iżem dla ciebie już jest za stary?
Otóż trzy jeszcze, gdy mnie poślubisz, złożę Ci dary:
popod winnice zaoram pole w zagonne rzędy,
tuż wpodłe młode figowych drzewek powtykam pędy,
owo szczepione pięknie wybornych gron latoroście,
wreszcie oliwki zasadzę przednie wkrąg swojej włoście,
byśmy swe ciała mogli o nowiu maścić oboje.

(„ACHARY“)

tłum. WL. BUTRYMOWICZ

II. WYZWOLENIE POKOJU

Winobraniec przy pomocy ludu miast, toczących wówczas wojnę, wyzwolił Pokój, który uciekł w głąb jaskini.

Pokój wychodzi z jaskini w towarzystwie Obfitości i Królowej Świąt.

Winobraniec

O Pani gronodajna! Jakże mam cię witać?
Skądby wziąć słowo jakieś tysiącgarncowe,



by cię pozdrowić? Nie mam, nie zabrałem z domu...
Witajże, Urodzajko, i ty, Igro luba!
Jakżeś wdzięczna z oblicza, najmiłsza bogini!
A jak pachniesz, jak słodko woń twa serce muska!
Pachniesz -- zwolnieniem z wojska i olejkiem kwietnym.

Hermes

A może i plecakiem żołnierskim, jak sądzisz?...

Winobraniec

Mierzi mię wrogie męża wrogiego... plecیدło!
Cebuloodbijaniem wieje od tamtego;
od tej — zbiorem owoców, gościną, świętami
Dionisa, fletami, pieśnią Sofoklową,
kwiczołami, słówkami Eurypida —

Hermes

Kijem

po grzbiecie za oszczerstwo! Nie chce znać bogini
wieszczka, co się pieniacką paplaniną para!

Winobraniec

Bluszczem, moszczem cedzonym i owieczek bekiem,
baby w pole biegnącej rozhuśtanym łonem,
spitą dziewczką służebną, konwią przewróconą
i wszelkim inszym dobrem...

Hermes

Patrzaj, patrzaj! Widzisz,
jak tam pomiędzy sobą gwarzą miasta wasze,
pogodzone, wesołe, jak się cieszą, śmieją?

Winobraniec

I to posiniaczone całe, z podbitymi
oczyma, obstawione bańkami dokoła...

Hermes

A spójrz na widzów, twarzom przypatrz się: po minie
zawód poznasz od razu.

Winobraniec

(śmiejąc się)

Masz ci go, po minie!

Hermes

Ten tam kity do hełmów wyrabia: nie widzisz,
jak sobie włosy z głowy wrywa?

Winobraniec

A ówdzie
motykarz — jak się skopcił w sam nos płatnerzowi!

Hermes

A sierpiarz — jaki wesół! Patrz, jak się raduje!

Winobraniec

Jaką figę pokazał włóczniearzowi, rety!

Hermes

Ogłoś teraz oraczom, niech idą do domu.

Winobraniec

Słyszycie, ludzie! Oracze niech idą do domu,
niechaj biorą narzędzia i na rolę spieszą —
rażno, biegiem, bez dzirytów,
bez oszczepów, mieczów, tarcz!

Już starego, pocziwego
pełno wszędy miru dziś.

Pean wzniesście — i co żywo
do roboty, w pole, hej!

Przodownik chóru

Sprawiedliwym upragniony
i ratajom miły dniu!



z łaski dobrej, cnej bogini:
te powiedła — pamiętacie? —
i te figi, i te mirty,
i to słodkie młode winko,
i te fiołki koło studni,
te oliwki, za którymi, płaczem dzisiaj,
za to wszystko ją pozdrowicie
pieśnią z głębi wdzięcznych serc.

Chór

Witaj, witaj, pani miła!
Jakżem z przyjścia twego rad!
Tylem się, tyle natęsknił już
za twym obliczem! Do pól, do winnic
tak mi się chciało co prędzej biec!
cóż bo, coś bo, upragniona,
cóż droższego mogło być
dla nas, którzyśmy wieśniaczy
wiedli żywot, coś w pożytkibogatszego niżli ty?
Ileż rozkoszy za rządów twych,
ileż to uciech — bez grosza straty,
ileż radości miał wiejski lud!
Ah, prażuchą i zbawieniem
byłaś dla nas w one dni!
łozy cię nasze i grona winne,
figi cię nasze, młodziutkie figi,
wszystko, cię, pani, co rośnie, żrzeje,
śmiechem pozdrowi radosnym dziś! Witaj nam!



III. RADOŚĆ ZDEMOBILIZOWANEGO CHŁOPA

Pierwszy półchór

Takim rad! Takim rad!
Nareszciem się hełmów zbył,
Cebula, ser poszły w kął.
Nie lubię bitew, mieczów, tarcz,
a za to lubię w słotny dzień
z druhami przy kominie sięść,
gdzie trzaskają suche drwa,
pyszne drwa z wyschłych pni,
com je latem jeszcze ciął —
i popijać tęgie wino,
piec na węglach bób, żołędzie
słodkie smażyć — i całować
szelmę Trattę — poki czas:
żona w łaźni, pusty dom...

Przodownik chóru

Cóż bo może być miłszego?
zakończyłeś, człecz, siew
drobny deszczyk siąpi z nieba,
sąsiad zaś powiada tak:
„Cóż, kochany Komarchidzie,
coż będziemy robić dziś?
popić trochę by się zdało,
gdy nam tak dogadza bóg.
Żono, weźże tam fasoli
i trzy miary przypiecz nam,
I pszenicy trochę dodaj
i z komory dobądź fig.
Manesowi niechaj Syra
krzyknie, by do domu szedł:
Nie podobna, jako żywo,
dziś obcinać winnych łóz
ani kopać w takim błocie:
toć rozmiękło wszystko wkrąg!”
— „Do mnie zaś niech po kwiczoła
pójdzie kto i zięby dwie;
było tam i siary trochę,
i kawałki cztery też
zajęczyny, jeśli tylko

w nocy ich nie porwał kot:
 bo tam coś hałasowało
 szmer słyshałem jakiś, stuk...
 Z nich niech jeden ojcu dadzą,
 trzy zaś, chłopcze, przynieść nam.
 Proś Ajschina o mirtowych
 z jagodami witek sześć;
 a za jedną, chłopcze, drogą, i do Charinada skocz:
 niech przychodzi popić z nami,
 gdy życzliwie nam na pola
 dżdże łaskawe zsyła bóg“,

Drugi półchór

A gdy świerszcz pośród pól
 rozkoszną swą dzwoni pieśń,
 wychodzę rad w letni skwar
 i wśród lemniskich brodę łóz...
 I patrzę, czy dojrzewa kiść:
 to przecież skoroźrzały krzew...
 A tu widzę — figa już
 puchnie — hej, jakżem rad!
 Gdy dojrzeje, wgryzam się
 w słodki mięszs i jem, zajądam,
 pokrzykując: „Hory lube!“
 Napój warzę tymiankowy —
 I wśród lata tego chłop
 gruby robię się jak byk.

Przodownik drugiego półchóru

Nie jak ongi, gdy mi boży
 wróg kapitan w oczy lał —
 na łbie kity trzy, na grzbiecie
 jarzy się purpurą-płaszcz.

· tłum. prof. STEFAN SREBRNY

(„POKÓJ“)

IV. — GŁOS SŁOWIKA

Ptaszę brunatnych piór,
 Wśród ptasich najmilsze chmar,
 Moim hymnom dające wtór,
 O słowiczko ty moja —
 Przyszłaś, przyszłaś, jesteś!

Słodkiej gędzby niesiesz czar! —
Nuże, z fletni dobądź swych nut,
Niech rozdzwięczy się wiosenny cud,
Prowadź me anapesty!
Muzy ty leśna,
Tijo-tijo, tijo-tijo, tijo-tijo, tijo-tinks!
Dziwośpiewna! Z tobą nasz ród
Po mrocznych parowach i górskich polanach —
Tijo-tijo-tijo, tijo-tinks!
W bujnościastych jesionów zaszywa się chłód —
Tijo-tijo-tijo, tijo-tinks!
Aby z płowych gardziołków zawodzić tam pieśń,
Gędzba przeświątą leśnego czcić Pana,
Górskiej Macierzy taneczne wieść koła!
Toto — to, toto— to, toto— to, tinks!
Tam to niegdyś, niiby pszczoła,
Zbierał nasz Frynich melodyj swych miód
Nieśmiertelnych i z głuszy wam leśnej
Słodkie nosił pieśni —
Tijo-tijo-tijo, tijo-tinks!

V. — ŚPIEW ŁABĘDZI.

Także łabędzie
Tijo-tijo, tijo-tijo, tijo-tijo, tijo-tinks!
Wraz podnoszą śpiewny swój zgiełk,
Skrzydłami łopocząc na cześć Apollona,
Tijo-tijo-tijo, tijo-tinks!
Po obłocznych przestworzach rozlega się śpiew,
Wszelka zwierzyzna przystaje spłoszona,
Milkną w bezruchu i wiatry i fale —
Toto — to, toto— to, toto— to, tinks!
Echem grzmiały niebieskie dale,
Władców Olimpu ogarnął aż dziw,
A Charyty i Muzy wnet z góry
Pieją gromkim wtórem —
Tijo-tijo-tijo, tijo-tinks!

tłum. JÓZEF JEDLICZ-KAPUŚCINSKI

(„PTAKI“)

GEORGE SAND

Polska i Włochy

JANINE BOUISSOUNOUSE

MÓWI się często, że po każdym zwrocie w ewolucji intelektualnej i politycznej George Sand pani de Girardin mawiała żartem: „Cherchez l'homme“ („Stało się to za sprawą mężczyzny“).

Istotnie, sądzić by można, że wielbicielka i uczennica takich ludzi, jak Michel de Bourges, Pierre Leroux, Lamennais — George Sand dawała tylko odbicie ich idei i przekonań.

A jednak ta szlachetna, niesłychanie wrażliwa kobieta, nieustannie podlegająca pokusom, wiodła życie wzdłuż jednej tylko drogi, tej jaką stworzył przed nią Jean-Jacques Rousseau. On to umocnił jej miłość ludzkości, jej bardzo żywe poczucie niesprawiedliwości i nienawiści wobec społeczeństwa, które uważa za nienawistne i za stracone.

On to wiodł ją wtedy, kiedy prowadziła kampanię przeciw przesałdom, nim bardziej zdecydowanie zaatakowała własność i małżeństwo — świętą instytucję, sfalszowaną przez hipokryzję i grę interesów — zanim wysunęła żądane równouprawnienia obywatelskiego dla wszystkich kobiet

a dla kobiet z ludu — prawa do pracy i wyższej płacy.

Urodzona jako republikanka, po zostanie nią George Sand do końca mimo pewnych błędów (na przykład nie rozumie głębokiego znaczenia Komuny), skoro jako stara już pani z Nohant pisze we wrześniu 1870 r.: „Oto trzecie przebudzenie — idealnie piękne. Jest to nawet przebudzenie czwarte, bowiem rok 1830 był w swoich początkach republikański. Walki o tę szlachetną zdobycz mały, a dzisiaj zdobycz tę wyraża się tymi słowami: „Niech żyje Francja“ (...). Oto bóg wojny nosi miano ojczyzny i wolności“.

W 1848 r. George Sand grała rolę pierwszoplanową. Rząd prowizoryczny powierza jej redakcję „**Bulletin de la Republique**“ — rodzaj rozwieszanej na murach gazety-afisza. Pisze swoje „**Lettres au Peuple**“ i zakłada tygódnik „**La Cause au Peuple**“, w którym zamieszcza rozdziały swojej pracy pt.: „**Socjalizm**“, artykuły i sztukę „**Le Roi attend**“ („Król czeka“), wystawioną 9 kwietnia w Teatrze Republiki (dawniej Teatrze Francuskim).

George Sand bierze udział we wszystkich manifestacjach. Ledru-Rollin zarzuca jej, że 15 kwietnia podburzała powstańców, gdy tymczasem lud zgromadził się tylko po to, jak mówiła, by wyrazić swoją sympatię dla Polski.

George Sand nauczyła się znać i kochać Polskę, tę Polskę, bliską sercu każdego Francuza, tę Polskę, której imię „ma działanie magiczne i podburza cały lud paryski“ nie tylko poprzecz Chopina. Przeżyła ona cierpienia męczeńskiego kraju, które raz jeszcze ujrzała w „Paroles d'un Croyant („Słowach wierzącego“) wydanych w 1834 r. przez Lamennais.

Jesienią 1836 r. w Hotel de France u Liszta i Marie d'Agoult spotyka Mickiewicza, drugiego wielkiego emigranta i z tym nieporównanym wyczuciem z jakim natychmiast rozpoznaje geniusza, darzy go bezgranicznym podziwem.

Mickiewicz napisał po francusku wielki dramat „**Konfederacja Barska**“ i zaczął pisać „**Jasiński albo dwie Polski**“. George otrzymuje oba rękopisy do czytania. W jednym z listów tłumaczy się, że dokonała na marginesie notatek **piórem**, by zmieścić poprawki, napisane **olówkiem**.

„Mam tak wielki podziw i taką sympatię dla wszystkiego, co Pan napisał, że gdyby było coś do poprawienia w tym nowym dziele, nie umiałabym tego dostrzec. Toteż będę Panu mówić tylko o stylu. Tam gdzie styl panuje nad skcją wydał mi się on tak piękny, jak u żadnego pisarza władającego naszym językiem“. Czasem jednak, tam, gdzie akcja panuje nad stylem, wydaje jej się, że jest on nieco zbyt „niejednolity“.

Z karteczki z dnia 1 kwietnia 1837 r. dowiadujemy się, że George Sand zajmuje się wystawieniem dramatu Mickiewicza: „Dałam dramat panu Bodge. Czekam na odpowiedź“.

Wreszcie, po wielu latach, bo w 1840 r. pisze: „Jeżeli nie nadaje się on do wystawienia, czemużby go Pan nie wydrukował? Przypominam sobie, że jest piękny. Niech mi go Pan powierzy. Dlaczegoż miałby pozostać w ukryciu? Nic z tego, co Pan zrobił, nie może być niepotrzebne, lub obojętne“.

Uczęszcza pilnie na wykłady Mickiewicza, który w grudniu tegoż roku mianowany został profesorem w Collège de France. Poeta, którego żona choruje i który jest domatorskiego usposobienia, odwiedza czasem Micheleta i Edgara Quinet, ale chętniej — George Sand, gdzie ma **swój** fotel, a George Sand, która tak bardzo lubi dyskutować, pozwala mu zagłębiać się w milczącym marzeniu, gdy tymczasem Chopin zasiada do fortepianu.

Pisze do niego jeszcze wtedy, kiedy Mickiewicz wyklada na temat „Nieboskiej Komedii“ Krasińskiego, a po obiedzie, który w wigilię Bożego Narodzenia zgromadził trzydziestu siedmiu Polaków u wydawcy Januszkiewicza i w czasie którego Mickiewicz przemawiał, George Sand pisze: „W tych dniach wydarzył się dziwny wypadek jak na czasy, w jakich żyjemy. Nikt spośród tego zgromadzenia Polaków emigrantów nie może dokładnie powiedzieć, co się wydarzyło — ze wszystkich, którzy tam byli, każdy zachował odmienne wspomnienie. Jedni mówili, że Mickiewicz przemawiał pięć minut, inni — że godzinę... Mówił tak piękne rzeczy, że wszyscy zapadli w rodzaj transu. Słychać było tylko okrzyki i szlochy... Hrabia Plater (jeden z bohaterów powstania warszawskie-

go) był, powróciwszy do siebie, w stanie tak dziwnej egzaltacji, że żona jego sądziła, iż oszalał i bardzo się przeraziła“.

George miała wielu kochanków i ci jej kochankowie, których uwielbiała, pieściła, dręczyła, torturowała, nieco usuwają w cień jej przyjaciół, którzy zawsze znajdowali w niej najbardziej bezinteresowną i najbardziej aktywną przyjaciółkę. Ich opinie o „leśnej boginie“ zwracają w mniejszym stopniu uwagę na jej uwodzieńskie zamierzenia, aniżeli na jej chęć bliskiego kontaktu z twórczością i myślami tych przyjaciół.

Balzac w ten sposób opowiada pani Hańskiej o dniach i nocach, spędzonych na gawędach z powieściopisarką:

„Przybyłem do Nohant w tłusty czwartek około w pół do ósmej wieczorem. Ujrzałem koleżankę George Sand w szlafroku, palącą poobiednie cygaro, przy kominku w olbrzymim samotnym pokoju (...). Wiedzie ona życie, podobne do mojego. Kładzie się o szóstej rano i wstaje w południe. Ja kładę się spać o szóstej po południu, a wstaje o północy, ale naturalnie zastosowałem się do jej przyzwyczajień: od trzech dni gawędzimy od piątej po południu, po obiedzie, do piątej nad ranem.

W ten sposób poznałem ją lepiej w ciągu tych trzech rozmów, aniżeli w ciągu czterech poprzednich lat, kiedy do mnie przychodziła. (...)

Jest chłopakiem, jest artystą, jest wielką, szlachetną, przywiązaną, czystą, ma męskie cechy — zatem, nie jest już kobietą. Tak jak i poprzednio, również i przez te trzy dni

szczerých rozmów nie czułem potrzeby rozwijania tej powierzchownej galanterii, jaką trzeba stosować we Francji i w Polsce wobec każdego typu kobiet.

Rozmawiałem z nią jak z kolegą. Ma wysokie zalety, te zalety, które społeczeństwo ocenia akurat odwrotnie. Dyskutowaliśmy poważnie z dobrą wolą, prostotą, sumiennością, godnymi wielkich pasterzy, wiodących stada ludzi — o poważnych problemach małżeństwa i wolności“.

George Sand wciela doskonałe uczucia francuskich republikanów z 1848 r. solidaryzujących się z tymi wszystkimi, którzy w Polsce, na Węgrzech, we Włoszech walczą o wyzwolenie.

Ze swoim zwykłym zapałem podziwiała wielką postać włoskiego **Risorgimento**.

Jak wiadomo, nadzieje wszystkich włoskich patriotów wiązały się z osobą Piusa IX. Okrzyk „**Niech żyje Pius IX!**“ wydawał się buntowniczy władzom austriackim, które w Mediolanie kazały sieć i rąbać manifestantów, a nawet stał się podejrzany dla rzymskiej policji. Niewątpliwie Pius IX chciał polepszyć położenie swoich poddanych, ale na pewno ani trochę nie myślał o popieraniu rewolucji, którą usiłował zorganizować przebywający na wygnaniu Mazzini.

Kiedy 8 września 1847 r. Mazzini skierował z Londynu list do papieża, o roli Stolicy Apostolskiej i sytuacji na Półwyspie Apenińskim, „**Austriacki Odszczepus**“ z 29 stycznia 1848 r. potępił to wystąpienie i zażądał ekskomuniki niebezpiecznego powstańca.

George Sand przetłumaczyła list Mazziniego i wysłała do „*Constitutionnela*“, który zamieścił go 7 lutego 1848 r. wraz z „gorącymi rozważaniami“, załączonymi przez George Sand. Oto one:

„Panie Redaktorze!

Posyłam Panu wraz z prośbą o zamieszczenie w Pana piśmie list Józefa Mazziniego do papieża Piusa IX. List ten wcale nie był przeznaczony do publikacji. Doszedł bezpośrednio do Ojca Świętego. Czy go czytał? Jakże na nim wywarł wrażenie? Nie wiem. Kiedy w całych Włoszech rozpowszechniano zniekształcone kopie tego listu pewien włoski patriota postanowił wydrukować go w pełnym brzmieniu i dobrze zrobił.

Mazzini, ten szlachetny wygnaniec, którego historię zna cały świat, jest nie tylko bohaterem w uczuciach przywiązania i odwagi; jest to wielka i czysta inteligencja, jasna jak słońce Włoch i prosta, jak prawda. Piszę po francusku jak po włosku, w którym pisze świetnie. Jest więc rzeczą godną pożałowania, że sam nie przetłumaczył na nasz język znakomitego listu, który mam zaszczyt Panu przekazać...

...Nie uprawiam polityki, Panie Redaktorze — pisze dalej George Sand — dlatego mogę powiedzieć wszystko, co myślę. A jednak nie mogę mówić o tym na tym miejscu, gdzie nie jestem powołana do złożenia wyznania wiary i gdzie wykład moich wierzeń religijnych byłby zupełnie niewłaściwy.

Uczynię jak mój szlachetny przyjaciel Mazzini, który w swoim liście do papieża powstrzymał się od wy-

rażenia poglądu o formach przyszlęgo kultu. Każdy nosi w swoich myślach jakąś formę przyszlęgo, z czego powstać by mogła w rezultacie jedynie wielka anarchia.

Ale to co może być powiedziane przez każdego z nas, kiedy przechodzimy przed chrześcijańskim Kapi tolem z mniej lub bardziej głębokim ukłonem, czyż może wyrazić się w paru słowach i czyż tych parę słów może być pożytecznych dla wszystkich, bez obrazy dla tej szanowanej świątyni, która nosi w swoich wnętrzach całą historię przeszłości Europy? Tak. A oto tych parę słów: „Ojciec Święty, bądź dobrym chrześcijaninem“.

George Sand interesuje się rozwojem sytuacji we Włoszech, bowiem w dziesięć lat później, na rocznicę Garibaldiiego, którego portret widziała u zagorzałych jego zwolenników w Velay i Cévennes, pisze z Nohant:

„Dlaczego nie miałby zająć miejsca wśród patronów biednych ludzi, on, który dla ludu włoskiego jest twórcą nowej wiary?“ Piszę życiorys Garibaldiiego, który ma wówczas pięćdziesiąt dwa lata — od jego ucieczki z Genui w 1834 r., ściganego za „sprawę liberalizmu“ aż do powrotu do Nicei, potem jak został w Ameryce Południowej generałem powstańców i walczył ze swymi legionistami na swej ojczystej ziemi przeciw Austrii.

W zakończeniu pisze: „Tacy ludzie to dusza narodu. Garibaldi jest uosobieniem odradzających się Włoch“.

W dniu 26 maja 1860 r. pisze jeszcze z Nohant: „Dzisiaj Mediolańczyk jest oswobodzony, centrum Włoch ogłosiło zasadę jedności. Sy-

cylią powstała przeciw Burbonowi z Neapolu, a Garibaldi jest na Sycylii. Wieść o jego zwycięstwach wyprzedziła jego przybycie, a dzisiaj 26 maja, nie wiemy tutaj, czy Palermo nie znalazło się już w jego rękach.

W tym pełnym przygód życiu więcej jest legendy niż kiedykolwiek, ale ta legenda to także historia. Dla Garibaldiego, nie, jak się zdaje, nie jest niemożliwe. (...) Z garścią godnych siebie śmiałków pójdzie przeciw olbrzymiej armii. Towarzyszą mu tajemnica i poważanie (...), w obozie wroga panuje panika. Uciekają przed nim może nawet zanim jeszcze go ujrzą. Na dworze neapolitańskim panuje przerażenie (...).

Przez niego drżą trony. Jest pochodnią nowej ery. Cała Europa spogląda na niego i budzi się co rana, zadając sobie pytanie, gdzie jest i co robił dnia poprzedniego...

Mamy głębokie przeświadczenie, że każdy kto kocha Włochy, pragnie, aby żyły w tym momencie ze wszyst-

kich swoich sił, całą swoją wielkością, wszystkimi swoimi komórkami, całą swoją chwałą“.

* * *

Sto pięćdziesiąta rocznica urodzin George Sand wywołuje naturalnie wzrost zainteresowania zarówno dla jej dzieła jak i dla jej awanturniczego życia. Najczęściej podkreśla się drastyczny aspekt tych awantur. Czasem również, co prawda, oddaje się sprawiedliwość jej szlachetności i wartości społecznej jej pism.

Może nie było też zbyt cenną rzeczą przypomnieć, że jak u wszystkich patriotów tej epoki, jej przekonania demokratyczne były nierozdzielnie związane ze wspólnym dla wszystkich wolnych ludzi Europy i świata ideałem. Bronić sprawy ludu oznaczało dla niej tyle co bronić sprawy **wszystkich ludów**, sprawy wyzwolenia narodów uciskanych i ich braterskiej jedności.



I.



Nowa powieść

ILJI ERENBURGA

ODWILŻ

MARIA Iljiniszna była zdenerwowana, okulary zsunęły jej się na czubek nosa, a siwe kędziory podskakiwały.

Oświadczyła:

— Oddaję głos towarzyszowi Braininowi. Przygotowuje się towarzysz Korotiejew.

Dmitrij Siergiejewicz Korotiejew uniósł nieco wąskie ciemne brwi — robił to zawsze, gdy się dziwił; wiedział jednak, że ma zabrać głos w dyskusji literackiej. Dawno już prosiła go o to bibliotekarka Maria Iljiniszna, zgodził się.

W zakładach przemysłowych wszyscy odnosili się do Korotiejewa z szacunkiem. Dyrektor Iwan Wasiliewicz Żurawlew przyznał się niedawno sekretarzowi Komitetu Miejskiego, że bez Korotiejewa produkcję obrabiarek szybkościowego skrawania należałoby odłożyć do następnego kwartału. Dmitrija Siergiejewicza ceniono, nie tylko jako dobrego inżyniera, — podziwiano jego wszechstronną wiedzę, rozum, skromność. Główny konstruktor Sokołowski, mający opinię człowieka złośliwego, ani razu nie powiedział o Korotiejewie złego słowa. A Maria Iljiniszna, gdy porozmawiała kiedyś z Korotiejewem na temat literatury, opowiadała potem z zachwytem: „On wyjątkowo czuje Czechowa!“ Jasne, że dyskusja literacka, do której przygotowywała się przeszło miesiąc, jak uczennica do trudnego egzaminu, nie mogła odbyć się bez Korotiejewa.

Inżynier Brainin rozłożył przed sobą plik papierków; mówił bardzo szybko, jak gdyby bojąc się, że nie zdąży wszystkiego powiedzieć, czasami robił męczące przerwy, wkładał okulary i grzebał w papierkach.

— Pomimo wad, o których słusznie mówili moi przedmówcy, powieść ma, że tak powiem, wielkie znaczenie wychowawcze. Dlaczego agronoma Zubcowa spotkało niepowodzenie w sprawie zalesiania? Autor prawidłowo, że tak powiem, ustawił zagadnienie — Zubcow nie doceniał znaczenia krytyki i samokrytyki. Oczywiście, mógłby mu pomóc sekretarz organizacji partyjnej Szebalin, lecz autor jasno wykazał do czego prowadzi lekceważenie zasady kolektywnego kierownictwa.

Powieść będzie mogła wejść do złotej serii naszej literatury, jeżeli autor, że tak powiem, weźmie pod uwagę krytykę i przepracuje niektóre epizody.

W klubie było tłoczno, ludzie stali w przejściach, przy drzwiach. Powieść młodego autora, wydana przez wydawnictwo obwodowe, jak widać, poruszyła czytelników. Lecz Brainin zmęczył wszystkich i przydługimi cytatami, i swoim „że tak powiem“ i nudnym urzędowym głosem. Dla przyzwoitości obdarzono go skąpyimi oklaskami. Wszyscy ożywili się, gdy Maria Iljiniszna oświadczyła:

— Głos ma towarzysz Korotiejew. Przygotowuje się towarzysza Stolarow.

Dmitrij Siergiejewicz mówił żywo, słuchano go. Lecz Maria Iljiniszna była widocznie niezadowolona: nie, o Czechowie mówił on inaczej. Dlaczego napadł na Zubcowa? Czuję się, że powieść mu się nie spodobała... Korotiejew jednak chwalił powieść: prawdziwe są postacie i zarozumiały Szebalina, i młodej uczciwej komunistki Fiedorowej. Również Zubcow jest żywą postacią.

— Powiem szczerze, nie podobał mi się tylko sposób, w jaki autor odsłania życie osobiste Zubcowa. Wypadek, który opisuje, jest przede wszystkim mało prawdopodobny. Ponadto nie ma w tym nic typowego. Czytelnik nie

wierzy, że zbyt pewny siebie, lecz uczciwy agronom zakochał się w żonie swego kolegi, kokietce i kobiecie lekkomyślnej, z którą nie wiąza go zainteresowania duchowe. Wydaje mi się, że autor polecał na tanią sensację. Naprawdę, nasi ludzie radzieccy są duchowo bardziej czystszy, poważniejsi, zaś miłość Zubcowa jakoś mechanicznie została przeniesiona na strony powieści radzieckiej z utworów pisarzy burżuazyjnych.

Po zakończeniu przemówienia Korotiejewa rozległy się oklaski. Jednym spodobała się ironia Dmitrija Siergiejewicza: opowiadał on, jak młodzi pisarze, przyjeżdżając w teren z notatnikiem, pośpiesznie wypytują z dziesięciu osób i oświadczają, że „zebrali materiały do powieści“. Innym schlebilo, że Korotiejew uważa ich za ludzi bardziej szlachetnych i bardziej skomplikowanych wewnętrznie, niż bohater powieści. Inni znów klaskali dlatego, że Korotiejew — to w ogóle mądry człowiek.

Żurawlew, który siedział w prezydium, głośno powiedział do Marii Iljinisznyny: „Dobrze dał mu w skórę, to bezsporne“. Maria Iljinisznina nic nie odpowiedziała.

Tylko żona Żurawlewa, Lena, nauczycielka, zdaje się, nie klaskała. Zawsze pozuje na oryginalność — westchnął Żurawlew.

Korotiejew usiadł na miejsce i niejasno pomyślał: zaczyna się grypa. Byłoby głupio rozchorować się teraz: na głowie ma projekt Brainina. Nie należało zabierać głosu: powtarzałem elementarne prawdy. Głowa boli. Tu nie do wytrzymania gorąco.

Nie słuchał co mówiła Katia Stolarow i drgnął na dźwięk oklasków, które przerwały jej słowa. Katię znał z pracy: była to wesoła dziewczyna, bardzo jasna blondynka, bez brwi. Na twarzy jej malował się wyraz jakiegoś bezustannego zachwyty nad życiem. Zmusił się do słuchania. Katia nie zgadzała się z nim:

— Nie rozumiem towarzysza Korotiejewa. Nie powiem, że powieść ta jest napisana klasycznie, jak na przykład „Anna Karenina“, lecz ona porywa. Od wielu to słyszałam. Burżuazyjni pisarze nie mają z tym nic wspólnego. Człowiek, według mnie, ma serce, więc, męczy się. Co w tym złego? Otwarcie powiem, w moim życiu też były takie chwile... Jednym słowem, to chwytają za serce, więc nie wolno odrzucać...

Korotiejew pomyślał: no, któż by to powiedział, że skora do śmiechu Katia przeżyła już jakąś tragedię?... „Człowiek ma serce“... Nagle zatracił poczucie rzeczywistości, nie słuchał więcej przemówień, nie widział ani Marii Iljinisznnej, ani najeżonej kolcami brunatno-szarej palmy, ani półek z książkami — patrzył na Lenę i wszystkie tortury ostatnich miesięcy odrzucił.

Lena ani razu nie spojrzała na niego, on zaś tego pragnął i bał się. Tak samo było za każdym razem, gdy się spotykali. A przecież jeszcze latem swobodnie z nią rozmawiał, żartował, sprzeczał się. Wtedy często bywał u Żurawlewa, chociaż w głębi serca nie bardzo go lubił — uważał go za zbyt niefrasobliwego. Bywał on u Żurawlewa głównie dlatego, że interesowała go rozmowa z Leną: mądra to kobieta, w Moskwie rzadko się taką spotka. Oczywiście tu jest mniej jałowej gadaniny, ludzie więcej czytają, więcej myślą. Lecz Lena i tu jest wyjątkiem, wyczuwa się w niej głęboką indywidualność. Niezrozumiałe nawet, jak ona może żyć z Żurawlewem, jest wyższa od niego o głowę. Ale wygląda na to, że żyją w zgodzie, córka ich ma już pięć lat...

Wtedy Korotiejew przyglądał się z cichym zachwytem Lenie. Młody inżynier Sawczenko powiedział kiedyś do niego: „Moim zdaniem, jest ona prawdziwą pięknoscią“. Dmitrij Siergiejewicz pokiwał głową: „Nie... ale twarz ta pozostaje w pamięci“... Lena miała złotawe włosy, w słońcu rude i zielone

zamglone oczy, czasem figlarne, czasem bardzo smutne, najczęściej zaś niezrozumiałe — zdaje się jeszcze chwila i ona cała zginie, zniknie w ukośnym promieniu przenikającego do pokoju słońca.

Dobrze było wtedy, pomyślał Korotiejew. Wyszedł na ulicę. Ależ zamieć! A przecież gdy szedłem do klubu było cicho...

Korotiejew szedł w półśnie, nie pamiętał ani wieczoru dyskusyjnego, ani swego przemówienia. Przed nim była Lena — zniszczenie jego życia, gorączkowe marzenia ostatnich tygodni, bezsilność wobec siebie samego, bezsilność której dawniej nie znał. Co prawda koledzy uważali go za szczęściarza — wszystko mu się udawało i w ciągu dwu lat zyskał powszechne uznanie. Ale przecież za nim były nie tylko te dwa lata; niedawno skończył trzydzieści pięć i nie zawsze życie go psuło. Potrafił walczyć z trudnościami. Twarz jego długa i sucha, o wysokim wypukłym czole, o szarych oczach, czasem zimnych, czasem pieszczotliwie pobłażliwych, z faldą wokół ust znamionującą stanowczość, zdradzała siłę woli.

Był w dziesiątej klasie, gdy przeżył pierwsze wielkie nieszczęście. Jesienią 1936 roku aresztowano jego ojczyma. Rano spotkał kolo domu swego najlepszego przyjaciela Miszę Gribowa. Korotiejew zawołał go — chciał podzielić się zmartwieniem, zapytać co ma robić. Lecz Misza nabarmuszył się i bez słowa przeszedł na drugą stronę ulicy. Wkrótce Korotiejew został usunięty z Komsomołu. Matka płakała: „Co ty masz z tym wspólnego?” Pocięszal ją: „Tak nie wolno rozumować. To szczególny przypadek”. Poszedł pracować do zakładów przemysłowych; stłumił w sobie gniew, nie stał się odludkiem; znalazł nowych kolegów, był zadowolony z pracy, wieczorami uczył się, mówił do matki, że za parę lat będzie studentem.

W parę lat potem w skwarny dzień sierpniowy maszerował przez stęp z cofającą się dywizją. Był posepny, lecz nie upadał na duchu. Nie wiadomo dlaczego na nim właśnie generał wyładował swą złość, zwymyślał go wobec wszystkich od tchórzy i sobków, groził oddaniem pod sąd. Korotiejew spokojnie powiedział koledze: „To dobrze, że on wymyśla. Znaczy to, że jakoś się z tego wygrzebiemy...” Wkrótce potem odłamek pocisku trafił go w ramię. Przeleżał w szpitalu pół roku, potem wrócił na front i walczył do końca. Był zakochany w łączniczce Nataszy; batalion ich walczył już we Wrocławiu, gdy wyjaśniło się, że odwzajemnia mu uczucie; powiedziała: „Mroziś swoim wyglądem, aż strach podejść do ciebie, ale serce — nie, ja to od razu poczułam...” Marzył: skończy się wojna, będzie szczęście. Natasza zginęła bezsensownie — od miny, która wybuchła na ulicy Lipska dziesiątego maja, gdy nikt już nie myślał o śmierci. Korotiejew przeżył swe nieszczęście dzielnie, nikt z kolegów nawet nie domyślał się, jak mu było ciężko. Dopiero wiele lat potem, gdy matka powiedziała do niego: „Dlaczego się nie żenisz, przecież jesteś po trzydziestce, umrę — kto się tobą zaopiekuje”, przyznał się: „Ja, mam, straciłem szczęście na wojnie. Teraz mi to nie w głowie...”

W godzinach tęsknoty znał tylko jedno lekarstwo: pracę. Skończył wydział budowy maszyn. Jego praca dyplomowa spodobała się; chciano zatrzymać go przy politechnice, ale ktoś tam kogoś zaprotegował i Korotiejewa wysłano do zakładów przemysłowych w mieście nad Wołgą. Tu właśnie ludzie zobaczyli szczęściarza, człowieka, któremu się wszystko udaje.

Zurawlew, odnoszący się nieufnie do młodych, od razu ocenił zdolności Korotiejewa. Dmitrija Sergiejewicza wybrano do Komitetu Miejskiego; często wygłaszał referaty. Robotnicy chętnie dzielili się z nim myślami, uważali, że jest człowiekiem uczciwym i nie zepsutym powodzeniem.

Cóż więc się z nim stało? Dlaczego przestał panować nad sobą? Dlaczego kroczyć przez zamieć ponuro myślał o Lenie? Nie, nie myślał, tylko czuł, że ona nie odejdzie z jego życia. Co za przewidzenie? Głupio wyszło wszystko, dziecinnie. Do tego nie wiąże się to z jego całym życiem...

Zamieć nie ustawała, śnieg oślepiał, głużył. Nagle Korotiejew zatrzymał się; dookoła nie było nikogo, on zaś uniósł brwi i roześmiał się — przypominał sobie swe przemówienie na wieczorze dyskusyjnym. Czy to nie jest śmieszne? Wchodzę na mównicę i najspokojniej udowadniam, że czegoś takiego w ogóle nie bywa. Pisarz wymyślił Zubcowa, kazał mu zakochać się po uszy w żonie kolegi, ośmieszył go wobec wszystkich, następnie zaś, aby powiązać koniec z końcem, wyprawił do strefy podbiegunowej. Ma się rozumieć Korotiejew protestuje: „Jest to tani efekt, zjawisko nietypowe”. Tak, tak, zapamiętamy sobie, Dmitriju Siergiejewiczu, my z Zubcowem w ogóle nie istniejemy, nas wymyślono, nas szarpia za nitki, nas nie ma

Na pewno Lena teraz pyta siebie, co przedstawia sobą Korotiejew? Biurokrata? Żaloszny blagier? Przecież już kto jak kto, ale ona domyśla się. Kobiety orientują się w tym dużo lepiej. Ja nie mogłem się zdecydować na powiedzenie Nataszy wszystkiego prawie że do końca, ona zaś opowiadała mi potem: „Jeszcze na Soże zauważyłam. Pamiętasz bombardowanie, a ty koniecznie chciałeś się ogolić”... Możliwe, że orientuję się dobrze w obrabiankach, ale w uczuciach źle... Oczywiście Lena teraz natrzasa się ze mnie.

Zresztą, po co o tym myśleć? Lena — to żona Żurawlewa, nasze drogi są różne. Z otumanieniem można sobie dać radę. Rzecz w czym innym. Dlaczego rzeczywiście powiedziałem: „Tak nie bywa”? Nie wiem. W żadnym wypadku nie chciałem oszukiwać. Moje uczucia nikogo nie obchodzą, to jest prywatna sprawa inżyniera Korotiejewa. Książka zaś — to zjawisko społeczne. Po co pisać o takich rzeczach? To nikomu nie może pomóc. Z niepowodzeń Zubcowa w związku z zalesianiem czytelnik wyciągnie wnioski. Zaś uczucia do cudzej żony — to bezsensowny przeżytek. Miłość — to cement, wszyscy to mówią, taka jednak miłość przeżera. Nie, miałem rację zabierając głos. Ale nie w tym rzecz: należy koniecznie dać sobie radę ze sobą.

Okolo jasnej okrągłej latarni śnieg podobny był do stada ptaków przestraszonych lub podnieconych, unosił się, opadał, znów unosił się. Pod latarnią, trzymając się w objęciach, stali zakochani. Czy to nie Katia? — pomyślał Korotiejew. Dziewczyna krzyknęła i parka szybko poszła naprzód. Korotiejew uśmiechnął się. Może to Katia. Lub inna. Tak samo my z Nataszą chodziliśmy po parku pod Berlinem; tam było szare jezioro, ilie wodne i nagle na nas wpadł major... Wszystko to dobre w młodości. Należy wyrzucić bzdury z głowy. Raz i na zawsze.

Na ulicy było pusto; wszyscy dawno rozeszli się po domach — i ci, którzy krytykowali agronoma Zubcowa i ci, którzy oglądali w teatrze „Damę — niewidkę” i ci, którzy słuchali prelekcji na temat podniesienia hodowli bydła i ci, którzy byli z wizytą u przyjaciół. Nowe domy, w dzień nudne, teraz wydawały się dekoracją teatralną. Żółte okna walczyły ze śniegiem.

W domach mieszkają ludzie, kłócą się, śpią, męczą się, cieszą się. Różnie bywa w życiu... Ale wszystko to — drugi plan, najważniejsze to — praca.

Wiedział, że jedynie praca uratuje go i, zapalając zapalkę na ciemnych schodach, myślał z radością: zaraz siądę do projektu Brainina. Rozłożył na stole rysunki robocze, obliczenia. Za mocno pała — nie ma czym oddychać! Otworzył lufcik i do pokoju wdarły się płatki śniegu. Prawdopodobnie ma grype. A może to też przewidzenie? Trzeba pracować.

Zazwyczaj pracując, siedział nieruchomo, mógł tak przesiedzieć pół nocy. Teraz poruszał się co chwila, opierał się o poręcz krzesła, przedstawiał

lampę lub popielniczkę, chodził po pokoju. Wielki i jak gdyby obcy cień trwożliwie miotał się na białej ścianie.

Brainin ma rację, wiele zależy od spawania, którym łatwo jest spowodować wypaczenia. Jutro pomówię z Żurawlewem. Teraz oni piją herbatę i Lena mówi do niego: „Korotiejew postąpił jak biurokrata“. Ona się śmieje, ale Żurawlew bierze mnie w obronę: „Powieść to nie jego fach, natomiast on nieźle pracuje, to — najważniejsze“. Stusznie, Iwanie Wasiliewiczu, najważniejsze! Gdy Lena śmieje się, oczy jej ciemnieją; czasem śmieje się, a oczy są smutne. Brednie! Należy powiedzieć Żurawlewowi o reduktorach...

O piątej rano powiedział sam do siebie z satysfakcją: można z poprawkami polecić projekt Brainina... Spać już nie warto — niedługo do pracy. Ale nie spać trudno: znów do głowy będą się pchały bzdury. Może streścić w tomie notatki wszystkie poprawki do projektu Brainina? Łatwiej będzie przekonać Żurawlewa. I w ten sposób czas zleci...

Wciąż szaleje zawieja. Ale ciemne ulice ożyły: ludzie śpieszą do pracy. Ta sama jasna latarnia, te same białe ptaki, tylko zakochanych nie ma.

— Ależ świetny film! Całą noc nie spałam.

— Powiedz więc Jegorowi, zwolni cię, bo głupio jest wymigiwać się lekarskimi świadectwami.

— Dorsza sprzedają, dopchać się nie można.

A Korotiejew myśli: do jakiego stopnia mocne jest otumanienie! Nie przechodzi. Może w ogóle nie przejdzie, nie wiem. Czytałem o tym, trzeba to jednak przeżyć. Nieoczekiwanie uśmiechnął się: to bardzo głupio, ale, zdaje się, że jestem szczęśliwy...

2.

Po powrocie z wieczoru dyskusyjnego, Lena nakryła do stołu, przyniosła z kuchni czajnik, zimne kotlety, coś przy tym mówiła. Jednak Żurawlew zauważył, że jest wstrząśnięta. Gdyby zapytał ją, co się z nią dzieje, na pewno bardeno by się zmieszała, ale on odpowiedział: „Znów dwójelek nastawiałaś i denerwujesz się?“ Odpowiedziała z ulgą: „Tak“...

Iwan Wasiliewicz wziął gazetę (rano nie zdążył jej przeczytać); jadł i czytał, spoglądając czasem na żonę. Mówił: „Nikiforowi porządnie wlepili“, „że kompresorów nie starcza — to bezsporne“. Lena skwapliwie zgadzała się.

Dobrze, że czyta: ona może pomyśleć. Przecież dopiero teraz zrozumiała, że zdarzyło się coś do naprawienia. Jakże to straszne, że musi przeżyć to samotnie!...

W latach studenckich miała Lena dużo koleżanek, tutaj zaś niekiedy tęskniła: nie miała z kim rozmawiać. Teraz ciągnęło ją do ludzi, mających doświadczenie życiowe i żartowała sama z siebie: jestem nauczycielką, a ciągle jeszcze chcę być uczennicą. Do zeszłego roku w szkole pracował jeden z najciekawszych ludzi miasta — Andriej Iwanowicz Puchow. Odnosili się do niego wszyscy z szacunkiem: stary bolszewik, uczestnik wojny domowej, zdolny pedagog. Lena zaś uważała go za swego wybawcę: pomógł on jej wdrożyć się w pracę, pocieszał, gdy początkowo czuła się zagubiona wobec hałaśliwej i krnąbrnej dzieciarni, rozmawiał z nią, jak z własną córką. Nie mogła przeżyć dnia, by nie usłyszeć paru słów od Andrieja Iwanowicza. Lecz zeszłej zimy Puchow ciężko zachorował, lekarze stwierdzili astmę, zabronili pracować. Co prawda, teraz Andriej Iwanowicz czuje się lepiej, czasem zachodzi do szkoły — ciągnie go tam, ale Lena nie może się zdecydować na to, by

niepokoić go swoimi wątpliwościami, wyrzuca sobie: czas już żyć własnym rozumem, będzie miała niedługo trzydziestkę. Nie jest dziewczynką... Ale jakże ciężko, gdy nie ma kogo się poradzić.

Czasem wpada Lena do lekarza Wiergi Grigoriewny Szerer. Poznały się rok temu. Lena nie zapomni tego wieczoru: wtedy po raz pierwszy zrozumiała, że mąż jest dla niej obcy. Było to tak straszne, że przeplakała całą noc. Wiera Grigoriewna podoba się Lenie, lecz spotykają się one rzadko — Szerer jest zawsze zajęta. Poza tym jest jakaś zamknięta w sobie. Może dlatego, że żyje samotnie? Powiedziała do Leny: „Drugiego raz nie wychodzi” — straciła męża na wojnie. Lenie jest jakoś niezręcznie naprzykrzać się Wierze Grigoriewnie: ma swe własne zmartwienie.

Z Korotiejewem Lena zaprzyjaźniła się jakoś od razu. Opowiadała wiele o wojnie, o Niemczech, o kolegach; ludzie w jego opowiadaniach żyli i Lenie wydawało się, że zna ich dobrze. Sprzeczali się na temat książek: Lena mówiła, że nie wierzy jakoś w szczęście Woropajewa, zaś Korotiejew udawał, że to prawda. Jemu podobał się Listopad, jej zaś wydawał się bezduszny. O powieści Grossmana Korotiejew powiedział: „Wojnę pokazał uczciwie, tak bywa w rzeczywistości. Lecz bohaterowie u niego za dużo rozumują, więcej niż bywa w życiu, dlatego się im czasem nie wierzy”. Lena zaprotestowała: „A czyż pan mało rozumuje?”. Zmieszał się, wykrztusił: „Nie wolno stosować tego w dyskusji... Ale, widocznie znudziłem panią rozmową...”

Nigdy nie opowiadał Lenie ani o Nataszy, ani o swej wczesnej młodości, ale ona czuła, że nie jest takim „szczęściarzem”, jak to wydawało się Iwanowi Wasiliewiczowi. Ceniła w Korotiejewie i siłę ducha, i ukryty głęboko wewnętrzny niepokój: jest on żywym człowiekiem. Gdy zawarto rozejm w Korei wygłosił referat; Lena słuchała z zainteresowaniem, przedstawił dobrze klęskę amerykańskiej strategii, wyciągnął słuszne wnioski: inaczej się to skończyło niż w Hiszpanii i agresorzy muszą się zastanowić, ponadto wszędzie dojdą do głosu obrońcy pokoju. Wyszli z klubu razem i Korotiejew powiedział jej: „Na naszej politechnice studiowała dziewczyna z Korei. Małenka, jak dziecko... Ostatnio ciągle o niej myślę. Uśmiechała się wyjątkowo ładnie... Wspaniale, że teraz może znów się uśmiechać — przecież oni tyle przeżyli!

Lena pomyślała, że może tylko ona jedna zna tak dobrze Korotiejewa — i tego, który wygłaszał referat — i tego, który opowiadał o małej Koreance.

Czasami rozumiała go. Kiedyś opowiedziała mu, że o mały włos stałoby się wielkie nieszczęście z uczennicą klasy dziesiątej Warią Popow: „Usunięto ją z Komsomołu. Nie rozpatrzonego przypadku, nie wysłuchano jej. Co prawda w końcu wtrącił się Komitet Miejski. Teraz Warię przyjęto z powrotem. Ale niech sobie pan wyobrazi, co znaczy przeżyć to, mając lat siedemnaście! Przecież to tragedia... Winien jest oczywiście Fomin, ale on nawet nie dostał nagany. Czyż to jest dopuszczalne?... Czekala, że Korotiejew ją poprze, ale milczał. Gdyby mąż był na jego miejscu, pomyślałaby: tchórzy. Ale Korotiejewa szanowała i stwierdziła: z pewnością jeszcze wielu rzeczy w życiu nie rozumiem.

Nie zauważywszy tego, przywiązała się do Korotiejewa. Gdy nie przychodził, martwiła się, pytała męża: „Czy Dmitrij Siergiejewicz czasem nie zachorował?”. Było to w lecie. Wszystko wtedy wydawało jej się proste, zrozumiałe, dobre. Następnie Korotiejew wyjechał na urlop, na Kaukaz. Wrócił ponury; Lena pomyślała nawet: poznał jakąś dziewczynę i nie doszli do ładu... Zaczął unikać towarzystwa Leny. Dwa razy zatrzymywała go na ulicy;

mówił, że ma dużo roboty, ale nie długo wpadnie, na pewno, na pewno... Lena gubiła się w domysłach i nagle zdała sobie sprawę: ale ja za dużo o nim myślę. Czybym się zakochała?... Natychmiast jednak wyperswadowała sobie: w moim wieku nie robi się takich głupstw. Po prostu jest tu mało ciekawych ludzi i poza tym, przecież przyjaźniłiśmy się...

Na wieczór dyskusyjny poszła niechętnie: nudno, będą czytać z kartek, cytować artykuły z gazet, opowiadać treść książki: Żurawlew nalegał: sekretarz Komitetu Rejonowego powiedział, że przyjdzie, w ogóle wszyscy będą: „Co za głupie demonstracje? A poza tym ciebie to zainteresuje — Maria Iljiniżna mówiła, że będzie przemawiał Korotiejew“. Lena rozgniewała się: „To już jest mi całkiem obojętne“...

Iwan Wasiliewicz uśmiechnął się: „Wierz tu kobietom, uważała Korotiejewa niemal za geniusza, teraz zaś nawet nie jest ciekawa, co powie...“

Lena nie przypuszczała, że ten wieczór odegra taką rolę w jej życiu.

Gdy Korotiejew mówił, chciała wyjść, lub zakryć twarz rękami. Przecież mówił do niej: postanowił wyjaśnić, dlaczego nie przychodzi. Teraz wszystko jest zrozumiałe: uważa mnie za lekkomyślną, zwariowaną, jak bohaterka tej powieści. Uważa, że się w nim zakochałam i prawi repymendy. On jest człowiekiem przyzwyczajonym, głowę ma zajętą czym innym, poza tym w ogóle powinien zrozumieć, że czegoś takiego nie bywa. Jednym słowem mam nauczkę. Dlaczego przyszło mu do głowy wyjaśniać to przy wszystkich? Mogłby przyjść sam i powiedzieć. Prawdopodobnie zdecydował, że w ten sposób będzie to dla mnie bardziej obraźliwe, boi się, że nie dam mu spokoju. Może się nie bać: więcej mnie nie zobaczy.

W ten sposób oburzała się na Korotiejewa, idąc z mężem przez zamieć do domu. Żurawlew chciał zatelefonować po samochód, ale ona zaprotestowała, nagle, że nie ma o co się obrażać na Korotiejewa, nieszczerście tkwiło w niej samej. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że kocha Dmitrija Siergiejewicza, myślała, że w drodze trochę się uspokoi. Ale gdy weszła do domu, poczuła że ostatnio męczyła się dlatego, że nie przychodził, że nie zazna ani szczęścia, ani spokoju. Szybko przeszła do kuchni. Woda w czajniku długo nie chciała się zagotować i Lena mogła martwić się, nie czując na sobie zdumionego wzroku Iwana Wasiliewicza. Teraz już nie gniewała się na Korotiejewa, mówiła sobie: ma rację. Czyż nie wszystko jedno jaką formę wybrał, powinien był uczciwie mnie uprzedzić. Widział to, czego sama nie rozumiałam i wygarnął całą prawdę. Trzeba żyć. Ale jak?...

Siedziała w jadalni, podczas gdy Iwan Wasiliewicz jadł kolację, udawała, że pije herbatę. Dobrze, że w gazecie jest długi artykuł... Pomyślała ze zdziwieniem — to jest mój mąż...

Lena poznała Żurawlewa na wieczorze amatorskiej twórczości artystycznej. Wtedy kończyła instytut pedagogiczny.

Żurawlewa przysłano do miasta niedługo przed tym; mówił, że czuje się dobrze tylko wśród młodzieży i często bywał w instytucie. Lena brała udział w przedstawieniu, rolę dostała małą, grała słabo, ale gdy zaczęło tańczyć, Żurawlew zaprosił ją do tańca. Cały wieczór spędzili razem i odprowadził ją do internatu.

Iwan Wasiliewicz bardzo zmienił się w ciągu sześciu lat: rzecz nie w tym, że roztył się, rozplynął, obwisły mu policzki, uwydlatniła się łysina, (powiadają o nim „starszy człowiek“, on zaś ma trzydzieści siedem lat); ale zmieniły się jego oczy — spoglądały dawniej marząco, teraz zaś ma spokojne spojrzenie, pewne siebie, głos stał się rozkazujący i poza tym śmieje się tak, że innym wcale nie do śmiechu. Wszystko w nim jest teraz inne.

A może Lenie tylko tak się wydaje?

Gdy poznali się, pociągał ją radością życia, optymizmem, nigdy nie wpadał w zły nastrój, w najcięższych chwilach mówił, że zawsze można znaleźć wyjście. Teraz też tak rozumuje, ale teraz to gniewa Lenę.

Przychodzi naczelny inżynier Jegorow, zmieniony nie do poznania, mówi z wysiłkiem, że u jego żony stwierdzono raka. Lena powstrzymuje się, żeby nie zapłakać. Żurawlew zaś mówi: „Nie martwcie się — poprawi się. Medycyna teraz czyni cuda“. I w chwilę potem pyta Jegorowa: „Powiedzcie, Pawle Konstantinowiczu, jak to jest z obrabiarkami dla Stalingradu? Po raz trzeci zapytują... Latem sekretarz Komitetu Miejskiego w obecności Leny powiedział Murawiewowi, że nie można pozostawić robotników w nędznych chałupinkach i barakach, fundusze na budownictwo mieszkaniowe przyznane zostały jeszcze w zeszłym roku. Iwan Wasiliewicz spokojnie odparł: Bez hali do precyzyjnych odlewów najedliśmy się wstydu, to bezsporne. Przecież pierwsi wy gratulowaliście nam, gdy wykonaliśmy plan w stu szesnastu procentach. Co zaś do domów, to niepotrzebnie się niepokoić — one jeszcze nas przeżyją. W Moskwie widziałem jeszcze gorsze. Nie chce się denerwować, myślała Lena, na wszystko ma odpowiedź: „Jakoś się ułoży“. Egoista, prawdziwy egoista!

W młodym Żurawlewie pociągała lekka, pozbawiona złośliwości wesołość, lecz z latami gdzieś znikła. Miał on przykrości w pracy, przed trzema laty mówiono, że go zdejmą ze stanowiska, dwukrotnie jeździł do Moskwy, jakoś się ułożyło. Może z tego powodu zaczął rzadziej się uśmiechać? Może mężczy go odpowiedzialność za losy zakładów? A może po prostu zrobił się ociężały? Zresztą on i teraz ożywia się, gdy opowiada o obrabiarkach agregatowych, o tym, że w Moskwie przyjęto go wspaniale, że Nikiforow, który chciał go pogrzebać dostał po nosie. Dla Leny jest to tylko samozachwyt. Ale Iwan Wasiliewicz kocha zakłady, dumny jest z nich. Chwilami wydaje mu się, że zakłady i on — to jedno; jeżeli mu serdecznie ściskają dłoń, znaczy to, że pozdrawiają cały kolektyw, jeżeli zaś zakłady nie wykonają planu, będzie to osobistym żmartwieniem jego, Żurawlewa.

Czym interesuje się oprócz pracy?

Posiada on swe namiętności. Potrafi odmłodzić o dwadzieścia lat, gdy w niedzielę udaje się na ryby, lub omawia z Chitrowem na jaką przynętę lepiej biorą. To denerwuje Lenę: mógłby wziąć książkę, pójść do teatru, jemu zaś największą rozkosz sprawia patrzenie godzinami na spławik.

Lena nie rozumie również sympatii męża do Chitrowa. To sumienny pracownik, dobry ojciec rodziny; jest gruby, różowy i podobny do wielkiego niemowlęcia; ma przyjemny basowy głosik i zataczając się ze śmiechu, opowiada po raz setny wszystkim znane dowcipy. Chitrow święcie wierzy w mądrość i gwiazdę Iwana Wasiliewicza. Razem łowią ryby, czasem jeżdżą na polowanie, czasem grają w warcaby lub spokojnie wypijają pół litra. Żurawlew mówi o Chitrowie: „Na dobrych drożdżach wyrósł“.

Sokołowski kiedyś złośliwie zauważył: „Chitrow dawniej wędkę do rąk nie brał, teraz zaś zapewnia, że od dzieciństwa jest zapalonym rybakim, co więcej, wczoraj rzekł: „Szczupaka złapać jest trudniej, niż piskorza, to bezsporne“. Dla Leny Chitrow jest wstrętny, uważa go za pochlebcę i pewnego dnia, gdy rozgniewała się, zapytała męża: „Jakżeż ty możesz rozmawiać z nim całymi godzinami? Przecież on powtarza wszystko, co ty mówisz“. Iwan Wasiliewicz wzruszył ramionami: „Chitrow wcale nie jest durniem, ma zawsze oryginalne pomysły. Ty zbyt łatwo sądzisz o wszystkim, a sama nic nie rozumiesz“.

Żurawlew kocha ją, kocha córkę — Lena wie o tym. Ale nie o takim uczuciu marzyła, gdy postanowiła zostać jego żoną. Uważa ją za egzaltowaną, alekiedy uśmiecha się: „Powiadają, że dawniej dorożkarze żądali rubla, a wieżli za dziesięć kopiejek. Tak samo ty — chcesz targować się z życiem. A życie jest prostsze. I trudniejsze“.

W pierwszych latach wspólnego życia Lena usiłowała mówić z mężem o miłości, o przeznaczeniu w życiu, o tym, na czym polega szczęście. On uśmiechał się mile, ale zawsze urywał rozmowę, mówił, że musi pracować. Uważał Lenę za dobrą żonę, jest z nią szczęśliwy. Co prawda, ma ona pewne słabostki: chce, aby mówił jej ciągle o swych uczuciach, ale wszakże kobiety mają dużo większe wady.

Gdy Lena zaprzyjaźniła się z Korotiejewem, Iwan Wasiliewicz cieszył się z tego. Nie żywił żadnej zazdrości. Lena — to poważna kobieta. Ale chce czasami trochę pogadać, nawet i pokokietować, to jest naturalne. Ja zaś nie mam czasu. I nie umiem jej rozerwać. Korotiejew — to dobry inżynier, ale lubi zabłysnąć swymi wiadomościami, pochlebia mu to, że Lena słucha go, z otwartymi ustami...

Ostatnio, gdy Korotiejew przestał przychodzić, Iwan Wasiliewicz dziwił się. Czyżby się jej znudził? Tak! mądrała... Bieda w tym, że ona za bardzo mnie kocha, to bezsporne.

Lena, gdy tylko się pobrała, postawiła warunek: będzie uczyła; nie po to skończyła instytut, by zostać gospodynią domową. Praca porywała ją, próbowała zainteresować nią męża — pokazywała zeszyty szkolne, zachwycała się talentem staruszka Puchowa, skarżyła się na kierownika szkoły. Iwan Wasiliewicz kiedyś powiedział jej: „Ty myślisz, że mam mało własnych przykrości? Oczywiście, uczenie dzieciarni nie jest takie proste. Ale zakłady to też nie błahostka“.

Czy pracował dobrze, czy źle? Zdania były podzielone. Jedni mówili, że jest formalistą i człowiekiem, który kosztem innych chce się pozbyć odpowiedzialności, jeżeli zakłady wysunęły się na czołowe miejsce, to dzięki Jegorowowi, Korotiejewowi, Sokołowskiemu, Braininowi, zaś Żurawlew tylko im przeszkadza. Inni twierdzili, że Iwan Wasiliewicz to dobry administrator i uczciwy człowiek — a to jest najważniejsze. Nikt jednak nie wnosił zapasu do dyskusji, ani w ataku, ani w obronie. Żurawlew nie budził w ludziach silnych uczuć.

Lena uważała go za człowieka pewnego siebie, on tymczasem nie ufał sobie, lecz nie dzielił się wątpliwościami ani z głównym inżynierem, ani z Korotiejewem, uważał, że odpowiedzialność spoczywa na nim. Gdy Korotiejew pewnego dnia powiedział, że sprawozdanie jest sporządzone w zbyt tęczowych barwach, Żurawlew wzruszył ramionami: Korotiejew orientuje się w maszynach, lecz nie w tajnikach kierowania zakładami przemysłowymi. Iwan Wasiliewicz wie, że jeżeli napisać do Moskwy o nieporządkach, tam tylko skrzywią się i powiedzą: „Żurawlew robi panikę“. Ludzie lubią dowiadywać się przyjemnych nowin, a gdy im podaje się zamiast miodu pieprz — gniewają się.

Czasem mówił do żony: „Należy umieć również przemilczeć“. Lena widzi w tym tchórzostwo. Ale przecież Żurawlew walczył na froncie trzy lata, był pod Rżewem w najcięższych chwilach i towarzysze broni pamiętają go jako człowieka odważnego. Wspominając lata wojny, pewnego dnia powiedział Lenie: „Mogli zabić, to bezsporne, ale umrzeć — to nie sztuka. Ale jak Ci powiedzą: „Zdawaj ze wszystkiego sprawę“ — to inna melodia“...

Cokolwiek by mówili przeciwnicy Żurawlewa — zakłady miały dobrą opinię: w ciągu sześciu lat ani jednego niewypełnionego planu. Co prawda

wiceminister powiedział Iwanowi Wasiliewiczowi, że bezprawnie zadysponował funduszami na budownictwo mieszkaniowe, lecz Żurawlew pomyślał: to tylko formalność... Ministerstwo tak samo jak i ja zainteresowane jest przede wszystkim produkcją. Ma się rozumieć, pośpieszył uspokoić wiceministra: wszyscy robotnicy mają mieszkania, nie grozi żadna katastrofa i już rozpoczęto przygotowania do budowy trzech bloków. Rzeczywiście, w końcu roku zostały zatwierdzone i projekty, i kosztorysy, lecz Żurawlew nie śpieszył się z budową domów. Przewodniczący Komitetu Zakładowego po plenum KC powiedział mu ostrożnie: „Iwanie Wasiliewicz, czytaliście, co piszą?... Powinno się dawno dać ludziom mieszkania...” Żurawlew odpowiedział: „Damy”, lecz nie zastanowił się nad słowami Sibircewa! Iwan Wasiliewicz, będąc człowiekiem nie głupim, nie wyróżniał się elastycznością umysłu.

Jesienią w „Izwestiach” opublikowano artykuł o zakładach. Żurawlew surowo powiedział do korespondenta: „O mnie nie trzeba pisać. Liczby Wam podałem, głównie kładcie nacisk na produkcję. Możecie pochwalić Korotiejewa — zasłużył na to. Najważniejsze zaś — pomówcie z robotnikami, macie tu listę”... Jednakże korespondent wychwalał Żurawlewa, napisał, że zaliczyć go można do tych pracowników produkcji radzieckiej, którzy łączą śmiało pomysły z trzeźwym rozsądkiem i wielkim doświadczeniem. Przewodniczący miejskiego komitetu wykonawczego pogratulował przez telefon Iwanowi Wasiliewiczowi. Szóstego listopada na uroczystym posiedzeniu Żurawlew siedział w prezydium obok dowódcy okręgu wojskowego. W mieście mówiono: „Żurawlew idzie w górę”.

Nic dziwnego, że artysta malarz Władimir Andriejewicz Puchow, syn starego nauczyciela, który przed rokiem powrócił do miasta z Moskwy, maluje obecnie portret Żurawlewa. Władimir Andriejewicz lubi mówić: „Ze wszystkich loterii uznaję tylko taką, w której każdy bilet wygrywa”. Jeżeli on zamierza namalować portret Żurawlewa na doroczną wystawę, to jedynie dlatego, że model powinien zapewnić powodzenie jego pracy. W artykule, zamieszczonym w gazecie Puchowowi poświęca cały akapit, portret zaś zakupi muzeum. Iwan Wasiliewicz namalowany jest we wszystkich orderami, siedzi za wielkim biurkiem, na którym pięknie prezentuje się model obrabiarki. Zobaczywszy na stalugach niedokończony portret, Lena skrzywiła się: chciał pochlebić i nie wyszło — Żurawlew podobny jest do indyka...

Lenie wydawało się, że widzi męża na wskroś, lecz wiele rzeczy się nie domyślała. Iwan Wasiliewicz na przykład, szczerze martwił się, widząc w jakich mękach umiera żona Jegorowa, jednak niemal do ostatniego dnia niefrasobliwie mawiał: „Nic, wyzdrowieje”... Pośpinał, gdy zaglądając do wilgotnych, ciemnych chałup, w których gnieździł się robotnicy, wspominał swe dzieciństwo (pochodził z biednej wsi w kałużskim obwodzie). Przykro, że ludzie tak nędznie mieszkają. Natychmiast uspokajał siebie: te domy jeszcze trochę przetrzymają. Zaś bez hali precyzyjnych odlewów znaleźlibyśmy się na mieliźnie — to bezsporne. Zresztą nie jest im tak źle w tych domach. Czyż można ich warunki porównać z tymi w jakich żyli ich ojcowie? W przyszłym roku zbudujemy trzy bloki. Uważał, jeżeli mówić, że wszystko jest dobrze, to naprawdę wszystko stanie się lepsze. Najważniejsze — to trzymać się w garści. Jegorow sam chciał, żebym go podtrzymał na duchu. Sekret właśnie jest w tym: mniej patrzeć na czarne strony, wtedy tych stron będzie mniej, to bezsporne.

Pewnego dnia w montażowni wybuchł pożar. Iwan Wasiliewicz pokazał się z jak najlepszej strony: nie stracił głowy, działał tak umiejętnie, że z ogniem szybko dano sobie radę; należało nadrobić stracony czas, razem z grupą robotników całą noc pracował w montażowni, podtrzymywał ludzi na duchu.

Wkrótce po tym wypadku, który poruszył całe zakłady, Korotiejew powiedział Sokołowskiemu: „Powiedźcie, czy Was nie zadziwił Żurawlew? Przecież jest to człowiek pozbawiony wszelkiej inicjatywy, a tu nie stracił głowy“... Sokołowski zawsze drwił z Żurawlewa, lecz teraz po namyśle odpowiedział: „W tym wypadku macie rację. Ogrodnicy mówią o śpiącym pączku, — istnieją takie pączki na drzewach. Czasem przez wiele lat nie otwierają się. Jeżeli zaś zetnie się wierzchołek drzewa, śpiący pąk rozkwitnie. Tak samo Żurawlew — przeciętny urzędnik, lecz gdy tylko nadchodzi burza, wtedy on ożywa“.

W stosunkach między Żurawlewem a Leną decydującym wydarzeniem było nie spotkanie z Korotiejewem, lecz rozmowa, która miała miejsce przed rokiem, a której Iwan Wasiliewicz, nie przypisywał żadnego znaczenia.

Zachorowała Szuroczka. Lena chciała sprowadzić z miasta pediatrę Filimonowa, okazało się, że jest chory. Lena bardzo się denerwowała: wydawało jej się, że dziewczynka ma zapalenie płuc. Zadzwoiła do męża, który był w pracy. Żurawlew poradził: „Wezwij z naszego szpitala doktora Szerer“. Wiera Grigoriewna zbadała dziewczynkę, powiedziała: „Zwykła grypa, w płucach nic nie ma“. Lena ucieszyła się, lecz była tak wstrząśnięta, że głośno wypowiedziała swe myśli: „Czy się pani nie myli? Ono jakoś dziwnie oddycha“. Wiera Grigoriewna nieoczekiwanie wybuchnęła: „Jeżeli pani mi niedowierza, po co pani mnie wezwała“. Lena zaczerwieniła się: „Przepraszam, nie rozumiem co mówię. Doprawdy nie chciałam pani obrazić! To straszne“... Wtedy w oczach Wierę Grigoriewną ukazały się łzy i bardzo cicho powiedziała: „Niech mi pani wybaczy, to moja wina, jestem zdenerwowana. Czasem teraz trzeba wysłuchiwać tak przykrych rzeczy... po komunikacie... Żle, jeżeli lekarz zachowuje się tak jak ja“. Lena zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Odprowadziła Wierę Grigoriewnę do domu. Od tej pory zaprzyjaźniły się.

Od tego wieczoru w Lenie zrodziła się pogarda do męża. Przyszedł do domu późno, zmęczony, głodny, spytał jak Szuroczka. Lena zaczęła opowiadać o Wierze Grigoriewnie. Milczał. Lena nalegała: „Nie, powiedz, czy to nie jest oburzające? Co ona ma z tym wspólnego?“ Iwan Wasiliewicz powiedział pojednawczo: „Czego się denerwujesz? Przecież sam powiedziałem, żebyś wezwała doktor Szerer. Nic nie mam przeciwko niej, mówią, że jest dobrym lekarzem. Ale za bardzo ufać nie wolno, to bezsporne“.

Lena milcząc wyszła z pokoju. Wszystko, co się stopniowo w niej gromadziło, wyładowało się od razu. Płacząc, powtarzała: i on jest moim mężem!...

Wiele miesięcy po tym, po pożarze w zakładach, gdy Korotiejew wyraził pochwałę dla zachowania się Żurawlewa. Lena ledwie powstrzymała się, żeby nie zawołać: „Pan jego nie zna, to tchórz i człowiek bez serca“.

Gdy w gazetach ukazał się komunikat o rehabilitacji grupy lekarzy, Lena pobiegła do szpitala, wywołała Wierę Grigoriewnę, chciała coś powiedzieć i nie mogła, tylko uściśnęła ją.

Tegoż wieczora Iwan Wasiliewicz, ziewając, powiedział Lenie: „Okazuje się, oni nie są winni. Tak więc twoja Szerer na próżno się denerwowała...“ Lena nic nie odpowiadała.

Dlaczego nie odeszła od męża? Nie było jej go żal, chociaż wiedziała, że jest do niej przywiązany. Nie bała się trudności życiowych, ma pracę, potrafi zawsze zarobić na chleb dla siebie i Szuroczki. Najważniejsze jednak jest Szuroczka. Kocha ojca. On zmienia się, gdy jest z nią, staje się podobny do dawnego, młodego, bawi się, śmieje. Czy wolno odebrać dziewczynce ojca? Szuroczka niczemu nie jest winna. Winna jestem ja: wybrałam takiego. Więc i ja powinienam płacić.

Lena zaczęła przekonywać samą siebie, że można żyć i bez miłości. Ma ciekawą pracę, kolegów, Szuroczkę. Na tragedie teraz nie czas. Oczywiście Żurawlew — to tchórz, egoista, ale nie jest złodziejem, nie jest zdrajcą. A Szuroczka będzie miała ojca...

Znajomość z Korotiejewem odciągnęła ją od gorzkich myśli. Potem Korotiejew znikł; denerwowała się, gubiła się w domysłach, dlaczego nie przychodzi i mało myślała o mężu. Wszystko wyglądało jak dawniej: nalewała mu herbatę, pytała co słyszeć w zakładach. Była przekonana, że żyje jedynie dla Szuroczki i dla szkoły.

I oto teraz, po powrocie z klubu, zrozumiała, że Korotiejew zawładnął jej sercem. Było to dla niej tak nieoczekiwane, że czuła się zdruzgotana: ledwo mogła usiedzieć, czekając, aż Żurawlew wypije ostatnią szklankę herbaty.

Odłożywszy gazetę, nagle powiedział:

— Dlaczego tobie nie podobało się przemówienie Korotiejewa? Moim zdaniem mówił mądrze. Ja, co prawda, nie czytałem książki, ale co się tyczy radzieckiej rodziny — to bezsporne.

Lena niezwykle spokojnie odpowiedziała:

— Złe słuchałam... Mówiłam ci, że nie mam ochoty iść... Niepokoi mnie siódma klasa — jest bardzo trudna i wielu w niej słabych uczniów. Nie chciesz więcej herbaty? Pójdę popatrzeć na Szuroczkę...

Dziewczynka spała: było jej widocznie gorąco i leżała do połowy odkryta. Lena przykryła ją i zapłakała: może i ty też będziesz musiała to przeżyć... Mężczyznom jest łatwiej... Oczywiście, mam własne życie, szkołę, dzieci. Ale gdybyś wiedziała, jaka to męka! Wprost trudno dożyć do jutra... Szuroczko, co mamy robić? Nie wiem, zupełnie nie wiem...

3.

Wieczór, w którym odbyła się dyskusja literacka, był pamiętny również i w rodzinie nauczyciela Andrieja Iwanowicza Puchowa, chociaż ani on, ani jego domownicy nie byli w klubie. Sonia wybierała się tam, ale dyskusja literacka wypadła w dniu urodzin ojca — skończył właśnie sześćdziesiąt cztery lata. Nadzieжда Jegorowna postanowiła koniecznie uczcić to wydarzenie i przez trzy dni z rzędu Andriej Iwanowicz wysłuchiwał jej narzekan: ledwo mąkę dostałam, całe miasto obleciałam, a nie dostałam ani indyczki, ani gęsi, jajek jak na złość nie ma...

Nadzieжда Jegorowna początkowo miała zamiar zaprosić swą siostrę cioteczna z mężem emerytem, byłego dyrektora szkoły, rówieśnika Andrieja Iwanowicza i Brainina, lecz Puchow zaprotestował: „Dzieciom będzie nudno. Zaproś lepiej kolegów Soni i Wołodi. Niech młodzież się pobawi. My z tobą też pogrzejemy się u cudzego ogniska“.

Andriej Iwanowicz był człowiekiem towarzyskim, chętnie spotykał się z Braininem i z byłym dyrektorem szkoły, godzinami wysłuchiwał, jak siostra cioteczna Nadieжды Jegorowny opowiadała o reumatyzmie, o kąpielach błotnych, o leczeniu ukąszeniami pszczoł. Co wieczór zachodził do niedawno owodniałego Jegorowa, mieszkającego nieopodal, rozmawiał z nim o obrabiarzach, o ostatniej mowie Eisenhowera, o córce inżyniera, uczennicy szkoły muzycznej, starał się odciągnąć go od gorzkich myśli. Ale najlepiej czuł się Puchow z młodymi, może dlatego, że zachował w duszy zapal młodzieńczy, może dlatego, że był nauczycielem przeszło trzydzieści lat i przyzwyczaił się do młodzieży. Rozumiał strach przed egzaminami, tragedie pierwszej miłości i naiwne marzenia o sławie.

Jedynie we własnej rodzinie Andriej Iwanowicz czasem czuł się samotny.

Z żoną przeżył zgodnie przeszło trzydzieści lat. Nadieżda Jegorowna w młodości również była nauczycielką — wykładała w szkole dla dorosłych. Pierworodny Wołodia przyszedł na świat w głodnym dwudziestym roku. Gdy Nadieżda Jegorowna zainosila go do sztabu, aby pokazać ojcu, wartownik powiedział: „Dziewczynko, jeszcze go upuścisz”, — małutka, chuda, z krótko obciętymi włosami, wyglądała na dziecko. W rok później urodziła się córka i umarła, nie przeżywszy miesiąca. Nadieżda Jegorowna ciężko się rozchorowała. Operowano ją dwukrotnie. Puchow powrócił do pracy pedagogicznej, zaś Nadieżda Jegorowna stała się troskliwą żoną i matką. Sonia urodziła się wtedy, gdy jej matka zdążyła zapomnieć o dzienniku i książkach, roztyła się, rozlała. Młodość swą wspominała rzadko i ze zdziwieniem: wydawało jej się, że to nie ona, lecz inna kobieta przemawiała na wiecach żołnierskich, gdy chodziła w ciąży z Wołodią, cwałowała na koniu przez step, pomagała mężowi drukować ulotki. Dawno to było, bardzo dawno. Świat jej zwęził się, osiadł.

Gdy Puchow zeszłej jesieni zachorował, Nadieżda Jegorowna zrozumiała, że powinna ratować męża. Skarżyła się wszystkim, że Andriej Iwanowicz nie chce stosować się do zaleceń lekarzy, zachowuje się jak dziecko, nie rozumie niebezpieczeństwa. Andriej Iwanowicz jednak wiedział, że pozostało mu mało życia, właśnie dlatego nie chciał być inwalidą: jeżeli poddać się, motor przestanie działać.

Po raz pierwszy w ciągu długich lat wspólnego życia Nadieżda Jegorowna straciła panowanie nad sobą, gdyż mąż oświadczył jej, że jest już zdrow i za tydzień pójdzie do pracy. Nadieżda Jegorowna krzyczała, płakała, biegała po doktorach. Szerer powiedziała do niej: „Bezwarunkowo powinien leżeć, wytłumaczyłam mu to. Ale czasem człowiek sam lepiej niż wszyscy lekarze rozumie, czego mu trzeba. Powiedział mi, że bez pracy nie potrafi żyć. Niech pani nie nalega: Andriej Iwanowicz jest niezwykle człowiekiem“... Nadieżda Jegorowna nie uspokoiła się, chodziła do dyrektora szkoły, do miejskiego wydziału oświaty ludowej, do sekretarza Komitetu Miejskiego. Puchow do pracy nie wrócił.

Andriej Iwanowicz jednak nie siedział beczynnie. Zajmował się swymi byłymi uczniami, których ojcowie zginęli na wojnie i którzy rośli w trudnych warunkach — jeden ma matkę spekulankę, która wysyła chłopca na targ, drugi musi pielęgnować chorą siostrzyczkę, trzeci nie ma opieki i jest pod wpływem złych kolegów. Andriej Iwanowicz pomagał matkom, czym tylko mógł, odrabiał z chłopcami lekcje, opowiadał im o dalekiej przeszłości — o tym, jak zaczęła się rewolucja, jak zobaczył na ulicy Lenina, jak zatrzymano białych.

Nadieżda Jegorowna widziała, że siły męża gasną i co dzień Puchow słyszał narzekania, którym towarzyszyły łzy: „Andrieusza, poleż chociaż jeden dzień“... Musiał pamiętać przez cały czas, że śledzą go kochające oczy, okrutne w swej troskliwości, powstrzymywał się, aby nie wydać jęku w czasie ataku, zmuszał się do uśmiechu, do żartu.

Od dzieciństwa ukochanym dzieckiem Nadieżdy Jegorowny był Wołodia, ładny chłopiec o mądrych, drwiących oczach. Matka mówiła do sąsiadek: „Nie myślcie, że jest taki spokojny, ciągle się o niego boję“. Nie psocił, nie bił się z chłopcami, ale zachowując łagodny głos i pełen szacunku uśmiech, prawil impertynencje ojcu, którego nazywał „starogwardzistą“, zaczął kolegów, pisał obraźliwe wierszyki o znajomych dziewczynkach, rysował karykatury nauczycieli. Do rysowania zapalił się od wczesnego dzieciństwa.

stwa i matka, omdlewając ze szczęścia, myślała: może on na prawdę ma talent?...

Uczył się malarstwa w Moskwie i przyjeżdżając na wakacje, z uśmiechem opowiadał matce o swych profesorach, o premierach teatralnych, o dziewczynach z kawiarni „Czerwony mak” — opowiadał w ten sposób, jak gdyby był starym człowiekiem, znudzonym życiem. Nadieżda Jegorowna mówiła przerażona do męża: „Na pewno trafił w złe towarzystwo. Pomów z nim”. Andriej Iwanowicz w odpowiedzi na to tylko wzdychał — dawno już wszystkiego wypróbował przekonywał, prosił, gniewał się.

Los zadrwił sobie z niego: wszyscy mówili: „Puchow potrafi nawrócić nawet przestępców”, on zaś nie mógł dać sobie rady z własnym synem.

Wołodia zawsze zgadzał się z ojcem, ironicznie mrużąc przy tym oczy i Puchow wiedział, że chłopiec śmieje się z niego.

Po ukończeniu akademii, Wołodia namalował wielkie płótno „Uczta w kołchozie”. Obraz bardzo chwalono. Wołodia otrzymał w Moskwie pracownię, posłał matce pieniądze i napisał, że ma zamiar się żenić. Dziewczyna jednak wolała reżysera filmowego. Wołodia obraził się. Obraził się również na jury, które odrzuciło jego nową pracę „Wiec w hali fabrycznej”. Zdenerwował się i na zebraniu artystów-malarzy nieoczekiwanie dla wszystkich, również i dla siebie samego, napadł na wybitnych mistrzów, dwukrotnych i trzykrotnych laureatów. Wtedy to wyjaśniło się, że pracownię dano mu przez pomyłkę i że potrzebna jest dla jednego z nowych laureatów. Miał malować portret znakomitego hutnika, lecz obstalunek cofnięto. Wołodia zrozumiał, że narobił głupstw. Zaczął wychwalać malarzy, których obraził, krytykował swe prace, nazywał siebie „nieukiem” i „złym kolegą”, a potem oświadczył stanowczo że wyjeżdża na prowincję: „Chcę studiować dnie powszednie zakładów przemysłowych”...

Tak po długiej niebytności znów znalazł się w domu rodziców. O swych niepowodzeniach nie opowiadał — przeciwnie, ucieszył matkę: dostał długotrwały urlop twórczy, zamierza namalować wielki obraz o „szturmowym” temacie.

W rok później redaktor gazety obwodowej, stojąc przed obrazem Puchowa, przedstawiającym dwóch robotników czytających gazetę, zachwycił się: „Wielki artysta!” Popatrzenie no tylko na wyraz oczu tego młodego. Należy dać o nim wzmiankę petitem...

Mówiono, że Puchow jest kandydatem do Nagrody Stalinowskiej. Nadieżda Jegorowna gratulowała mu powodzenia. Wzruszył ramionami: „Tobie się podoba? Moim zdaniem jest to paskudztwo. Zresztą w Moskwie nie malują lepiej. W ogóle wolę o tym nie myśleć”...

Nadieżda Jegorowna podzieliła się myślami z mężem: „Na pewno dziewczyna, z którą miał się żenić Wołodia, jest okropną pozerką. Przecież wiesz, jak łatwo ulega on wpływom innych... A czy tobie podobają się jego obrazy?” Puchow niechętnie odpowiedział: „Mnie nie podobają się jego myśli. Wczoraj rozmawiał z Sonią na temat jakiejś książki. Sonia powiedziała, że w książce musi być idea. On zaś odparł: „Za idee nie płacą, z ideami można sobie kark skrócić. W książce musi być ideologia. Jak jest — to dobrze. Idee zaś mają wariaci”. I nieprawda, że ktoś może na niego wpłynąć, on sam potrafi każdego zepsuć! Gdy był chłopcem, też tak rozumował. Straszliwy cynizm, otóż to...”

Andriejowi Iwanowiczowi zadrżał głos i Nadieżda Jegorowna przestraszyła się: „Tobie nie wolno się denerwować”...

Nadieżda Jegorowna jeszcze raz pomyślała, że mąż jest niesprawiedliwy w stosunku do Wołodi. Na przykład Sonię zawsze tłumaczy... Nie domyśla-

ła się, że Puchow, który rzeczywiście uwielbiał córkę, ostatnimi czasy cierpiał widząc, że znikła między nimi dawna bliskość. Stawiał sobie zarzuty: zestarzałem się, nie mogę zrozumieć młodych, chcę żeby Sonia myślała tak samo jak ja, gdy byłem studentem. Widać jest to stała choroba: ojcowie nie potrafią zrozumieć dzieci. Mam rację potępiając Wołodę.

Z pewnością i wielu innych uważa go za karierowicza. Ale Soni nic nie mam do zarzucenia. Jeżeli czasami nie rozumiemy się nawzajem, to dlatego, że mówię językiem przeszłości. Dziwne tylko, dlaczego nie czuję takiego muru między sobą a moimi uczniami, Sawczenką lub Leną Żurawlewą. Prawdopodobnie im bardziej kocha się człowieka, tym trudniej jest go zrozumieć...

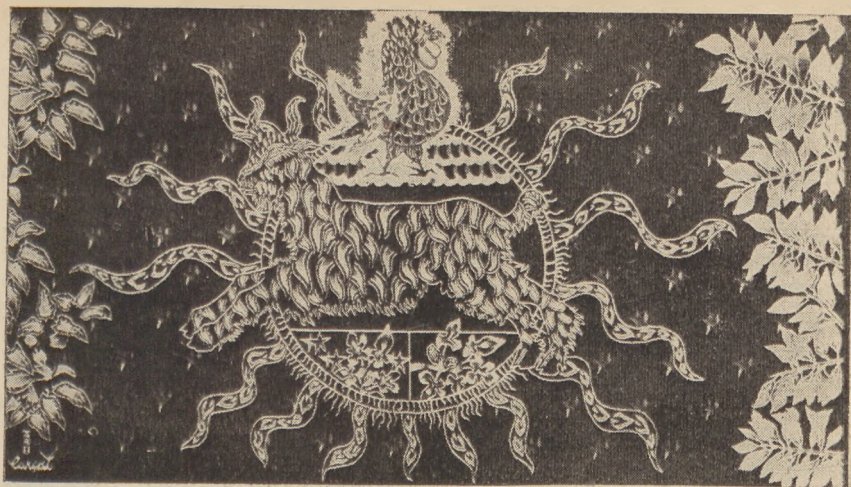
Sonia miała zrównoważony charakter, rzadko dawała poznać po sobie, że jest podniecona, nikomu nie powierzała swych serdecznych tajemnic. Oczywiście, rodzice dawno już zauważyli, że nie jest ona obojętna w stosunku do młodego inżyniera Sawczenki, który często do niej przychodził; ale gdy Nadieżda Jegorowna próbowała zacząć o nim rozmowę, Sonia spokojnie odparła: „Sympatyczny człowiek, tylko ty niesłusznie myślisz... Po prostu znajomy“. Parę razy Nadieżda Jegorowna zapraszała Sawczenkę na obiad w dniu urodzin Soni, po powrocie syna. Sonia zachowywała się wobec niego tak samo, jak wobec innych. Gdy zostawała z Sawczenką we dwoje, zmieniała się, twarz jej łagodniała, oczy mętniały. Kiedyś jesienią poszli do lasu: Sonia chciała zerwać gałęzi ze złotymi liśćmi. Wszystko dookoła było jaskrawe i smutne. Szli milcząc. Nagle Sawczenko objął ją; na chwilę straciła głowę, zaczęła go sama całować, ale natychmiast opanowała się i pobiegła w stronę drogi. Wieczorem powiedziała mu: „Należy poczekać... W lutym wyjaśni się, dokąd mnie skierują. Bo ty będziesz tu, a ja tam. Albo jeszcze lepiej: powiesz, żebym była na twoim utrzymaniu. Poza tym to jest w ogóle niemożliwe: jesteś tu mniej niż rok, Żurawlew nigdy nie da ci mieszkania“... Sawczenko wyszedł zdenerwowany: dlaczego ona tyle rozumuje? Nie wiedział, że po jego wyjściu Sonia położyła się twarzą do ściany i zapłakała. Może mówiłam głupio? Na pewno głupio. Lecz przecież nie, można nie myśleć o przyszłości. On jest dobry, ale wielu rzeczy nie rozumie...

Czy była na prawdę zbyt rozważna, jak to się wydawało Sawczence i Andriejowi Iwanowiczowi? Albo chciała tylko uchodzić za taką, uważając, że inaczej nie można, że wszystko pozostałe to „idealizm“, „donkiszoteria“, „bzdury“? Ojciec nie mógł zrozumieć, dlaczego mając zamiłowanie do literatury, poszła na politechnikę. Oświadczyła: „To jest potrzebniejsze. Łatwiej będzie znaleźć ciekawą pracę“. Na politechnice z zapalem zajęła się elektrotechniką, ale nie przestawała mówić: „Tego właśnie teraz trzeba“. Lubiła wiersze Lermontowa i Błoka, zaś do ojca powiedziała: „Jeżeli już uznaje się poezję, to jedynie Majakowskiego“... Matki żałowała i starała się pomóc jej w gospodarstwie, przy czym robiła wszystko spokojnie, rzeczowo; potrafiła w sklepie precyzyjnie się do lady, dogadać się z administratorem domu. Gdy Nadieżda Jegorowna skarżyła się, że ojciec nie odba o siebie, Sonia odpowiadała: „Musi coś zrobić, to go podtrzymuje“. Słuchając opowiadań Andrieja Iwanowicza, że Misza ma teraz same piątki lub, że Sasza z zapalem zajmuje się chemią, Sonia myślała: przecież jestem w porównaniu z nim starszą...

Kiedy składała mu życzenia w dniu urodzin, uśmiechnął się: „Nie ma się czego cieszyć: lat dużo przeżyłem, zrobiłem mało“. Sonia roześmiała się: „Mnie wydajesz się młody“.

(c. d. n.)

tłum. MARIA GRABOWSKA



JEAN LURÇAT

ojciec nowoczesnych gobelinów

ORYGINALNA wystawa objazdowa zawierająca 80 gobelinów, 41 płócien malarskich i 37 gwaszy Jean Lurcat wyjechała z Francji do Ameryki Płd., gdzie — zatrzymując się kolejno w Brazylii, Argentynie i Urugwaju — pozostanie do października. Choć nazwisko Jean Lurcat jest wszędzie znane, to jednak pożyteczne będzie przypomnieć długotrwały okres badań — ge-

nialnych i zarazem pełnych cierpliwości — które poprzedziły wskrzeszenie gobelinu.

W r. 1912 dwudziestoletni Lurcat opuszcza rodzinne Wogezy, aby udać się do Paryża. Jest to okres najwyższego rozkwitu kubizmu. Młody człowiek początkowo ulega jego wpływowi, lecz wkrótce się zeń otrząsa i żyje odtąd w świecie odosobnionym — jak gdyby na pustyni, gdzie

obecność człowieka wprowadza niepokój i zamieszanie. Błąkając się po bezkresnych pustkowiach, pod ciężko zwisającą kopułą nieba, wędrując wśród skał będących może szczątkami ruin — drobna istota ludzka zdaje się szamotać w jakimś koszmarnie, z którego nie może się uwolnić. Jednakowoż w tych odruchach jest od czasu do czasu coś jakby z wyzwania...

W r. 1915 Lurçat wykonuje swój pierwszy gobelin. Rozmówiony w malarstwie ściennym — podpisał w lipcu r. 1914 umowę jako nowicjusz w tym dziale sztuki. Rusztowania zostają wzniezione. Rozpoczyna się walka. W r. 1915 Lurçat zapada na tyfus. Podczas 6-miesięcznej rekonwalescencji odżywa w nim dawny problem i zaczyna go na nowo niepokoić. Artysta tak o tym mi opowiada:

— Powiedziałem sobie wówczas, że fresk to **nieruchomy** sposób wyrażania się i wskutek tego ma on ograniczone zastosowanie. Doszedłem do przekonania, że należałoby znaleźć sposób **ruchowej** dekoracji ściennej — rodzaj tkaniny, którą można by przymocować, zdjąć, zwinąć i łatwo przewozić z miejsca na miejsce.

Lurçat realizuje swój zamiar; otrzynuje zamówienia. Jeden z jego pierwszych wiekich gobelinów zatytułowany „Burza“, datujący się z r. 1927, znajduje się w Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Jest on wykonany na kanwie; metoda ta nie przedstawia specjalnych trudności produkcyjnych. W r. 1939 Lurçat zostaje wysłany wraz z Gromaire do Aubusson. Wiadomo, że tradycje

tamtejszych pracowni sięgają XV-go wieku. Nie zależą one od państwa, tak jak pracownie Beauvais i Gobelins, lecz opierają się na zamówieniach prywatnych. Gromaire nie wytrwał długo na tej drodze sztuki, której Lurçat nigdy już nie miał opuścić. Po przybyciu do Aubusson zostaje on połowę pracowni zamkniętych. Atelier — które niegdyś liczyło 14 rysowników i 300 pracowników — obecnie nie posiadało żadnego rysownika i składało się zaledwie z dwóch czeladników oraz trzech robotników. Dziś w centrum Aubusson znajduje się przeszło 50 pracowników. Zatrudniają one około 500—600 robotników, z których dwie trzecie wykonują gobeliny nowoczesne, jedna trzecia zaś wzoruje się na starych mistrzach.

— Aubusson — powiedział Lurçat — wiodło senny żywot, nieświadome sztuki współczesnej, zatraciłszy wszelki kontakt z wielkimi prądami naszej epoki.

Lurçat — dla którego tradycja nie jest ślepym naśladownictwem, lecz „odmłodzeniem“ — zrywa z rutyną, wprowadzającą gobelin do reprodukcji obrazu, i znajduje oryginalność oraz siłę natchnienia w czasach, którym zawdzięczamy **Apokalipsę** oraz **Kobiety z Jednorożcem**. Pustynia jego poprzednich obrazów pokrywa się gęstym listowiem nieznanych roślin, obfitością kwiatów, dojrzałych owoców i rozwijających się pąków. Zapelnia się dziwnymi i wspomniałymi zwierzętami, które na kształt języków ognia skaczą wśród jarzających się gwiazd. W otoczeniu tych przyjaznych żywiołów człowiek, tym razem, czuje się dobrze — tak jak nie-

gdyś tkacze, hafciarki i muzykantki, oddający się spokojnie swym zajęciom wśród legendarnych zwierząt.

W ciągu ostatnich dwóch wieków tkactwo gobelinowe służyło wyłącznie do dekoracji mieszkań arystokratów, schlebając upodobaniom różnych jednostek. Dziś — odrodzone — wiąże się ściśle z warunkami obecnego życia i służy przede wszystkim zbiorowości.

— Od trzech mniej więcej lat — mówił mi Jean Lurçat — liczba organizacji społecznych, zamawiających gobeliny wzrasta w zdumiewającym tempie.

W tym czasie powstały dwa gobeliny — o powierzchni 40 m kw. dla uczczenia Ruchu Oporu i 50 m. kw. dla kościoła w Assy.

Nie tak dawno jeszcze pewien prezydent policji wołał: „Kiedy skończymy wreszcie z tym skandalem Lur-

çata?“ Ów „skandal“ — to rewolucyjny przeskok z XVIII do XX stulecia. Lurçat bowiem — co samo przez się jest zrozumiałe — musiał zwalczać liczne przeszkody, stawiane mu tak przez czynniki oficjalne, jak i nieoficjalne; musiał burzyć wiele przyzwyczajęń, zanim idea jego zatriumfowała. Powinniśmy więc być szczęśliwi, że władze okazały zrozumienie dla sztuki Lurçata, będącej jednym z najbardziej wymownych wyrazów trwałości geniusza francuskiego. Powinniśmy być wdzięczni związkom kulturalnym za ułatwienie nam zorganizowania tej wystawy, która w ciągu długich miesięcy będzie objeżdżać Amerykę Południową. Dzięki podobnym inicjatywom, oraz równoczesnemu wzmożeniu handlu międzynarodowego — idea Pokoju będzie mogła zapanować na całym świecie.





Wakacje! Jak bardzo cieszymy się z nich! Oto poniżej kilka rad podyktowanych rozumem dla wahających się, dla tych wszystkich, którzy nie wiedzą jeszcze, dokąd jechać.

Jeżeli wakacje mają spełnić to, czego od nich oczekujemy, trzeba umieć znaleźć miejsce, gdzie się najlepiej wypocznie.

Nie jest bowiem rzeczą obojętną, czy udamy się nad morze, czy w góry, czy na wieś. Pobyt nad morzem nieraz dobrze robi tym, którzy nie korzystają z wakacji, spędzonych na wsi, czy też w górach.

Zresztą społeczeństwo nasze już się w tym orientuje i wielu lekarzy odpowiadać musi na pytanie — dokąd jechać?

Jest rzeczą oczywistą, że w obecnym okresie nauka o klimaterapii znajduje się jeszcze w powijkach, a w krajach zachodnich nie wypracowano jeszcze teoretycznej znajomości różnych typów ludzkich. (Pawłowska klasyfikacja według różnych typów nerwowych stanowi niewątpliwie decydujący krok naprzód w tej dziedzinie, toteż z zaintereso-

waniem oczekujemy rezultatów badań, podjętych przez naszych radzieckich kolegów).

Weźmy więc morze. Morze nie odpowiada wszystkim typom nerwowym. Ludzie bardzo nerwowi nie mogą spać na wybrzeżu, gdzie swobodnie hulają wichry. Jeżeli mimo to pragną spędzić wakacje nad morzem, trzeba im polecać miejscowości, osłonięte przed silnymi wicherami, co łagodzi ich chore nerwy.

Natomiast ludzie zmęczeni, zniechęceni, niektórzy chorzy, których ogólny stan zdrowia tego wymaga, czują się doskonale na wietrze, przepojonym jodem, we wzmacniającym klimacie północnego morza.

Trzeba również brać pod uwagę inne czynniki, niemal równie ważne, jak miejsce spędzania wakacji.

Przed wszystkim czas trwania wypoczynku. Są więc tacy, którzy po trzech tygodniach wczasów czu-

Niech żyją wakacje !

dr A. SAULNIER

ul. Henri Crespi

ją się doskonale, natomiast po dłuższym pobycie spostrzegają, że dobre rezultaty słabną, bądź nawet znikają i pobyt zaczyna im szkodzić. Odpowiecie mi na to, że rzadko zdarzają nam się zbyt długie wakacje. Zapewne, nie zapominajcie jednak o poświęceniu rodziców, którzy gotowi są nieraz wyrzec się wielu potrzebnych rzeczy, byle ich dzieci miały pięknie zarumienione policzki i dobre zdrowie...

Idealem byłoby połączyć wieś — dla wypoczynku i morze — dla wzmocnienia. Ale nad morzem trzeba wieść życie higieniczne, nie poddając się biernie samemu działaniu wiatru i umieć czynnie spędzać dzień, oczywiście po dobrym przespaniu pierwszych kilku nocy, co po-

zwoli nam zmniejszyć wyczerpanie nerwowe, będące udziałem nas wszystkich.

Trzeba nadto dzielić czas na różne zajęcia, nie należy zbyt długo przebywać w wodzie, nie nadużywać sportów, w miarę stosować kąpiel słoneczną. Nie należy zapominać o zbawiennym skutku spacerów po lesie i po polach.

Na wsi wzmocnienie następuje bardziej powoli. Wieś działa na nas kojąco dzięki całkowitemu wypoczynkowi, jaki mieszkańcowi miasta przynosi cisza i codzienne oglądanie niezmiennego krajobrazu. Jeżeli wczasowicz urodził się w tej właśnie okolicy, w której spędza wakacje, fakt, że może ponownie zanurzyć się w życiu, jakie kołysało go w dzie-

ciństwie, budzi w nim pojawienie się spokojnej pewności, osłabionej gorączkowym życiem w mieście.

Niektórzy chorzy, na przykład chorzy na serce, nie mogą znieść gór, które ich dosłownie duszą. Na wsi doskonale czują się również ludzie starzy.

Jeżeli chodzi o góry, należy odróżniać niskie góry poniżej tysiąca metrów, które działają podobnie jak pobyt na wsi z tym jednak, że wzmocnienie następuje szybciej, — od gór wysokich, które odpowiadają jedynie organizmom bardzo silnym, młodym i wysportowanym. Tym osobom ogromne korzyści daje pobyt w wysokich górach.

Wreszcie niektórym chorym doskonale robi po prostu kuracja klimatyczna. Ludzie z rozedmą płuc, lub chorzy na bronchit powinni przebywać w suchym klimacie, gruźlicy lepiej czują się w górach średniej wysokości.

JAK DZIAŁAJĄ WAKACJE?

Działają one poprzez różne mechanizmy ustroju, przy czym najbardziej odczuwają ich dobrodziejstwo nerwy, system nerwowy i najwyższy jego szczebel — mózg.

Powietrze i słońce pobudzają nerwy skóry, nerw wzrokowy, zapachy — nerw węchowy; skład chemiczny powietrza pobudza nerwy płuc, stwarzając odporność na codzienne bodźce, co zmniejsza normalne odruchy warunkowe i przekazuje podniecie do gruczołów dokrewnych. Stąd wypoczynek układu nerwowego, waż-

ne zmiany w krwioobiegu i pobudzenie gruczołów wydzielania wewnętrznego.

Nie ulega najmniejszej dla nikogo wątpliwości, że człowiek poważnie chory nie będzie mógł pozwolić sobie na przystosowanie się do nowego środowiska, co pochłania wiele energii — toteż człowieka takiego należy wysłać do takiej miejscowości, której klimat najmniej by go uraził.

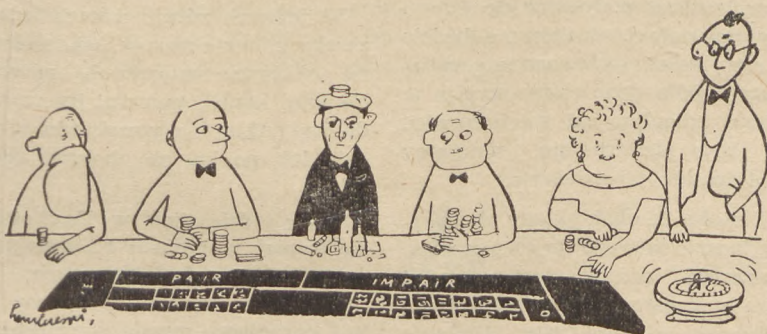
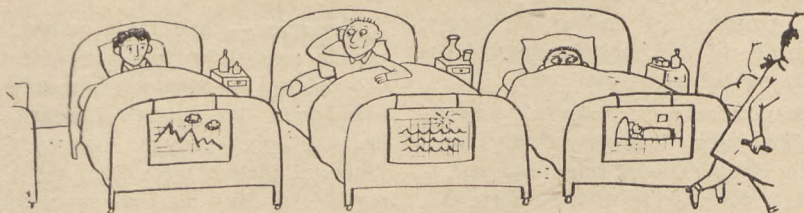
Również dla dziecka, które na przykład będzie musiało skupić wszystkie swoje zdolności organiczne dla zwalczenia infekcji gruźliczej, to znaczy, byłoby ze szkodą tworzenie tego rodzaju odporności, która — aby była korzystna — wymaga częściowej mobilizacji obronnych możliwości organizmu, przez co mogłaby odwrócić te możliwości od walki z bakterią Kocha.

KURACJA W ZDROJOWISKACH

Widzicie zatem, że miejsce, dokąd wybieracie się na wczasy nie jest rzeczą obojętną.

Pozostaje do rozpatrzenia sprawa kuracji w zdrojowiskach, które zarówno we Francji, jak w wielu innych krajach (Związek Radziecki, Czechosłowacja, Włochy itp.) rozwinęły się na szeroką skalę.

Ale czy kuracja w zdrojowisku jest skuteczna? Prawdę mówiąc, poglądy lekarzy są w tym względzie rozbieżne. Zdaniem niektórych kuracja w zdrojowiskach jest uniwersalnym środkiem na wszystkie choroby (są na ogół lekarze, pracujący w zdro-



jowiskach!), zdaniem innych — leczenie takie nic nie pomaga, a nawet miałyby być szkodliwe z powodu zmęczenia, jakie wywołuje. Prawdę mówiąc, nasze poglądy osobiste są też najrozmaitsze.

Przyznajemy, że nigdy nie zauważyliśmy, aby kuracja w zdrojowiskach działała cuda, natomiast sądzimy, że jako uzupełnienie dobrze dobranej, a przede wszystkim — starannie przeprowadzonego okresu leczniczego — kuracja w zdrojowisku może być bardzo pożyteczna.

Zadaniem lekarza jest uznać, jaki moment odpowiada przepisaniu pobytu w miejscowości zdrojowiskowej, która wydaje mu się najbardziej wskazana dla zdrowia pacjenta.

Nie zamierzamy na tym miejscu czynić przeglądu bogatej sieci zdrojowisk Francji, chcemy tylko powiedzieć, że dosyć jednostajny skład chemiczny wód leczniczych nie wyjaśnia całkowicie działania kuracji zdrojowiskowej.

Tak więc na przykład, jeżeli w Paryżu zaaplikujemy choremu wodę o sztucznym składzie chemicznym, jak najbardziej podobnym do składu wody naturalnej, skutek nie będzie taki sam. Jeżeli nawet wodę z naturalnego źródła nasz chory wypije w miejscu, odległym od miejscowości, skąd była zaczerpnięta, notujemy wielki spadek jej działania.

Być może, że obok składu chemicznego, bardzo łatwego do rozpoznania, skuteczność kuracji jest w dużej mierze spowodowana czynnikami nieskończenie nikłymi, jak działanie ciężkich metali, rzadkich gazów oraz

substancji promieniotwórczych, których promieniotwórczość szybko zanika.

Wreszcie — być może nawet, że przede wszystkim, miejscowości uzdrowiskowe są bogato wyposażone w urządzenia dla potrzeb klasycznego leczenia poza samym stosowaniem kąpeli i piciem wód. Tam też chorzy, nie mający nic innego do roboty, poddają się z większą dyscypliną i regularnością rozkazom lekarzy.

Kuracja trwa zazwyczaj trzy tygodnie. Nikt nie mógłby w sposób prawdziwie naukowy wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje. Po tych trzech tygodniach trzeba przeznaczyć pewien okres czasu na wypoczynek.

W zasadzie lekarze-specjaliści utrzymują, że dla uzyskania lepszego rezultatu kurację należy trzykrotnie powtarzać. Zasada trzykrotnego powtarzania kuracji, jak i zasada dwudziestu jeden dni nie ma żadnych naukowych podstaw, jakkolwiek napisano niezliczone ilości artykułów na jej poparcie.

Sposób prowadzenia kuracji zależy od składu chemicznego wód i od choroby, którą ma się wyleczyć.

W jednych zdrojowiskach leczenie polega głównie (jak w Aix-les-Bains) na lokalnych natryskach, masażach, lokalnej kąpeli parowej itp., a przede wszystkim na poruszaniu w wodzie lub po kąpeli chorymi stawami.

Gdzie indziej (jak w Dax) stosuje się kąpiel w błotach roślinno-mineralnych i promieniotwórczych.

W innych jeszcze (Vichy czy Vittel) kuracjusze przede wszystkim piją wodę, której znaczenie urasta wy-

rażnie do znaczenia symbolu. Cały bowiem dzień kuracjusza obraca się wokół powtarzanego w regularnych odstępach picia czarodziejskiej wody. To tłumaczy w znacznym stopniu jej skuteczność — niezależnie od pewnych jej zalet. Dodajmy, że surowy reżim, jaki temu zwykle towarzyszy, odgrywa wielką rolę w końcowym rezultacie kuracji.

Inne znowu zdrojowiska działają poprzez wdychanie pary ciepłej i lokalną irygację, przy czym picie wody jest tu tylko uzupełnieniem.

Są także wody, które działają drogą irygacji przewodu pokarmowego, wewnętrznych natrysków, lub nawet zastrzyków podskórnych i domięśniowych.

W żadnym jednak zdrojowisku nie zaniedbuje się mechanoterapii, masażu, fizjoterapii i nawet klasycznych sposobów leczenia. Oznacza to, że jeżeli kuracja w zdrojowiskach jest konieczna, to rzadko oddziałuje ona sama przez się — stanowi jedynie ogniwo możliwości terapeutycznych.

Ale jak działa taka kuracja?

Leczenie w zdrojowiskach, niezależnie od tego, jaką przybiera formę, działa przede wszystkim jako odruch

warunkowy. Działa poprzez zmianę otoczenia, atmosfery, poprzez troskę, jaką się otacza chorego, którego aktywność psychiczna skupia się wyłącznie na jego leczeniu, a wreszcie poprzez kontakt z innymi chorymi, co powoduje rywalizację.

Zmęczenie, czasem wywołane taką kuracją, tłumaczy się zbyt wielkim podnieceniem, które wymaga wypoczynku dla mózgu i stąd zasada wypoczynku po kuracji w zdrojowisku.

Wreszcie, nawet jeżeli istnieje działanie chemiczne, jest ono słabsze od zwykłego działania chemicznego stosowanych leków.

Ale uczciwie musimy przyznać, że w dobie obecnej są to jedynie hipotezy i że trzeba jeszcze ich dowieść.

Problem czasów, czy to chodzi o ludzi zdrowych, czy też o chorych należy w krajach kapitalistycznych do złożonych zagadnień natury społecznej i finansowej.

Sądzymy, że należy brać przykład z medycyny radzieckiej, która wysuwa problem wypoczynku i kuracji w zdrojowisku na pierwsze miejsce w dziedzinie terapii i która drogą organizacji lecznictwa sanatoryjnego i kuracji przynosi właściwe rozwiązanie problemu.



K I N O

**Świetny
amerykański
film
dokumentalny**



„Sól ziemi”

GERALD CAZAUBON

SZEROKA publiczność ocenia często film amerykański jako dziedzinę czegoś w rodzaju pogańskiej mitologii, obcej codziennemu życiu widzów z jej bogami i boginiami, rytuałami i legendami, świętymi miejscami. Mitologia reżimu życia gwiazd filmowych, sztuczny raj filmów zwanych „ucieczką od życia”.

Dzisiaj producenci z Hollywood, schwytni za gardło telewizją, rzucili się na cinemaskop. Odkrywają ekrany wszelkich rozmiarów, ale nie zmieniają samego charakteru filmów, które rzucają na rynek.

Z wyjątkiem kilku zaledwie rzadkich wyjątków Hollywood pozostaje sprzedawcą rozrywki i propagandy politycznej. A jednak równolegle z uporczywym trzymaniem się tej linii istnieją w Stanach Zjednoczonych filmowcy, którzy pragną czegoś zupełnie innego i którzy chcą realizować filmy, prawdziwie odbijające życie ich kraju.

Wbrew rządowej cenzurze filmy ich mają odwagę ukazywania codziennej rzeczywistości. Najbardziej uderzającym przykładem tego jest niedawno wyświetlany we Francji film „Sól ziemi”.

Film „Sól ziemi“, wywodzi się z tej tradycji demokratycznej, która we wszystkich dziedzinach kultury amerykańskiej przeciwstawia się tradycji ucieczki. Jest on bezpośrednim odbiciem ducha pierwszych pionierów cywilizacji amerykańskiej, którzy wykarczowali nowy kontynent, aby wprowadzić na nim ustrój sprawiedliwości i prawdy, nie znalazłszy go w Starym Świecie, jest wierny liberalnym zasadom, głoszonym przez Toma Paine'a, Thoreau, Emersona, Meville'a, Walda Whitmana, Dreiseira i wielu innych.

Ale równocześnie film ten jest owocem wielkiej szkoły kinematograficznej, amerykańskiej szkoły filmu dokumentalnego, która w ciągu około dwudziestu lat wyprodukowała wiele arcydzieł.

Szeroka publiczność mało zna tę szkołę, a to dlatego, że jej filmy nie korzystały z wielkich możliwości dystrybucji filmowej, obejmującej całą produkcję Hollywood. Zasługują one jednak na uwagę zarówno dzięki swoim walorom estetycznym, jak i zawartej w nich myśli przewodniej.

* * *

W 1929 r. Stanami Zjednoczonymi wstrząsnął poważny kryzys gospodarczy. Coraz więcej firm bankrutowało, bezrobocie stawało się powszechne, warunki życia coraz cięższe.

W obliczu tej katastrofalnej sytuacji kilku młodych filmowców uczuło potrzebę oddania w sztuce prawdziwego oblicza swojego kraju. Znali pobudzającą siłę oddziaływania filmu i rolę jaką mógł odegrać wśród szerokiej publiczności.

Widzieli przed paroma laty filmy,

zrealizowane przez Flaherty'ego w okęgach polarnych („Nanook“, 1920 r.) i na morzach południowych („Moana“, 1926 r.). Kręcąc kilometry taśmy w tych częściach kuli ziemskiej, zdołał Flaherty wyrazić autentyczny charakter ich mieszkańców, nie tworząc przy tym dzieła ani egzotycznego, ani też romantycznego.

Widzieli oni również filmy radzieckie, nakręcane po Wielkiej Rewolucji Październikowej i zrozumieli, że filmując wydarzenia z codziennego życia ich kraju w owej epoce, ich aparat stać się może czynnikiem prawdy i postępu społecznego.

Flaherty, tworząc swoje filmy, starał się pokazać w sposób liryczny nieustanną walkę, jaką człowiek musi staczać z naturą po to, by istnieć. Kręcąc swoje filmy, młodzi filmowcy starali się ukazać walkę, jaką człowiek musi staczać w łonie zorganizowanego społeczeństwa, by zdobyć lepsze warunki życia.

Z dala od stolicy filmu — Hollywood stworzyli niezależną grupę i przystąpili do pracy z małymi środkami i bez żadnego poparcia finansowego ze strony wielkich firm kinematograficznych.

W przeciwieństwie do filmowców z brytyjskiej szkoły filmu dokumentalnego nie korzystali z żadnych kredytów ze strony pewnych gałęzi przemysłu, lub też instytucji państwowych. Na skutek tego mogli pracować z większą swobodą, a ich dzieła mogły być tym bardziej śmiałe.

Ich pierwsze filmy czerpały bezpośrednio z teraźniejszości, ukazywały na arenie wydarzeń typy, kry-

stabilizujące opinię publiczną. Były to „Proces Scottsboro“, „Pochód głodu na Waszyngton“, „Wypędzenie iokatorów z mieszkania na Long Island“. I w miarę jak postępowali po tej drodze, cele i formy ich sztuki ukazywały im się coraz wyraźniej.

Cel był jasny. Nie należało zadowalać się naturalistycznymi filmami dokumentalnymi, które w neutralny sposób opowiadają o jakimś wydarzeniu, ale przeciwnie — odmalować samą historię narodu, jego własne problemy, walki jakie toczy i wytyczyć drogę na przyszłość.

Paul Strand, jeden z inicjatorów tej szkoły, doskonale określił te cele w takich słowach:

„Filmy te — pisał — można by nazwać filmami ostrzegającymi, które mówią prawdę i wzywają do czynu... Jesteśmy przeciw wojnie, przeciw faszyzmowi, przeciw nędzy i oddajemy naszą sztukę i nasz talent tym, których Henry Wallace nazywa „prostymi ludźmi“, prostymi ludźmi tej ziemi, którzy trzymają w swoich rękach obecne i przyszłe losy świata“.

Filmowcy posługiwali się tutaj formą filmu dokumentalnego. Dzisiaj w salach kinowych widzowie często zaczynają ziewać, patrząc na filmy dokumentalne, wiedzą bowiem, że większość z nich przypomina raczej reklamę biur podróży, aniżeli prawdziwy obraz jakiegoś kraju, czy też jakiegokolwiek wydarzenia.

W istocie film dokumentalny winien być „sfilmowanym dokumentem“ o życiu ludzi. Winien przenikać do zwyczajów, zajmować stanowisko i — nie przekształcając na swój sposób historii czy geografii —

starać się — przeciwnie — jak najlepiej im służyć.

Od filmu prawdziwie dokumentalnego do nowoczesnego filmu realistycznego jak na przykład „Rzym miasto otwarte“ Rosseliniiego, lub „Ziemia drzy“ Viscontiego mamy tylko jeden krok — ten, jakim jest ustawienie aparatu. Film dokumentalny wykorzystuje dokumenty, chwytane w tym samym momencie, kiedy zachodziło dane wydarzenie. gdy tymczasem film realistyczny odzwierciedla wydarzenie przy pomocy mniej lub więcej upowieściowanego scenariusza, aktorów, inscenizacji itp.

Te dwa rodzaje kinematografii łączą zasadniczą charakterystyczną cechą — wybór wydarzeń i poszanowanie dla jego autentyczności. Amerykańska szkoła dokumentalna produkowała jedynie filmy dokumentalne, gdzie jedynym elementem fikcji była sama historia Stanów Zjednoczonych. Ale jej duch zrodził filmy realistyczne, z których najnowszym i najwierniejszym jest „Sól ziemi“.

Z punktu widzenia estetyki czysty film dokumentalny wymaga bardzo zaawansowanych badań formalnych. Reżyser tych filmów dysponuje bowiem w rzeczywistości jedynie bezpośrednimi zdjęciami, taśmami z aktualnościami, już istniejącymi filmami dokumentalnymi, a czasem małymi scenami, które kręcił przy pomocy aktorów dla uzupełnienia całości swojego dzieła.

Jeżeli chce na przykład zrobić film na temat danego okresu historycznego, historii Stanów Zjednoczonych od roku 1931 do 1940 jak w „Ziemi ojczystej“ Paula Stranda, musi umieć ożywić, zmontować, wzbogacić

wszystkie te elementy, które ma pod ręką, aby ukazały się jak żywe, nie zaś jako płaskie następstwo obrazów. Trzeba, by publiczność odnalazła w takim filmie rzeczywistość swojego własnego życia, aby była wzruszona i wciągnięta do akcji.

W filmie dokumentalnym fakt historyczny jest aktorem, gdy tymczasem tysiące twórców filmu pozostają anonimowi.

Wielką zasługą amerykańskiej szkoły dokumentarnej jest to, że

umiała przeprowadzić pracę społeczną, realizując autentyczne arcydzieła kinematografii.

* * *

W 1933 r. Roosevelt obrany został prezydentem Stanów Zjednoczonych. Wraz z nim nadszedł New Deal, a w dziedzinie filmu utworzenie „Służby Filmowej Stanów Zjednoczonych”. Ta służba, mająca na celu popieranie filozofii i polityki New Dealu pozwoliła niektórym filmowcom ze

Początek strajku w Silver City. Scena, odtworzona przy pomocy tych, którzy naprawdę wówczas strajkowali. Uchwalono rozpoczęcie strajku i maszyny stają jedna po drugiej...



szkoły dokumentalnej wyćwiczyć ich talenty.

Wyprodukowano niezmiernie interesujące filmy, jak „Wóz, który niszczył równiny“ Pare Lorentza. Film ten oskarżał wielkie przedsiębiorstwa finansowe, których nieprzemysłane prace wywołały olbrzymie burze kurzu, niszcząc równiny zachodnie w Stanach Zjednoczonych i rujnując chłopów.

„Rzeka“ — również Pare Lorentza z poetycznymi zdjęciami i komentarzem ostrzegała obywateli Stanów Zjednoczonych przed niewykorzystywaniem, bądź też przed pustoszeniem bogactw naturalnych ich kraju.

„Energia ziemi“ Jorisa Ivensa starała się przekonać amerykańskich farmerów o konieczności elektryfikacji wsi. A nie zapominajmy o „Ziemi“ Flaherty'ego...

Ta inicjatywa Służby Filmowej Stanów Zjednoczonych była doskonała, ale już z samego swego założenia nie mogła całkowicie zaspokoić celów, jakie wytknęli sobie młodzi filmowcy amerykańscy.

Amerykańska szkoła dokumentalna znalazła swój prawdziwy wyraz dopiero po utworzeniu „Frontier Films“ w 1936 r. „Frontier Films“ była to nie dla celów handlowych utworzona organizacja produkcji filmów oświatowych, organizacja niezależna, grupująca najlepszych filmowców-dokumentalistów. Byli tam zatem Paul Strand, jeden z najświetniejszych fotografów w Stanach Zjednoczonych, który w 1929 r. zrealizował film o Manhattanie, słynnej dzielnicy Nowego Jorku, a w 1939 r. „Bunt Alvarado“ — o buncie rybaków

w Meksyku; Pare Lorentz, który w tym samym czasie był dyrektorem Służby Filmów dla New Dealu, Wil-lard Van Dyke, operator filmu „Rzeka“ i przyszły realizator „Miasta“, „Dzieci powinny się uczyć“, „Podróż w medycynę“, „Fotografowie“, Herbert Kline, redaktor „New Theater and Film“, bojowego czasopisma filmowego i teatralnego, który w parę lat potem kręcił „Kryzys“ w związku z wydarzeniami w Monachium, potem „Światła gasną w Europie“, „Zapomnianą wiosnę“, a w 1947 r. w nowym państwie Izrael „Dom mojego ojca“, Leo Hurwitz, jak również wielu innych filmowców, których nazwisk z braku miejsca nie możemy tutaj wymienić.

Wszystkie filmy wyprodukowane przez „Frontier Films“ w latach 1936 — 1941 wymagały od zespołu filmowców olbrzymiego wysiłku. Musieli uganiać się w pogoni za zdobyciem środków finansowych. Nigdy nie byli pewni, czy zdołają zapłacić technikom, ale ożywiała ich taka wiara w pracę, która pozwalała przezwyciężyć wszystkie trudności.

Ich filmy były tym, czym chcieli, aby były — dokumentami, głęboko związanymi z historią Stanów Zjednoczonych, zwiastunami przyszłości Stanów Zjednoczonych. Oto kilka najważniejszych tytułów: „Ludzie z Cumberland“, który opowiada historię szkoły pracy w górach Tennessee, gdzie grupa potomków angielskich i szkockich pionierów, doprowadzonych do nędzy i ciemnoty, otrzymuje możliwość uczenia się.

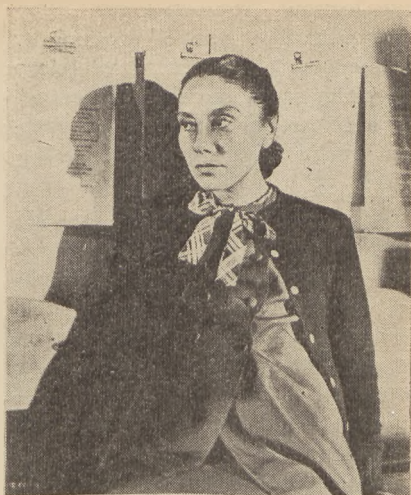
„Serce Hiszpanii“ i „Powrót do życia“, dwa filmy głoszące chwałę bohaterstwa i oporu Republiki Hisz-

pańskiej wobec faszyzmu, „China strikes back“ („Teraz kolej na Chinę“), przedstawiający walkę narodu chińskiego przeciw japońskim napaśnikom. „White Flood“ („Biały potop“) — film dokumentalny o lodowcach Alaski, „United Action“, („Zjednoczone Akcje“), który pokazuje życie strajkujących robotników przemysłu samochodowego w czasie strajku w zakładach Forda w Detroit w 1939 r.

Potem „Native Land“ („Kraj ojczysty“), najlepszy ze wszystkich tych filmów i kulminacyjne osiągnięcie „Frontier Films“. Zakończony w 1941 r. i pokazany publiczności w 1942 r. „Native Land“ jest długometrażowym filmem dokumentalnym, którego scenariusz napisał Dawid Wolff, a muzykę skomponował Marc Blitzstein, reżyserował Paul Strand i Leo T. Hurwitz.

Komentarz wygłosił Paul Robeson, który również w toku akcji śpiewa wiele pieśni. Oparty głównie na sprawozdaniach komitetu senackiego, LaFollette-Thomas, który przez pięć lat prowadził ankietę na temat licznych wypadków, gdy pogwałcono najbardziej elementarne wolności demokratyczne, a w szczególności prawo do pracy, zagwarantowane przez konstytucję i Deklarację Praw Człowieka, film ten ukazywał walkę narodu amerykańskiego począwszy od wybuchu wielkiego kryzysu gospodarczego w 1929 r. o utrzymanie jego społecznych zdobyczy.

„Native Land“ skomponowany jest ze składników najbardziej kontrastowych, jak bezpośrednie zdjęcia, wyciąg z aktualności, fotosy, sceny krę-



Aktorka meksykańska Rosaura Revueltas, która odegrała główną rolę kobiecą.

cone w stylu aktualności i odegrane w większości przez Howarda da Silva, jednego z dzisiejszych gwiazdorów Hollywood. Ale całość tych elementów zmontowana jest w sposób tak czarujący, że film ten stanowi jedną z najbardziej niezwykłych epopei, jakie można było nakręcić na temat wolności.

* * *

Popierając sprawę realizmu, amerykańska szkoła dokumentalna, a w szczególności zespół „Frontier Films“ wywarła wielki wpływ na koła filmowców w Stanach Zjednoczonych. W tym samym czasie, kiedy „Frontier Films“ realizował swoje dwa filmy o Hiszpanii, inne stowarzyszenie niezależnej produkcji filmowej umożli-

wiło Jorisowi Ivensowi kręcić „Hiszpańską ziemię“, film o wojnie w Hiszpanii z komentarzem wielkiego powieściopisarza Ernesta Hemingway'a i krótkometrażówkę o chińskim ruchu oporu pt. „400 milio-
nów“.

Ten wpływ rozszerzył się nawet na Hollywood, który w epoce rządów prezydenta Roosevelta nie podlegał cenzurze i gdzie powstało wiele filmów realistycznych, jak „Grona gniewu“ Johna Steinbecka, w czasie wojny „The Informer“, „The little foxes“ („Małe liski“) i „Watch on the Rhine“ („Warta na Renie“) Lillian Hellman, „Objective Burma“ Alvy Bessie, świetna seria filmów Franka Capry, „Po co walczyliśmy“, film oświatowy o czarnym żołnierzu z Carleton Moss i wiele innych dzieł, gdzie „Najlepsze lata naszego życia“ nie należy bynajmniej do najsłabszych.

Z inicjatywy amerykańskiej szkoły dokumentalnej zagnieździła się w filmie amerykańskim tradycja realistyczna. Tradycja realistyczna, której wielu reżyserów pozostałoby wiernych, gdyby nie nagła śmierć Roosevelta, gdyby nie ogłoszono polityki zimnej wojny, a wraz z nią — w dziedzinie kinematografii — cenzury, zakazu filmowania rzeczywistości w obawie, aby nie była antyamerykańska.

Nadeszły czasy, w których właściwie niemożliwością było utrzymywanie się przy życiu przedsiębiorstwa, produkującego filmy niezależne. Zniknęła „Frontier Films“. Z wyjątkiem kilku rzadkich a odważnych filmów, poruszających bezpośrednio

lub w formie aluzji problemy, blisko obchodzące naród amerykański, zapanował w Hollywood film, głoszący „Ucieczkę od życia“ lub promujący walkę z komunizmem.

Nie zginął jednak duch szkoły dokumentalnej. W 1948 r. Leo T. Hurwitz wyprodukował i zrealizował film „Strange Victory“ („Dziwne zwycięstwo“), pokazujący z wielką mocą wspólne poświęcenie sojuszników w okresie lat wojennych w walce z faszyzmem i — nazajutrz po wojnie — wojownicze wystąpienie tych, którzy w Stanach Zjednoczonych planowali trzecią wojnę światową, prowokacje rasistowskie i antyrobotnicze.

Było jeszcze kilka innych filmów. „The Quiet one“ („Ten spokojny“) Meyersa, doskonały film dokumentalny o życiu małego Murzynka i „The little Fugitiv“ („Mały zbieg“), który ma wprawdzie dalsze powiązania z zasadami szkoły dokumentalnej, ale w czarujący sposób opowiada o ucieczce małego chłopca — wesołego miasteczka — w Nowym Jorku.

Około 1949 r. spadł na Stany Zjednoczone kaptur inkwizycji. Komitet dla Badania Działalności Antyamerykańskiej i Mac Carthy przystąpili do badania „lojalności“ członków rozmaitych ugrupowań filmowców. Rozpoczęto proces Dziesięciu z Hollywood. Wybuchła wojna w Korei.

Wydawało się, że na zawsze zamilkł głos postępowego filmu w Stanach Zjednoczonych. A jednak w tychże Stanach Zjednoczonych, w 1953 r., w ciężkiej atmosferze repre-



Główną rolę męską zagrał sekretarz miejscowego związku zawodowego górników.

sji ukończono produkcję filmu, który może służyć za przykład postępowym filmowcom całego świata, film niezmiernie piękny, broniący w najszlachetniejszy sposób ducha sprawiedliwości społecznej.

Tym filmem jest „Sól ziemi“, który opowiada historię strajku górników w kopalniach ołowiu, cynku i miedzi w Silver City w hrabstwie Grant na wschód od stanu Nowy Meksyk.

Z poparciem międzynarodowego związku górników, odlewaczy i walcowników, jednego z niezależnych, najsilniejszych w Stanach Zjedno-

czonych związku zawodowego, grupa filmowców postanowiła przedstawić historię tego strajku, który rozpoczął się w 1952 r. i trwał przeszło rok w straszliwie trudnych dla robotników warunkach.

Większość filmowców znajdowała się na czarnej liście Hollywood: reżyser Herbert J. Biberman, jeden z dziesięciu z Hollywood, scenarzysta Michael Wilson, który w 1952 r. otrzymał nagrodę Oscar za scenariusz filmu „Miejsce pod słońcem“, następnie wyklęty przez Hollywood za to, że odmówił udzielania odpowiedzi Komisji dla Badania Działalności

Antyamerykańskiej, muzyk Sol Kaplan i wielu innych techników i operatorów.

Łącząc się dla realizacji tego filmu, ludzie ci dowiedli, — w obliczu swoich inkwizytorów — że tylko oni naprawdę bronią interesów swoich rodaków i że tylko oni mogą odważyć się sfilmować prawdę i wybiegać w przyszłość bez żadnej hipokryzji.

Film przygotowano niesłuchanie starannie. Michael Wilson napisał scenariusz dopiero po długich narađach z górnikami i przedłożeniu jego planu sekcji związkowej strajkujących robotników.

Aktorką meksykańską Rosaura Revueltas, która w 1951 r. otrzymała meksykańską nagrodę za najlepszą grę w filmie „Guauhtemoc“, została zaangażowana do roli kobiecej bohaterki filmu — Esperanzy.

Co do roli męskiego bohatera, Ramona, męża Esperanzy, to powierzono ją prawdziwemu przywódcy Sekcji nr 890 związku zawodowego górników. Wiele innych ról również obsadzono prawdziwymi robotnikami. Zabawny szczegół — producenci filmu mieli wielkie trudności ze znalezieniem ludzi, którzy by chcieli grać role policjantów, łamistrajków, lub pracodawców.

W dniu 20 stycznia 1953 r. rozpoczęto robić zdjęcia w Silver City, a wraz z tym rozpoczęły się represje ze strony policji i rozpasanie skrajnie prawicowych ugrupowań.

Pewien deputowany, Donald Jackson zażądał 2 lutego w Kongresie zakazu tego filmu pod pretekstem, że jest on „nową bronią dla Rosji“. 26 lutego Rosaura Revueltas została

aresztowana, przesłuchiwana w sprawie swoich poglądów politycznych i odstawiona do granicy Meksyku.

Dalsze wypadki szybko już po sobie następowały,

Zaatakowano pewną liczbę członków zespołu filmowego, komitet „czujności“ wzywał ich do opuszczenia miejsca pobytu.

Kiedy zakończono zdjęcia, filmowcy musieli stawić czoła nowym trudnościom. Roy Brewer, przewodniczący Międzynarodowego Stowarzyszenia pracowników teatru i filmu kazał laboratoriom zamknąć drzwi przed filmem i bronił technikom swego stowarzyszenia wszelkiej z nim współpracy.

Wszystkie te manewry na nic się nie zdały. Film „Sól ziemi“ został ukończony. Wyszedł z Nowego Jorku i był wyświetlany w Europie, w szczególności na ostatnim festiwalu filmowym w Cannes — poza konkursem. Należy obecnie życzyć sobie, aby go rozpowszechniono w ramach dystrybucji handlowej, by mogła go ujrzeć najszerza publiczność w możliwie największej ilości krajów.

* * *

Historię strajku poznajemy poprzez życie młodego amerykańskiego małżeństwa pochodzenia meksykańskiego, gdzie mąż należy do wybitnych działaczy ruchu związkowego górników. Do problemów, jakie stawia sam strajk, przyłącza się problem kobiety, której mąż chciałby nie dopuścić do uczestniczenia w życiu publicznym i ograniczyć jej życie

do spraw domowego ogniska, jak również zagadnienie dyskryminacji rasowej. 97 proc. górników to Amerykanie pochodzenia meksykańskiego, tylko 3 proc. spośród nich pochodzi z Ameryki Północnej. Dyrektorzy kopalni starają się utrzymać między nimi dyskryminację etniczną, oddzielając na przykład ich domki, albo dając im różne stanowiska w kopalni.

Na tę próbę dyskryminacji strajkujący odpowiadają jednością, jednością, która opiera się na trzech głównych podstawach: walce o bezpieczeństwo pracy, o higienę domów, o zniesienie dyskryminacji.

Styl filmu jest pełen czarującego umiaru, wielkie sceny cechuje dojmujące napięcie. Na przykład scena przerwania pracy. W kopalni zdarzył się wypadek. Ludzie szybko decydują się rozpocząć strajk, maszyny cicho stają mimo rozkazów dyrektorów, którzy żywo gestykują przed grupą strajkujących. A tymczasem na sąsiednim wzgórzu żony górników zgromadziły się i wzniosły do góry plakat z napisem: „Chcemy higieny a nie dyskryminacji“.

Potem widzimy pierwszy patrol robotniczy (ponieważ amerykańskie ustawy zakazują pikietom strajkowym stać w miejscu, strajkujący, którzy pilnują fabryk, muszą kręcić się dokoła), patrol, który istniał przez prawie rok.

Mamy również scenę, przedstawiającą zgromadzenie związkowe, gdzie kobiety mimo braku doświadczenia politycznego i związkowego postanawiają zająć miejsca swoich mężów w pikietach strajkowych, kiedy ci narażeni są na więzienie pod pre-

tekstem, że zagrażają drogę do fabryki.

W tym samym czasie, kiedy Mac Carthy usiłuje stworzyć w Stanach Zjednoczonych atmosferę faszystu, kiedy Waszyngton szantażuje bombą wodorową i przeciwstawia się pokojowemu współistnieniu, tworzy, agresywne bloki we wszystkich częściach świata, „Sól ziemi“ świadczy, że mimo represji, żywy jest w Stanach Zjednoczonych duch demokracji.

W obliczu skupienia się elementów skrajnej prawicy, amerykańscy demokraci starają dzisiaj grupować się i łączyć... Związki zawodowe, kościół prezbiteriański, kwakrzy, liberałowie, postępowcy, grupy intelektualistów, Amerykański pochód w obronie pokoju i wiele innych jeszcze ruchów występują — każdy według własnych form — przeciw niebezpieczeństwu użycia bomby wodorowej (jakiż Amerykanin nie przeciwstawiłby się tej straszliwej broni, skoro wiadomo, że trzeba by trzech tygodni, aby wszystkie nowojorskie samochody, ustawione jeden tuż za drugim i posuwające się dzień i noc zdołały opuścić miasto), przeciw ucztństwu Stanów Zjednoczonych w wojnie w Indochinach (świadczą o tym liczne listy do dzienników i do deputowanych).

Żądają oni — w obliczu pogłębienia się kryzysu gospodarczego, w obliczu nieustannego wzrostu liczby bezrobotnych — liberalizacji wymiany gospodarczej między wszystkimi krajami świata i pokojowego współistnienia narodów. W tym przegrupowaniu sił demokratycznych odegrał swą rolę film amerykański.

W OBRONIE AMATORÓW

OPOWIADAJĄ, że brzęk pszczół umożliwił staremu pszczelarzowi pokonanie śmierci.

Kostucha przyszła po niego wczesną wiosną, lecz staruszek zaczął ją prosić:

„Poczekaj przynajmniej dopóki nie umieszczę uli na słońcu, dopóki pszczoły nie ożyją po przezimowaniu“.

Śmierć ustąpiła: tym razem nie było jej śpieszno.

Nadszedł umówiony dzień. Wnu-kowie wynieśli fotel na polankę, otoczoną jeszcze bezlistnymi wierzbami. Synowie ubrali ciepło starego, wzięli go pod ręce i umieścili wygodnie na fotelu. I ponieważ w tym okresie nie wolno tracić czasu, poszli po ule. Gdy tylko otwarto pierwszy ul wyszła zeń pszczoła, wytarła różki i wzniosła się w powietrze. Słyszając jej brzęk, starzec rozplakał się, lecz poczuł, że wracają mu siły. Odetchnął, otarł oczy, ujrzał skapaną w słońcu pasiekę i latające wokół niej pszczoły. Koło ucha zabrzęczała mu pszczoła-robotnica, potem druga i trzecia. Stary odetchnął pełną piersią, przeciągnął się i zawołał:

„Pięknie śpiewają pszczoły! Rozdmuchajcie hubkę, chłopcy; biorę się z wami do roboty!“

pszczół, ptaków i kwiatów

I. CHALIFMAN

Ale to co teraz powiem nie jest już bajką: starzy, siwiuteńcy pszczelarze, którzy spędzili życie wśród pszczół, odmładzali się, jak gdyby wykapani w wodzie życia, słysząc uroczysty chór uli, gdzie pszczoły brzęczą susząc swą zdobycz.

Praca w pasiece ze złotymi pszczołami Ronsarda, o których istnieniu mówili dużo uczeni i poeci począwszy od Arystotelesa, Pliniusza i Wergilego, aż do nam współczesnych: Maeterlincka, Frischa, Butlera i Gajdaka, Gontarskiego, Tilla i wielu innych, mniej znanych, to nie tylko codzienne zajęcie, ani nawet trudna sztuka wychowywania jednego z najciekawszych stworzeń, to porywający, przyjemny sport. Porozmawiajcie z jakimkolwiek pszczelarzem, a znajdziecie w nim myśliwego, gdyż pszczelarz poluje na pożytek.

Miliardami drobniutkich kropelek przedostaje się słodki nektar do ta-

jemnych skrytek wśród kwiatowych płatków, wydostaje się na zewnątrz i często ulatnia się, wysycha, mentalnie ginie.

Tu, do tych mikroskopijnych zbiorników wysyła się armie pszczół wychowanych w tym celu w ulach. Tysiącami badają skrzydlaci zwia-dowcy każde drzewo i każdy krzak, każdą trawkę, każdy kwietnik i łąkę, a gdy znajdą pożytek, latają tam i z powrotem między ulami a kwiatami.

Zebrane przez pszczoły małeńkie zbiorniczki nektaru, zostają przeniesione do plastrów i tam dojrzewają, by stać się pachnącym miodem. Wszystko to odbywa się, ma się rozumieć, samo przez się, lecz na to, by właśnie tak przebiegało—pszczelarz musi mieć dobrą pamięć: musi umieć porównywać i rozważać, co więcej, musi umieć sam zrobić wiele rzeczy.

Bez względu na to co jest ich celem, amatorowie są zawsze trochę „nienormalni“. Wśród prawdziwych pszczelarzy znajdujemy prawdopodobnie najwięcej amatorów. Posłuchajcie, jak mówią o sile rojów, o miejscu dla królowej, o szerokości plastrów itp.

Popatrzcie na nich, gdy z dymiącą hubką w rękę, otoczeni rojem pszczół odprawiają swe obrzędy przy ulach. Nie wtajemniczeni nie mogą pojąć tych maseńskich tajemnic.

Patrzac na to wszystko, mówimy sobie, że mało jest spokojniejszych, bardziej dalekich wszelkim blahostkom i kłopotom miejsc na ziemi.

Znam młodego pszczelarza, który, po ukończeniu specjalnych studiów,

pracuje dziś w pasiece kołchozu koło Kasziru. Umie przeprowadzić analizę miodu i leczyć pszczoły penicyliną, zabarwia świetnie różne preparaty i marzy o zbudowaniu aparaci-



ku, którym można by zapładniać sztucznie pszczoły. Takich specjalistów nie było nigdzie z końcem ubiegłego wieku. Dziś jest ich legion.

Prof. Everett Franklin Phillips, który przez długie lata kierował wspaniałe amerykańskim pszczelarstwem, podkreślał, że poeci, filozofowie, artyści i zwykli robotnicy widzą w pszczole ciekawą istotę i że wśród pszczelarzy - amatorów znajdujemy obecnie prawników i farmatorów, ministrów i kupców, urzędników, artystów, profesorów uniwersytetu i robotników.

Tak dzieje się dziś od ziem arktycznych aż po równik. W każdym kraju są pasieki i pszczelarze. Daleko od mieszkań, czy też w ogródku pod oknami stoją rzędy uli nowych, albo starych gratów już dawno wysłużonych, malowanych uli słomianych, plecionych, lub muryowanych, albo w kształcie glinianych rur...

Pszczelarzy są dziś miliony. Pracując latami koło pszczół wiedzą, że w normalnych warunkach nie walczą one nigdy o nektar kwiatów, lecz zdolne są natomiast do walki aż do śmierci, gdy obcy intruz wtargnie do ich gniazda... Byłoby śmieszne nadawać tym faktom sym-

boliczne znaczenie, doszukiwać się w nich „lekcji natury“ albo „naturalnej moralności“, lecz nie ma powodu o nich zapominać, gdy słyszy się ludzi twierdzących, że brato-



bójcze walki, konkurencja i wojna wszystkich przeciw wszystkim panują wszędzie w naturze. Czyż autorzy bardzo naukowych artykułów, ogłaszanych w równie naukowych pismach nie próbują bardzo naukowo udowodnić, że pszczoły różnych ras walczą zażarcie między sobą o żywność, że pszczoły zdobyły, dzięki swym skrzydłom, panowanie w powietrzu wśród owadów lub też, że wojna jest ich naturalnym stanem? Trudno nie podkreślić, że tego rodzaju złośliwe wypaczanie biologii pszczół nie zawsze spotyka się z należytą odprawą.

Dla jednych „amatorstwo“ jest wieżą z kości słoniowej, ucieczką przed codzienną rzeczywistością, dla innych zaś jeszcze jednym sposobem brania udziału w życiu. Weźmy np. amatorów śpiewających ptaków.

Nieprawdą jest, że tacy amatorowie zniknęli i że miejsce, gdzie wisiała niegdyś klatka z kanarkiem zajmuje dziś radio.

Pewnego razu znalazłem się w domu leśnika na brzegach Jenisieju i tu powitał mnie hałas stada ptaków, które szczebiotały w kącie pokoju za siatką. Nie wiadomo dlaczego te leśne ptaki nasunęły mi myśl

o listonoszu, który nie zaspokojony swymi codziennymi służbowymi marszami, chodziłby na spacer w niedzielę...

„Uczą się tu śpiewać. Każdy bierze lekcje od drugiego, a wszystkie korzystają z radia“ — wytłumaczył gospodarz.

Było to prawdą: wieczorem ptaki umilkły, lecz zegar Kremla zbudził je o północy.

Przychwyceni przez burzę w pierwszych dniach maja 1945 r. schroniliśmy się w domu innego leśnika. Było to kilka tysięcy kilometrów na zachód od Jenisieju. Gospodarz zapukał do naszego pokoju. Usłyszeliśmy stuk jego protez, gdy szedł do kąta z ptakami i skrzyp sztucznej ręki, gdy malewał wodę do naczynka.

Zaczęliśmy rozmawiać o dobrym sercu, o skłonnościach i zamiłowaniach prostych ludzi, o ich niewyczerpanym przywiązaniu do ogniska domowego, o chęci przystrojenia go,



uczynienia go małym i wygodnym, o potrzebie towarzystwa istot żywych.

Ci, którzy widzą świat tylko w świetle swych uprzedzeń i z góry ustalonych poglądów, twierdzą, że wśród ptaków odkryli „despotyzm“! Pocziwcy, którzy znają się na szczebiocie, śpiewie i głosach żięb, kanarków, szczygłów, kuropatw i in-

nych ptaków, wysmiewają te wymysły. W głosie świerszcza żyje ciepło ogniska domowego, jego przytulność. Śpiew ptaków sławi światło słoneczne, naturę, pełnię istnienia...



To samo tyczy się amatorów kwiatów, znacznie liczniejszych niż pszczelarze i amatorowie ptaków... Mają oni również swoje entuzjazmy, swoje pasje, swe zwyczajstwa i klęski i równocześnie swe życie społeczne, obrady i trybunały...

Pod oknami zielenią się krzewy winne i drzewka owocowe wyhodowane przez amatorów mowych odmian lub znane już gatunki roślin uprawiane przez ogrodników-amatorów. W ogródku kwitną wielkie kiście bzu. Lewkonie i floksy strojne jak panny młode. Białe, jak piana mydlana, goździki, wielkie kwiaty lilii, matowe i błyszczące tulipany mienią się wszystkimi barwami tęczy na ogrodowych grządkach. Groszki pachnące, wijące się na tyczkach, płoną tysiącami odcieni. W wazonach widać rośliny o niezmiernie rzadkich, ciemno-niebieskich, prawie czarnych kwiatach. Gdzie indziej znowu róże szkarłatne, czerwone, białe, żółte, pomarańczowe...

Wszystkie te kwiaty zostały wyhodowane w wolnych chwilach przez prostych, skromnych ludzi, pracowników tych fabryk zieleni.

Zawsze będę pamiętał pewien gatunek dalii, który rośł w moim ogródku. Może nie był on tak piękny, jak mi się wówczas zdawało, lub może czar jego leżał tylko w nazwie? Osądźcie sami! Ponad okrągłym pękiem ciemnych liści, na dwóch lub trzech nagich, wysokich łodygach wznosiły się wysoko lekkie kule wielkich białych kwiatów, o jedwabistych płatkach, które srebrzyście błyszczały w słońcu...

Odmianę tę nazwano: „Lot do stratosfery“.

Trzeba tu jednak powiedzieć kilka słów o hodowcy tej dalii. Jest to paradoks niemniejszy od opisanego niegdyś przez Korolenkę. Przed dwudziestu laty kwiaty tego hodowcy miały wielkie wzięcie wśród amatorów okolic Moskwy. Niewiele jednak osób wiedziało, że twórca „Lotu do stratosfery“ i innych cudownych dalii był człowiekiem nieuleczalnie chorym, zniekształconym kaleką, który mógł poruszać się tylko drobnymi, wolnymi kroczkami, posuwając się zaledwie o metr na



kilka minut i tracąc dalsze minuty na podniesienie zwisających się bezwładnie rąk. Mimo to wykonywał sam wszystkie prace związane z krzyżowaniem i szczepieniem odmian. W tym celu musiał czasem po-

sługiwać się ustami i oddechem zbierając na specjalną gąbeczkę pyłek z pręcików kwiatnych, by tchnąć go na słupki innych kwiatów. Dojrzałe ziarna zbierał również wargami.

Człowiek ten kierował miegdys wielkim przedsiębiorstwem. Po jakimś wypadku ogłuchł prawie zupełnie, lecz pozostały mu oczy, którymi nie tylko widział, lecz które zastępowały mu też słuch.

Studiował zagadnienie hodowli kwiatów i śledził pilnie wszystkie nowości w dziedzinie selekcji. W zimie czytał wiele, studiując plany krzyżówek i szczepień, dyktował siostrze swe spostrzeżenia a na wiosnę zabierał się do roboty.

Ten, tak ciężko doświadczony człowiek wzbudzał najgłębszy szacunek. Pomimo wszystko poświęcał swe ostatnie lata hodowli tych pięknych, żywych kwiatów, kwiatów, które upiększają życie. Notatki, dyktowane siostrze, zawierały prawa wzrostu ilości płatków kwiatowych w krzyżówkach, prawa, dzięki którym otrzymuje się kwiaty pełne.

Oczywiście kwiaty mogą hodować też ludzie nie zastanawiający się nad radością bliźnich, nad upiększeniem ziemi, nad przeobrażeniem natury. Lecz czyż nie jest jasne, że ogrodnicy i amatorzy zieleni są zawsze ludźmi dobrej woli...

Z pomiędzy wszystkich bohaterów bajki Dickensa jednym, który nie znosił głosu świerszcza był Tecklton, geniusz okrutnych rozrywek, wynalazca okropnych zabawek, fabrykant

obrzydliwych straszdeł, które wyskakiwały z pudełek strasząc dzieci.

Tecklton został zdemaskowany, co pomogło ślepej córce biednego Plemmera do odzyskania wzroku i poznania prawdy.

Ale dzisiejsi Teckltonowie gotowi są rozgniatać swymi butami: świerszcze, pudełka z motylami, akwaria ze złotymi rybkami i grządki bratków... Demaskując duchy zła, pomaga się ślepym w odzyskaniu wzroku, objawia się prawdę milionom ludzi a między nimi zbieraczom motyli, owadów, myśliwym i rybakom, ogrodnikom i hodowcom winnic, przyjaciołom zwierząt i roślin, zbieraczom jaj, ptaków, gniazd i węzów, amatorom ptaków, hodowcom kur, gołębi, łabędzi, pantarek, tym, którzy umieją hodować kraby i trytony, zbieraczom wodorostów, hodowcom kaktusów, tulipanów lub róż, ogrodnikom, pszczelarzom i wielu innym, których liczba jest nieskończona, badaczom indywidualnym lub członkom towarzystw naukowych, kulturalnych, sportowych i artystycznych lub też spółdzielni, klubów, związków, lig i stowarzyszeń.

Wraz z ludźmi dobrej woli miłośnicy natury na całym świecie gotowi są zawsze rzucić swe „nie pozwalam“ wszystkim macicielom pokoju. Bronią z oddaniem prawa słuchania w domu głosu świerszcza, śpiewu kanarka i szczygła, brzęku pszczoł, wypełniających miodem plasty. Wiedzą, że trzeba w tym celu zburzyć nową Kartaginę: groźbę wojny. •

ISZI

ostatni z plemienia

Yahi

PAUL DAWSON

OKOŁO siedemdziesięciu pięć mil na północ od Sacramento (Kalifornia), tam, gdzie równiny ściśnięte w dolinach kończą się u stóp porośniętych sosnami gór Sierra Nevada, nad gwałtownymi wodami rzeki Feather, znajduje się miasteczko d'Oroville.

Już sama jego nazwa wywołuje myśl o złocie*). Przed wiekiem, w chwili swego powstania, było ono ośrodkiem kraju gorączki złota. Pozostało też dość ważnym skupiskiem około 2000 mieszkańców na trasie kolei żelaznej Western Pacific. Opowiadają, że eksploatacja terenów, na których stoi miasto, przy pomocy no-



*) po francusku złoto — or (red.).

woczesnych maszyn hydraulicznych, mogłaby dać znacznie więcej niż proponowało Radzie Miejskiej товарищество Guggenheim Midding Company: trzy miliony dolarów, oraz przeniesienie całego miasta na inne miejsce, na koszt towarzystwa. Oferta ta była stale odrzucana.

Wydaje się rzeczą niewiarygodną, że można znaleźć Amerykanów tak dalece obojętnych na dolary, lecz lu-

dzie z Oroville wolą spokój. Bardziej im odpowiada pielęgnowanie ogródka za domem i dalii przed domem na powierzchni kopalni złota, niż droga w niewiadome z przypadającą na nich częścią trzech milionów dolarów w kieszeni.

O świcie pewnego kwietniowego poranka 1911 roku, Oroville stało się świadkiem wizyty człowieka z epoki kamiennej. Na jednym z przedmieść, dozorczy rzeźni miejskiej zostali nagle wyrwani ze snu wściekłym ujadaniem psów, pilnujących zagrody dla bydła. Mysząc, że to kanguar rzucił się na zwierzęta — w owych czasach drapieżniki te włóczyły się jeszcze po okolicznych zalesionych wzgórzach — mężczyźni wybiegli z fuzjami w rękach.

Zamiast płowej bestii znaleźli jednak człowieka, jednego z najdziwniejszych, jakich widzieli w swym życiu. Skulił się w błotnistym kącie pod płotem, osaczony przez ujadające psy. Za całe odzienie miał jakiś brudny i podarty łachman, zarzucony na wychudłe barki. Skóra jego, spalona słońcem, miała kolor pociemniałej miedzi. Widać było, że umiera z głodu. Kości wyraźnie rysowały się pod skórą, policzki miał głęboko wpadnięte, ale oczy płonęły wściekłością, strachem i nienawiścią.

Najdziwniejsza jednak była jego mowa. Mężczyźni sprowadzili szeryfa hrabstwa Butte, który uważany był za lingwistę. Ten bez rezultatu próbował angielskiego, hiszpańskiego i wielu dialektów indiańskich. Człowiek mówił jakimś zupełnie nieznanym językiem. Na wszelki wypadek szeryf umieścił go w więzieniu

w Oroville, w celi przeznaczonej dla wariatów; historia „dzikiego z Oroville“ znalazła się na łamach dzienników.

Jak się okazało — na szczęście, gdyż zdarzenie to zwróciło uwagę kilku antropologów z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Zainteresował się nim profesor Waterman, który natychmiast wyjechał do Oroville, zabierając ze sobą listę słów jednego z wielu dialektów dawnych Indian kalifornijskich. Doszedł on do wniosku, że więzień może należeć do plemienia Yahí, a jeżeli ta hipoteza znalazłaby potwierdzenie, byłoby to ważne odkrycie antropologiczne.

Yahí stanowili grupę plemienną, wchodzącą w skład plemienia Yana, które w liczbie 3000 ludzi zamieszkiwało niegdyś okoliczne tereny podgórskie. Każda grupa plemienna posiadała tam własny dialekt. W plemienu Yana istniały nawet odmienne języki dla mężczyzn i dla kobiet. Do chwili przybycia białych Yana nie wyszły jeszcze ze stadium epoki kamiennej. Ostrza ich strzał i oszczepów były z kamienia, głównie z krzemienia. Jako pieniądze posługiwali się muszlami. Nie mieli ani państwa, ani jedności politycznej. Wódz plemienia nie miał władzy rozkazowania, wywierał tylko pewien wpływ. Obyczaje i tabu miały siłę prawa. Była to cywilizacja prymitywna, lecz żyli nienajgorzej według swoich praw... do dnia przybycia białych.

Wydaje się, że istniały również stosunki międzyplemienne, przynajmniej wśród plemion sąsiadujących ze sobą. Legenda mówi, że wszyst-

kie plemiona miały prawo przenoszenia się z północy na południe poprzez terytoria innych plemion, na obszarze od Kanady do Meksyku. Zdaje się to być dowiedzione istnieniem resztek bardzo starej drogi, wiodącej poprzez góry, która, jak mi powiedział pewien stary górnik urodzony w tych górach, jest nazywana Ścieżką Dawnych Indian. Zdarzyło mi się kiedyś, podczas wycieczki w zalesionych górach o 17 mil na wschód od Oroville, że trafiłem na tę starą ścieżkę; z pewnym szacunkiem przyglądałem się wówczas wyżłobionym w niej śladom, głębokim jak koleiny. Na wypolerowanej skale dają się wyraźnie odczytać ślady przemarszów Indian, którzy w ciągu wieków wlekli tędy drągi swoich szalasów i swoje mokasyny. Te milczące kamienie przywołują historię tak starą jak historia piramid.

* * *

Wróćmy jednak do profesora Watermana, który w więzieniu w Oroville odnalazł swego wystraszonego więźnia. Człowiek był u kresu sił. Nie przyjmował pożywienia ani trunku, które przynosili mu dozorczy. Nie miał do nich zaufania. I profesor z początku także nic nie osiągnął. Miał przy sobie listę stu słów dialektu Nozi, innej grupy plemiennej Yana. Człowiek nie odpowiadał na większość tych słów i zachowywał dziką nieufność. Dopiero kiedy profesor Waterman, wskazując palcem na drewnianą ramę łóżka więziennego, wymówił w dialekcie Nozi słowo „Si wi ni“, żółta sosna, człowiek całkowicie zmienił swoje zachowanie. O-



czy jego błysnęły inteligencją i również dotykając drzewa, powtórzył „Si wi ni“. Od tej chwili uznał prof. Watermana za swego przyjaciela i pojechał z nim razem do Uniwersytetu w Berkeley. Nazywał sam siebie „Iszi“ co znaczy dosłownie „jestem człowiekiem“. Wyglądał wówczas, w 1911 roku, na jakieś pięćdziesiąt lat.

Iszi, jako żywy obiekt muzealny, został wpisany na listę pracowników Uniwersytetu, w charakterze portiera. Był on jednak czymś znacznie więcej dla antropologów, którzy przybywali tu ze wszystkich stron i po trochu dowiadywali się od niego tego wszystkiego co wiemy dziś o plemieniu Yahi.

Dla Iszi, najbanalniejsze zjawiska naszej cywilizacji były źródłem nieustannego zachwyty. Światło elektryczne i automobile znajdowały się poza granicami jego rozumienia. Była to „magia“, nie interesowało go to. Ale zwykły kurek wodociągu

przyciągał jego uwagę na całe godziny; czasem wpadał w ekstazę na widok metalowej żaluzji na wystawie sklepu.

Tabu Iszi zabraniało mu mówienia o zmarłych i dlatego wiele czasu upłynęło zanim udało się odtworzyć tragiczny koniec plemienia Yahi.

Kiedy biali przybyli po raz pierwszy do tego kraju, próby przyjaźni ze strony Yahi zostały brutalnie odrzucone.

Indianie zostali masowo wymordowani. Strzelano do nich często bez przyczyny, albo dlatego, że kradli drobniarżki, lub zabijali z głodu jakąś zablakaną krowę. Masakry następowały jedna po drugiej, do chwili kiedy uznano, że plemię Yana zniknęło jako grupa plemienna. Pod koniec XIX wieku pozostało zaledwie kilka jednostek mówiących językiem Yana i rozproszonych wśród białych.

Yahi stanowili najmocniejszą grupę plemienia Yana: byli bardziej zaciekle w zemście i najumiejtniej się ukrywali. Mimo tabu, które zabraniało mu mówić o zmarłych, Iszi, a także pewien stary pionier, Norman Kingsley, ujawnili w końcu szczegóły ostatniej ze znanych masakr. Było to w 1871 roku. Iszi mógł mieć wówczas dziesięć lat. Grupa kowbojów z

psami, ścigająca rannego daniela, osaczyła trzydziestkę Indian, w jaskini znajdującej się o jakieś 15 mil na południowy wschód od obecnego miasta Red Bluff.

Biali wymordowali wszystkich Indian, włącznie z kobietami i dziećmi. Kingsley wyjaśnił, że on sam, powodowany litością, nie strzelał do dzieci ze swojej fuzji kalibru 56, która powodowała okropne rany, lecz, mając dobre serce, pozabijał je z rewolweru kalibru 38.

Można więc było sądzić, że plemię Yahi wygasło całkowicie. Jednak Iszi, jego matka, siostra i kilku innych, którzy nie znajdowali się wówczas w jaskini, uratowali się od tej rzezi.

Żyli w kryjówkach, w górach porośniętych lasem, polując, łowiąc ryby i unikając ludzkich oczu. W 1908 roku jakaś grupa inspekcyjna natrafiła na prymitywne obozowisko, ale Indianie znikli. Innym razem, w odległym zakątku nad brzegiem strumienia ujrano postać nagiego Indianina łowiącego ryby. Gdy zawołano go, uciekł. Kiedy wszyscy inni pomarli, również jego matka i siostra, Iszi wyczerpany głodem i troską, zdecydował się na ryzyko i dotarł do bydłowej zagrody w Oroville.



Iszi żył pięć lat na Uniwersytecie Kalifornijskim i umarł w 1916 roku na gruźlicę, wzbogaciwszy uprzednio naukę elementami swojej kultury. Został pogrzebany z całym ceremoniałem swego plemienia: złożono razem z nim do grobu jego łuki i strzały, oraz naczynia z żywnością na tę ostatnią, długą podróż. Doktor A. L. Kroeber, antropolog, który zaprzyjaźnił się z Iszi, mawiał o nim: „Sposób w jaki pojmował on swoje obowiązki, zarówno z punktu widzenia naukowego jak społecznego, był tak godny podziwu, że każdy, kto przybywał aby się z nim spotkać, uważał za wielki zaszczyt dla siebie, jeżeli mógł zostać jego przyjacielem“.

* * *

Historia Iszi, ostatniego z plemienia Yahi, jest zaledwie jednym haniebnym epizodem wielkiej tragedii Indian kalifornijskich. Oblicza się w przybliżeniu, że w końcu osiemnastego wieku liczba ludności indiańskiej w Kalifornii wynosiła około 130 000 osób. Liczba ta, jakkolwiek niewysoka, reprezentuje trzy lub cztery razy większą gęstość zaludnienia, niż na pozostałych obszarach kontynentu.

Indianie kalifornijscy różnili się bardzo od Indian z prerii Middle Westu czy puszczy Wschodu. Nie znane im były podstępny i wojenne obyczaje Indian Wschodu. Nie osiągnęli też ich organizacji społecznej, ani ich kultury materialnej. Byli niezwykle prymitywni, stali znacznie niżej poziomu Indian Pueblo z Południowego Zachodu, którzy budowali kilkupiętrowe domy i posiadali rozwinięte rolnictwo.

Panowały wśród nich duże różnice językowe: mówili 135 dialektami należącymi do sześciu głównych języków. Jedna wieś liczyła przeciętnie około 130 mieszkańców. Mieszkała w szałasach, w glinianych lepiankach lub w jaskiniach. Mężczyźni chodzili nago: polowanie na drobną zwierzynę, rybołówstwo i zbieranie dzikich owoców, zapewniało im doświadczenie pożywienia.

Indianie kalifornijscy nie mieli własnego pisma, lecz pozostawili na ścianach jaskiń wiele malowanych ideogramów. Wytwarzali doskonałe koszyki, nawet nieprzemakalne, plecione z trzciny. W nich też gotowali potrawy, wrzucając do środka kamienie rozgrzane do czerwoności. Oddawali się różnym gałęziom sportu i zabawom z wielką werwą i nawet humorem. Brakowało im tylko do pełniejszej cywilizacji znajomości „sztuki wojennej“, która, jak twierdzi historyk John Caughey, była im całkowicie nieznana.

Tak więc Indianie kalifornijscy nie skalpowali swoich wrogów; trzeba było dopiero przybycia na Zachód białego człowieka, który nauczył ich tego wyrafinowanego środka zemsty. Przyroda sama zaspokajała ich wszystkie potrzeby, tak że wystarczało im do tego trochę rolnictwa. Bez ubrania, bez religii, bez wojen, żyli — jak twierdzi Caughey — w okresie prehiszpańskim swojej historii, jak w złotym wieku, wieku „pokoju, rozrywek, jadła i śmiechu“.

Ten stan rzeczy zaczął się zmieniać około 1769 roku, po przybyciu mnichów hiszpańskich, którzy utworzyli system misyjny i nawrócili

część Indian na chrześcijaństwo i wprowadzili roboty przymusowe.

W ciągu dwóch wieków Hiszpanie badali wybrzeża Kalifornii, nie próbując ich kolonizować. System misji sprowadzał się głównie do osiedlania Indian na ograniczonym terytorium, poddawania ich dyscyplinie klerykalnej, wpajania im religii, znajomości języka hiszpańskiego i elementarnych cech życia białych. Indianie musieli ciężko pracować na swoje wyżywienie i na zapewnienie przepychu ceremonii religijnych, lecz mimo to uważano, że każe im się w ten sposób bardzo mało płacić za zbawienie duszy.

Zadanie mnichów nie było bynajmniej łatwe, gdyż towarzyszyli im żołnierze, którzy uwodzili kobiety indiańskie, co powodowało, że mężczyźni odmawiali chrztu, albo, już nawróceni, uciekali. Na ogół uciekinierzy bywali ścigani, sprowadzani siłą i bezlitośnie karani; przywódców wieszano.

Wówczas jednak, gdy panowanie hiszpańskie zostało zastąpione panowaniem meksykańskim, a następnie Stanów Zjednoczonych, cierpienia Indian wzrosły bezgranicznie. Indianie misyjni zostali sprowadzeni do roli niewolników i od tej chwili rozpoczęła się ich eksterminacja. Zrabowano, wbrew umowom, przyzna-

ne im terytoria. Mordowano ich z byle jakich powodów, albo zupełnie bez powodu. Można stworzyć sobie pewne wyobrażenie tragedii, która stała się udziałem Indian misyjnych, po przeczytaniu powieści Heleny Hunt Jackson „Ramona“.

Niech nam wystarczy zdanie historyków, którzy twierdzą, że między 1850 a 1875 rokiem trzy czwarte Indian kalifornijskich uległo wyniszczeniu przez masakry, epidemie i głód, przyniesione przez Amerykanów, którzy wypędzali ich z własnych domów i ziemi ich przodków. Caughey mówi o tym jako o „bezlitosnej likwidacji“. Nawróceni na chrześcijaństwo Indianie misyjni z wybrzeża południowego zostali wyniszczeni szybciej, niż pogańskie plemiona z północy, które walczyły z honorem, przeciwko tej mordowni.

Jakkolwiek walki te nazywane są „wojnami“, to sławny historyk Bancroft odmawia im tego miana: „Dolina kalifornijska — twierdzi on — nie jest w stanie przytoczyć ku czci swoich dziejów ani jednej wojny indiańskiej, godnej szacunku. Może za to „pochwalić się“ setką, czy dwiema setkami bestialskich masakr, dokonanych przez naszych uczciwych górników, naszych dzielnych pionierów; znaczy to sto lub dwieście razy więcej niż jakiegokolwiek inne terytorium o takim samym obszarze, w naszej Republice“.

il. ZUKA



Francisco Mora: Indyjska restauracja ludowa

**ORYGINALNE
OSIĄGNIĘCIE**

**PRACOWNIA
MEKSYKAŃSKIEJ SZTUKI
GRAFICZNEJ**



LUIS ARENAL

MALARSTWO ścienne w Meksyku zrodziło się pod opiekun-
czym okiem rządów, wyrosłych
z Rewolucji lat 1910—1917. Rewolu-
cja ta stworzyła sprzyjającą atmos-
ferę dla rozwoju kultury ludowej, to
też malarstwo ścienne rozkwita
wówczas w całej pełni. Pod wpły-
wem tego malarstwa, w tym samym
czasie powstaje Pracownia Graficz-
nej Sztuki Ludowej.

Było to w roku 1937, gdyśmy ze-
brali się wszyscy trzej razem —
to znaczy malarz Pablo O'Higgins,
grafik Leopold Méndez i ja — aby
wspólnie się zastanowić nad znale-
zieniem takiej formy ekspresji gra-
ficznej, która by odpowiadała postę-
powemu ruchowi meksykańskiemu i



Luis Arenal: Partyzant Zapatiste

była mu pomocą w codziennej walce o ulepszenie stosunków społecznych oraz ekonomicznych ludu.

Po zdobyciu niewielkiej kwoty pieniężnej zakupiliśmy dwie stare maszyny — litograficzną oraz graficzną, wynajęliśmy lokal i zwołaliśmy zebranie malarzy meksykańskich. Nasza idea znalazła uznanie u wielkiej liczby młodych artystów. Powołano następnie do życia komisję, której powierzono opracowanie deklaracji, przepisów i ustaw oraz przystąpiono do obrania zarządu. Taki był początek Pracowni Graficznej Sztuki Ludowej.

Odtąd rozpoczęliśmy naszą planową pracę. Od pierwszej chwili na-

wiązaliśmy kontakt z organizacjami robotniczymi, chłopskimi i kulturalnymi — ofiarowując im współpracę artystyczną w celu usprawnienia ich działalności.

Od tej chwili zaczęły powstawać nasze plansze, różnego rodzaju rysunki propagandowe oraz broszury. Robiliśmy zarówno kurtyny teatralne, jak dekoracje dla uświetnienia publicznych manifestacji i defilad.

Meksyk — to kraj, w którym znaczną część ludności stanowią analfabeci. Wskutek tego rycina oraz ludowa ballada „corrido” odgrywały tu zawsze wielką rolę — jako środek komunikatywny i jeden z najważniejszych czynników wychowawczo-propagandowych.

W codziennej naszej pracy nad ryciną i litografią staraliśmy się przede wszystkim nawiązać do bogatej spuścizny graficznej przeszłości, której najwybitniejszym przedstawicielem był niewątpliwie J. Guada Lupe Posadas.

W poszukiwaniu tanich środków reprodukcji przekładaliśmy często linoleum nad drzewo; to ostatnie bowiem jest rzadkie i kosztowne — zwłaszcza dla prac większych rozmiarów. Próbowaliśmy także robić cynkografię i akwaforty, lecz doszliśmy do przekonania, że te rodzaje grafiki są mniej użyteczne — ze względu na cel, jaki sobie wytknęliśmy.

Z biegiem czasu, oraz dzięki radom przyjaciół nabyliśmy pewien zasób zmysłu krytycznego i doszliśmy do tego, że każdy daje swój bezpośredni wkład do zespołowej pracy pozostałych kolegów. W taki sposób wypracowaliśmy metodę działania,

która już obecnie stanowi nierozdzielalną część naszego artystycznego dziedzictwa. Zdajemy sobie sprawę, iż jest w tym coś zdrowego i użytecznego, coś, co wzbogaca w znacznym stopniu pracę tak indywidualną, jak i zbiorową.

Zanim nasz zespół przystąpi do pracy, wszyscy członkowie dyskutują na ogólnym zebraniu nad jej planem. Następnie omawia się każdy projekt graficzny, jego temat i kompozycję. Wreszcie przechodzimy do krytyki gotowej już ryciny. Nie rzadko zdarza się, że praca, nawet zupełnie wykończona, nie zyskuje przychylnej aprobaty i wykonawca musi zacząć ją od nowa. Co się dotyczy obrazów, to są one często wspólnym dziełem dwóch artystów, którzy uprzednio uzgodnili ze sobą wszystkie jej szczegóły.

W ten sposób pracownia przekształciła się w prawdziwą organizację artystyczną pracy (być może jedyną na świecie), oraz twórczości zespołowej. Ów zmysł kolektywny odgrywa niezmiernie ważną rolę w próbach tworzenia takich dzieł sztuki, które interpretując rzeczywistość w sposób rozumny i przejrzysty, dotarłyby do naszego ludu.

W pracy naszej napotykamy jednakowoż na wiele braków. Można by ją znacznie ulepszyć. Dlatego to nie jesteśmy z siebie całkowicie zadowoleni. Aby wzbogacić i rozszerzyć naszą produkcję pragnęlibyśmy zmodernizować nasze urządzenia techniczne oraz dysponować bardziej nowoczesnymi prasami i przyrządami. Niestety, z powodu trudności ekonomicznych, zamiar ten nie jest dla nas jeszcze osiągalny.



Luis Arenal: Julian Blanco

Niektóre zasady stosowane w pracowni są takie same, jak te, które obowiązywały dawnych uczniów Akademii Sztuk Pięknych; inne natomiast opierają się na systemie samouctwa. Pracownia uformowała wielu naszych młodych artystów. Dzięki codziennemu obcowaniu z naszym kolektywem, dzięki wspólnym wysiłkom mającym na celu wywieranie wpływu na życie za pomocą sztuki graficznej, młodzież ta posiadała zawód rytownika-litografa. Sztuka nasza — wolna zarówno od zmanierowania akademickiego jak i formalizmu — nie tamuje siły twórczej jednostki. Przeciwnie — wzbogaca ją o doświadczenia innych.

Dbając w pierwszym rzędzie o rozwój umiejętności technicznej członków naszego zespołu, ofiarowaliśmy również swoją współpracę zawodową innym grupom artystycznym oraz organizacjom kulturalnym i postępowym. Braliśmy też czynny udział w wielkich kampaniach organizowanych przez rząd meksykański jak: walka z analfabetyzmem i akcja racjonalnej uprawy kukurydzy.

Pracownia obrała drogę postępu, działając nie tylko dla dobra ludu meksykańskiego, lecz także dla dobra innych, którzy zrozumieli znaczenie naszej misji. Przykładem tego jest np. Boliwia, w której tysiące chłopów zwiedziło zorganizowaną przez nas wystawę.

Nie posiadając żadnych subwencji, ani ze strony czynników oficjalnych, ani od prywatnych mecenasów sztuki — całą naszą pracę oraz wysiłek,



Głowa kobiety indyjskiej

a niekiedy i własne pieniądze, poświęcamy dla rozwoju Pracowni. To też z prawdziwą przyjemnością stwierdziliśmy, że przykład i metody naszej pracy podziałały na innych, którzy próbowali zrzeszyć się w podobne grupy. Jedna taka grupa



Luis Arenal: Grupa kobiet indyjskich.

Istnieje obecnie w Nowym Jorku, druga w Los Angeles. Ostatnio wreszcie — pod wpływem wystawy, która miała miejsce w Austrii i na skutek rozmów z artystami tego kraju — podobna grupa organizuje się w Wiedniu.

W 1949 r. wydaliśmy album, zawierający całokształt działalności Pracowni Graficznej Sztuki Ludowej na przestrzeni 12 lat jej istnienia. Album ten został wspólnie opracowany przez architekta Hannes Mayera i Lenę Berguer. Publikacja ta wniosła pożyteczny wkład do światowej walki o pokój i prawa człowieka.

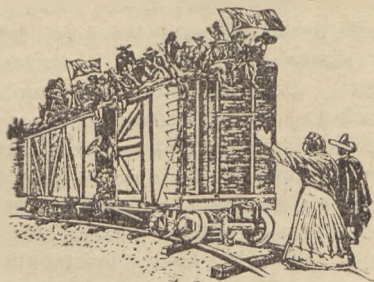
Organizowaliśmy wystawy w licznych miastach Ameryki Płn. i w kilku krajach Ameryki Płd., a także w Europie (Sztokholm, Praga, Warszawa, Oslo, Wiedeń). Część tych prac można było oglądać w Paryżu i Londynie na zorganizowanej staraniem

naszego rządu w 1952 r. wystawie antycznej i nowoczesnej sztuki meksykańskiej. We Włoszech urządziliśmy cztery wystawy — ostatnią w maju 1953 r. z okazji weneckiego Biennale.

Obecnie w skład członków pracowni wchodzi: Bracho, Mora, Aguirre, Rabel, Calderon, O'Higgins, Bustos, Monroy, Yampolsky, Beltran, Gomez, Rodriguez, Anguiono, Berdecio, Luna, Catlett, Méndez i Arenal.

Jeden z naszych kolegów, Leopold Méndez — a wraz z nim cały zespół Pracowni Ludowej Sztuki Graficznej — wyróżniony został przez Światową Radę Pokoju, która przyznała mu Międzynarodową Nagrodę Pokoju. To wysokie odznaczenie zachęciło nas jeszcze bardziej do wzmożenia wysiłków nad rozwojem sztuki dla ludu i dla sprawy utrwalenia pokoju.

Ignacio Aguirre: Sztych z rewolucji meksykańskiej.





5 lipca br. odbyła się w Sali Świerdłowskiej na Kremlu uroczystość wręczenia Nagrody Stalinowskiej „Za utrwalanie pokoju między narodami“ wybitnemu pisarzowi Leonowi Kruczkowskiemu.

Ilja Erenburg wręczył laureatowi dyplom i złoty medal. W odpowiedzi na pełne serdeczności i uznania słowa Erenburga, przemawiającego w imieniu Komitetu do Spraw Międzynarodowych Nagród Stalinowskich, Leon Kruczkowski oświadczył m. in.:

„Zagadnienie pokoju i wojny jest dzisiaj jednym z głównych problemów zarówno dla narodów i całej ludzkości, jak i dla jednostki. Żaden prawdziwy pisarz — prawdziwy, to znaczy miłujący człowieka, własny naród i całą ludzkość — nie może być obojętny wobec problemu pokoju i wojny. Jaśniej mówiąc: nie może być nikim innym, jak tylko aktywnym bojownikiem idei pokoju.

„Czymże jest bowiem nasza walka o pokój, jeśli nie walką o świadomość ludzką? I czym jest słowo, jeśli nie narzędziem kształtowania świadomości? A słowo — to broń pisarza, „inżyniera dusz“. Słowo pisarza — jasne, celne, nasycone emocjonalnym żarem, piętnujące zbrodnię i pełne afirmacji dla piękności życia — jest jednym z najsukuteczniejszych oręży w walce narodów o pokój, czyli — przeciw zbrodni, za twórczym, kwitnącym życiem“.



Kobiety

z Władysławowa

CICHY Don? — Szołochowa... Nie. To już czytałam. — „Martę“ Orzeszkowej i „Matkę“ Gorkiego też już znam... Polakowa niecierpliwie przerzuca książki, po czym zwraca się do bibliotekarki — może pani ma coś o wychowaniu dzieci. Tylko coś takiego nie trudnego, żebym mogła zrozumieć. Chciałabym te moje dzieciaki wychowywać tak po nowemu.

Jasna głowa bibliotekarki pochyła się nad katalogiem. Jeden po drugim padają tytuły popularno-naukowych broszur. Polakowa zastanawia się, w końcu bierze trzy — o zapobieganiu chorobom dziecięcym i o metodach wychowawczych.

Czytać. Jak najwięcej czytać. Ileż nieprzespanych nocy jest za Polako-

wą — zresztą nie żałuje ich ani przez sekundę. To jedne z najmilszych chwil. Wtedy, po dniu ciężkiej pracy w polu i gospodarstwie, można usiąść nad książką, gazetą — i z zadrukowanych kart poznawać świat i ludzi.

Wtedy, można dać ponieść się fantazji — można, w ciągu jednej godziny opuścić rodzinną wieś Władysławowo — można odbywać dalekie podróże, przeżywać przygody i uczyć się wielu pożytecznych rzeczy. Polakowa lubi te godziny. Godziny spokoju i ciszy, przerywanej tylko miarowym oddechem śpiących dzieci. Wystarczy wówczas unieść głowę znad książki, żeby ogarnąć spojrzeniem pogrążoną we śnie czwórkę. Dzieci... Cóż by Polakowa bez nich

robiła? Jaki miałyby cel w życiu? Choć wychowywać je samej kobiecie, bez męża, przy ogromie pracy jaką nakłada na nią trzyhektarowe gospodarstwo, nie jest wcale łatwe. Przysparzają wiele kłopotów i trosk, ale ileż dają radości... No choćby — te ostatnie dni przed zakończeniem roku szkolnego. Egzaminy...



Cała czwórka zdawała. Polakowa przeżywała te dni razem z dziećmi. Przejmowała się, czekała na wyniki tak samo jak one.

Obchodziły ją zresztą nie tylko własne dzieci. Z ramienia koła rodzicielskiego była członkiem komisji egzaminacyjnej. Codziennie, myjąc pośpiesznie ręce ubrudzone w czasie przerywania buraków, biegła na oznaczoną godzinę do szkoły.

Gorącym okresem egzaminów żyła nie tylko Polakowa — żyło nimi całe Władysławowo, małeńka wioska w powiecie plockim, przeżywali je jednakowo młodzi i starzy. A starzy może nawet bardziej. Im łatwiej jest ocenić dobrodziejstwo szkoły. No bo cóż — przed wojną, na palcach można było policzyć we wsi tych, którzy ukończyli trzy oddziały — a do szkoły trzeba było chodzić kilka kilometrów, do Opinogóry — we Władysławowie w ogóle szkoły nie było. Zresztą komu miało zależeć na

tym, żeby władysławowskie dzieci mogły się uczyć choćby tylko czytać i pisać?... Hrabiemu Krasieńskiemu?... Na pewno nie...

Dla chłopów z Władysławowa, Opinogóry, Elżbiecina hrabia był niemal mityczną postacią. Zjawiał się w swoich włościach rzadko. Raz na rok, raz na dwa lata po to... aby wycisnąć z ludzi ostatni grosz. Później pan hrabia wyruszał w świat — Paryż, Riwiera, Monte Carlo.

A we Władysławowie zostawała nędza, ciemnota. Chłop nie miał siły, ani czasu żeby wyprostować plecy znad pańskiego pola. Nie miał siły, ani czasu, żeby zajrzeć do książki, gazety, żeby żyć jak człowiek.

Helena Felbowa ma młodą jeszcze twarz — gładko zaczesane, lśniąco, czarne włosy. Kiedy wspomina lata dzieciństwa, młodości — w żywych oczach pojawia się zaduma.

— To nie było życie — opowiada. — Moi rodzice mieli pięć morgów ziemi i sześćioro dzieci. A w domu męża było jeszcze gorzej. Szliśmy z mężem z dzierzawy na dzierzawę. Ni dom, ni chałupa. Kto wie jak by z nami było...

Ale po co wspominać zle... chyba po to, żeby lepiej ocenić to co się ma dziś.

Z okien domu Felbowej widać rozległe mazowieckie pola, kępy rosochatych wierzb, falujące na wietrze kłosa zbóż. Helena wyciąga rękę i zakreśla szeroki łuk. — To wszystko nasze. Dostaliśmy z reformy rolnej.

Felbowie gospodarują na siedmiu hektarach. Na dwoje ludzi roboty — huk. A jednak Felbowa znajdu-

je jeszcze czas na inne zajęcia, które wybiegają daleko poza własne podwórko. Jest przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich. Jest jego sercem — w pracy sekunduje jej właśnie Kazimiera Polakowa.

Te dwie — potrafiły zainteresować pracą Koła i pociągnąć za sobą inne kobiety. Są niewyczerpane w pomysłach i pełne zapału. Na przykład w okresie żniw Koło zorganizowało przedszkole, a w ciągu roku rozmaite kursy — gotowania, szycia... Żywa praca Koła ma coraz więcej zwolenniczek. Dzięki wygralnemu w ubiegłym roku konkursowi hodowlanemu Koło zyskało dziewięć nowych członkiń. Obecnie wszystkie gospodynie biorą udział w nowym konkursie. Hodują drób, trzodę chlewną — a podjęte zobowiązania przekraczają bardzo wysoko. Konkursy hodowlane, zobowiązania, współzawodnictwo — na tym nie kończy się praca kobiet z władysławowskiego

Koła. Na początku organizowano zebrania, na których wszystkie wspólnie czytały broszury z zakresu hodowli, żywienia i pielęgnacji drobiu, zwierząt. To są już dawne czasy. Teraz żadnej nie trzeba przekonywać o potrzebie czytania. Jest ono tym czym dla wszystkich powietrze, chleb. Takie są kobiety z Władysławowa, małej wioski w powiecie plockim. Potrafią patrzeć dalej — widzieć więcej niż własne sprawy i własne podwórko. Potrafią na równi z mężczyznami szybko, bardzo szybko nadrabiać zle, przedwrześnie lata.

A przecież takich Władysławowów są w Polsce setki i tysiące. Takich kobiet jak Polakowa, czy Felbowa są dziesiątki i setki tysięcy. Dziesięć lat w historii — to niewiele — ale dziesięć lat dla polskiej wsi to — bardzo dużo.

KRYSTYNA PROCNER

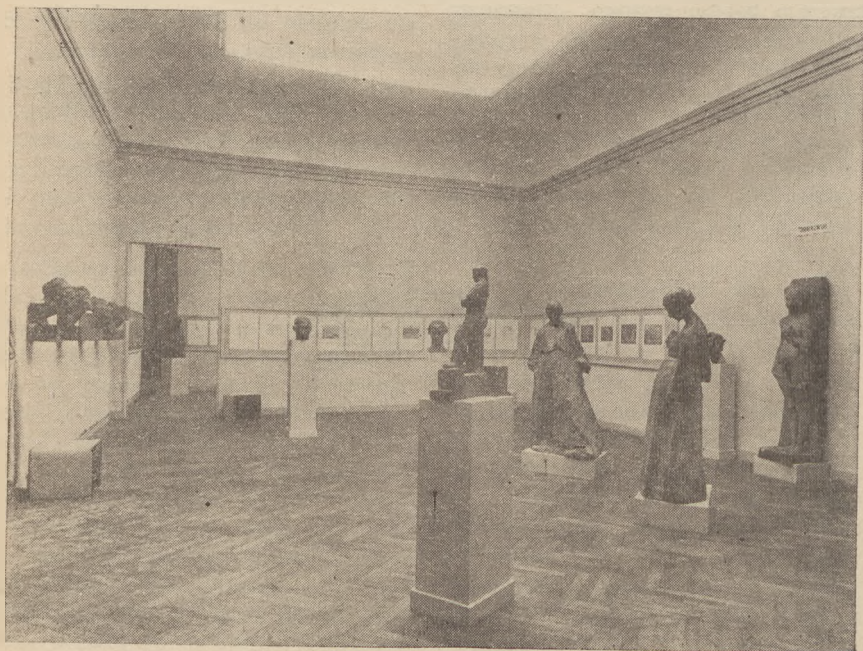


Sztuka polska na Biennale

CO dwa lata odbywa się w Wenecji międzynarodowa wystawa sztuki współczesnej, zwana „Biennale“. Wystawa tegoroczna, 27-ma z rzędu, przybrała wyjątkowo szeroki zasięg, obejmując 31 krajów kapitalistycznych. Wzięły w niej również udział Polska, Czechosłowacja i Rumunia. Polskę reprezentował w dziedzinie rzeźby — Ksawery Dunikowski, grafiki — Tadeusz Kulisiewicz, malarstwa — Aleksander Kobzdej (rysunki z Wietnamu).

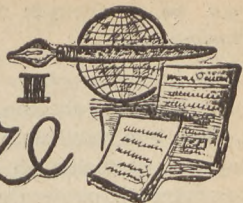
Pierwsze nagrody otrzymali przedstawiciele kosmopolitycznego abstrakcjonizmu i formalizmu — Max Ernst (malarstwo), Joan Miro (grafika) i Jean Arp (rzeźba).

Wobec olbrzymiej przewagi reprezentantów sztuki, panującej w większości krajów kapitalistycznych, trzeba podkreślić jako wielki sukces sztuki polskiej wysunięcie do głównych nagród kandydatury Dunikowskiego i Kulisiewicza. Międzynarodowe Jury wyróżniło szczególnie twórczość Tadeusza Kulisiewicza, zalecając UNESCO reprodukcję jego dzieł (jak również dzieł trzech innych artystów) w krajach, objętych działalnością tej organizacji.



FAKTY

Komentarze



POKÓJ ZWYCIĘŻA WOJNĘ

Porozumienie w sprawie zakończenia wojny w Indochinach zostało osiągnięte w terminie wyznaczonym przez Mendes-France'a — 20 lipca. Co prawda, w ostatniej chwili czynione były ze strony Kambodży, działającej z inspiracji Departamentu Stanu, próby sabotowania porozumienia, ale spaliły one na panewce. Uroczyste posiedzenie konferencji genewskiej w sprawie Indochin, odbyte 21 lipca, ukoronowało wysiłki, jakie mężowie stanu podejmowali w Genewie w ciągu trzech miesięcy, „Dzięki wysiłkom uczestników konferencji — powiedział w końcowym przemówieniu minister Mołotow — osiągnięto podstawowy cel konferencji genewskiej: pomyślnie rozwiązane zostało zadanie przywrócenia pokoju w Indochinach“.

Okres „brudnej“ wojny, jeden z najbardziej żałosnych okresów polityki Francji powojennej został zakończony. Wojna ta, która trwała siedem i pół lat, kosztowała Francję 250 tysięcy ludzi w zabitych, rannych i zaginionych, kosztowała blisko 10 miliardów dolarów. Nadwerżyła ona sytuację gospodarczą Francji w stopniu tak katastrofalnym, że żadne

dotychczasowe próby uzdrowienia gospodarki Francji nie dawały pozytywnych rezultatów. Wojna w Indochinach, która przez lata całe powodowała dla francuskich mas pracujących niesłychane ciężary i była korzystną tylko dla żadnych zysków francuskich i amerykańskich fabrykantów broni, wpędzała kolejne rządy francuskie coraz silniej w jarzmo zależności finansowej od imperializmu amerykańskiego. Polityka Roberta Schumana, Bidault, Plevana, Laniel, Rene Mayera, którzy na żądanie Departamentu Stanu nie chcieli zrezygnować z kontynuowania beznadziejnej „brudnej“ wojny w Indochinach, stała się polityką zdrady interesów narodowych Francji. Przekładając po powrocie z Genewy swoje sprawozdanie Zgromadzeniu Narodowemu, premier Mendes-France podkreślił, że Genewa była „okrutnym stwierdzeniem okrutnej sytuacji“, lecz że usunięty został „koszmar, jaki wisiał nad Francją“. Nawet prawicowy katolicki dziennik „Aurore“ przyznał, że porozumienie genewskie stanowi „bolesne, lecz nieuniknione zlikwidowanie sytuacji, która stała się bez wyjścia“. A liberalny burżuazyjny dziennik „Combat“ pisze o uczuciu ulgi „narodu wyzwolo-

nego od tragicznych błędów swego kierownictwa“.

Ten haniebny okres polityki francuskiej należy obecnie do przeszłości. Pod tym względem zakończenie wojny w Indochinach posiada wielkie znaczenie, otwierając przed Francją perspektywę powrotu do pozycji, godnej tradycji i zadań tego wielkiego mocarstwa jako czynnika stabilizacji pokoju i zapewnienia postępu na świecie.

Ale zakończenie działań wojennych w Indochinach posiada wymowę znacznie jeszcze wykraczającą poza ramy znaczenia dla Francji. „Zawartych na konferencji porozumień, opartych na uznaniu narodowych praw narodów Indochin i uwzględniających interesy Francji — powiedział min. Mołotow — nie można traktować inaczej niż jako poważne zwycięstwo sił pokoju, jako doniosły krok na drodze do złagodzenia napięcia w stosunkach międzynarodowych“. „Obserwatorzy dyplomatyczni — przyznaje zachodnio-niemiecka agencja prasowa DPA — podkreślają, że znaczenie rozejmu wybiega daleko poza granice zwykłego wstrzymania ognia w lokalnej wojnie w Indochinach. Niebezpieczeństwo większej wojny zostało usunięte. Po obu stronach zwyciężyły głosy tych, którzy pragną uniknąć ryzyka zaostrzenia sytuacji i które wybrały kompromis“ — stwierdza DPA. Zakończenie wojny w Indochinach jest więc przede wszystkim niezwykle doniosłym czynnikiem odprężenia międzynarodowego.

Konferencja genewska potwierdziła raz jeszcze wobec całego świata

pokojową rolę Związku Radzieckiego, który nie szczędzi wysiłków, aby swoją pozycję największego mocarstwa świata stale rzucać na szalę pokoju. Wytrwała działalność dyplomatyczna ministra Mołotowa, która już podczas konferencji berlińskiej odegrała główną rolę czynnika łagodzącego nieporozumienia międzynarodowe, jeszcze bardziej zaznaczyła się w tym kierunku w Genewie. Wymownym aktem uznania pokojowych wysiłków min. Mołotowa były słowa wdzięczności, wyrażone pod jego adresem w burżuazyjnych parlamentach, w Izbie Gmin i w Zgromadzeniu Narodowym przez ministra Edena i premiera Mendes-France'a przy głośnych oklaskach na wszystkich ławach poselskich tych parlamentów.

Minister Mołotow ze swej strony podkreślił w swoim końcowym przemówieniu w Genewie wybitną rolę ministra Edena przez cały czas trwania konferencji genewskiej, a także oświadczył, że „nie można nie docenić wkładu wniesionego w toku konferencji do przezwyciężenia trudności przez delegację Francji“, mając na myśli inicjatywę Mendes-France'a. Istotnie, „dyskusja nad kwestią indochińską przeszła — jak stwierdził min. Mołotow — przez dwa etapy“, przypominając trudności, jakie „napotykała ona w pierwszym etapie“, to znaczy — gdy delegacją francuską kierował Bidault. Mołotow, Eden i Mendes-France dali natomiast wymowny przykład harmonijnej współpracy na rzecz pokoju.

Ożywcze znaczenie posiadała dla indochińskiej konferencji zmiana rządu we Francji. Premier Mendes-France, który jest również ministrem

spraw zagranicznych, wykazał w przeciwieństwie do Bidault śmiałą inicjatywę pokojową, uniezależniając się od presji amerykańskiej i nawiązując bezpośredni kontakt z premierem i ministrem spraw zagranicznych Chin Ludowych, Czou En-laiem. Spotkanie Mendes-France'a z Czou En-laiem w Bernie szwajcarskim — pierwszy akt nowego premiera Francji po objęciu urzędowania, przejdzie do historii jako punkt zwrotny w konferencji genewskiej, który utorował drogę do porozumienia.

Aspektem dziejowym konferencji genewskiej, który dla układu sił w stosunkach międzynarodowych posiadać będzie odtąd olbrzymie znaczenie, jest udział i rola Chin Ludowych w koncercie wielkich mocarstw. „W istocie — pisze „Gazette de Lausanne“ — największy sukces odniósł Czou En-lai“. „W praktyce — przyznaje szwajcarski dziennik — Chiny Ludowe są wielkim mocarstwem“. Podobnie zachodnio-niemiecka agencja DPA przyznaje: „Wynikiem o znaczeniu światowo-politycznym jest uznanie Chin jako piątego wielkiego mocarstwa, jakkolwiek nie nastąpiło to w formie oficjalnej. Czou En-lai uchodzi za prawdziwego zwycięzcę. We wszystkich obozach panuje jednomyślna opinia, że wystąpienie chińskiego ministra spraw zagranicznych w Genewie stanowiło wielki sukces“.

Dlatego też wynik konferencji genewskiej oplakiwany jest w Waszyngtonie jako cios dla polityki amerykańskiej. Według United Press rozejm w Indochinach przyczyni się do zwiększenia prestiżu komunistycznych Chin i wzmocni presję w kie-

runku przyjęcia ich do ONZ. Politycy amerykańscy obawiają się według United Press, że „problemy, jakie wynikną z rozejmu wywołają napięcie w zachodnim aliansie i wzmocnią blok neutralistyczny“. Odwrotnie, „opinia brytyjska — donosi z Londynu agencja Reutera — życzliwie powitała wiadomość o podpisaniu układu rozejmowego“. Burżuazyjny „News Chronicle“ napisał: „Na Wschodzie, gdzie tzw. zachowanie twarzy znaczy tak wiele, komuniści zyskali nie dający się ocenić prestiż. Konferencja genewska nadwerzęła stosunki anglo-amerykańskie, które nie zostaną naprawione zbyt łatwo. Z punktu widzenia międzynarodowego, główną usługą konferencji genewskiej jest skryształizowanie niebezpiecznie płynnej sytuacji“.

Aktywny udział Czou En-laja w konferencji genewskiej, rozmowa w Bernie, wizyty jego w Delhi i w Rangunie, oraz jego spotkanie z Ho Szi Minem, a także konferencja w Colombo — wszystkie te wydarzenia wykazały, że rozstrzygnięcie zagadnień międzynarodowych w skali ogólnoświatowej nie może się odbywać pomimo lub z pominięciem Chin Ludowych oraz innych państw Azji. Okres XIX stulecia, gdy o losach Azji decydowały mocarstwa imperia-listyczne, minął bezpowrotnie. Jak podkreślił min. Mołotow na końcowym posiedzeniu, przebieg konferencji dowiódł, że „życie samo zmiata sztuczne bariery, wznoszone wciąż jeszcze przez agresywne koła niektórych państw w celu przeszkodzenia udziałowi Chin w rozwiązywaniu problemów międzynarodowych“. Konferencja genewska ukazała światu

ciężar gatunkowy Chin, Indii i w ogóle wielkich państw azjatyckich, które przestały być pionkami w imperialistycznej rozgrywce wielkomocarstwowej, lecz są dzisiaj pełnoprawnymi i równorzędnymi rzecznikami pokojowego współżycia narodów. Zaś walka narodowo-wyzwoleńcza narodów azjatyckich stała się na przykładzie Wietnamu uznanym w polityce międzynarodowej czynnikiem. Porozumienie genewskie jest — jak podkreślił min. Mołotow — **„wyrazem międzynarodowego uznania walki narodowo-wyzwoleńczej, jej wielkich ofiar i bohaterstwa“.**

Rezultat konferencji genewskiej stanowi bankructwo propagowanej przez Stany Zjednoczone koncepcji „polityki siły“. Jak podkreślił w swoim końcowym przemówieniu w Genewie Czou En-lai — **„żadna polityka z pozycji siły, zmierzająca do wywołania rozłamu, ani montowanie przeciwstawnych ugrupowań militarnych nie może liczyć na poparcie narodów“.** „Wyniki konferencji genewskiej — powiedział min. Mołotow — potwierdziły słuszość zasady, jakiej Związek Radziecki broni w całej swej polityce zagranicznej, że nie ma takich spornych kwestii w obecnej sytuacji międzynarodowej, których nie można byłoby rozwiązać w drodze rokowań i porozumień, zmierzających do umocnienia pokoju“.

Konferencja genewska stać się więc może punktem wyjścia do rozwiązania drogą rokowań również innych zagadnień, które wywołują napięcie międzynarodowe: zagadnienia zjednoczenia Niemiec na pokojowych i demokratycznych podstawach, zagadnienia przerwania wyścigu zbro-

jeń, a przede wszystkim zagadnienia uwolnienia ludzkości od widma wojny atomowej. Oceniając wyniki konferencji genewskiej, organ Labour Party, londyński „Daily Herald“ oświadczył: **„Oto są realne dowody, że ludzkość nie musi ześliznąć się ku atomowej katastrofie“.**

Wszak niedawno i Związek Radziecki pokazał całemu światu właściwy sposób i właściwą drogę wykorzystywania energii atomowej nie dla niszczenia ludzkości, lecz dla jej dobra. Uruchomienie w Związku Radzieckim pierwszej elektrowni przemysłowej o napędzie atomowym stanowi wymowny dowód wykorzystywania zdobyczy naukowych dla celów pokojowych.

Dzień 27 czerwca 1954 r., w którym ludzkość dowiedziała się, że rozszczepienie jądra atomowego zostało wykorzystane jako źródło energii dla celów pokojowych, oraz dzień 21 lipca 1954 r., w którym opinia światowa dowiedziała się o zakończeniu wojny w Indochinach drogą porozumienia między wielkimi mocarstwami, stanowią dwa drogowskazy, prowadzące do tego samego celu — do pokoju.

W WORKU STREFY KANAŁU SUESKIEGO

Przed paroma tygodniami upłynęła druga rocznica zainscenizowanego w Egipcie z inspiracji amerykańskiej przewrotu, wskutek którego proangielski król Faruk pozbawiony został tronu, a rządy w Egipcie objęła „junta“ wojskowa, tworząca tzw. „Wojskową Radę Rewolucyjną“. Na czele Wojskowej Rady Rewolucyjnej stanął generał Naguib,

ale rolę kierowniczą odgrywał już wówczas pułkownik Nasser, który dzisiaj jako premier Egiptu sprawuje faktyczną władzę, podczas gdy generał Naguib, po zrzeczeniu się premierostwa, zadowolić się musiał reprezentacyjną rolą głowy państwa — prezydenta Egiptu.

Dokonane w ciągu tych 2 lat zmiany personalne na kierowniczych stanowiskach rządowych w Egipcie nie odbiły się na stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi. Pułkownik Nasser, podobnie jak przed nim generał Naguib, nie uchyla się od dawania posłuchu „radom“, jakich udziela ambasador USA w Kairze Jefferson Caffery. Jednym z głównych zadań ambasadora Caffery jest wyeliminowanie z Egiptu wpływów brytyjskich, umocnionych w swoim czasie przez narzucony Egipcjom w 1936 r. traktat anglo-egipski, zawarty na 20 lat. Traktat ten oddawał W. Brytanii strefę Kanału Sueskiego jako bazę wojskową. Dzięki tej bazie Anglicy, jak dowiodła druga wojna światowa, wywierali dominującą wpływ na cały Bliski Wschód. Polityka amerykańska zmierza dzisiaj konsekwentnie do wyeliminowania wpływów brytyjskich w świecie arabskim i umocnienia w państwach arabskich wpływów amerykańskich, zwłaszcza przy pomocy penetracji kapitałów. Rząd Stanów Zjednoczonych prowadzi więc politykę wyeliminowania W. Brytanii z bazy wojskowej wzdłuż Kanału Sueskiego. Jeszcze za panowania Faruka, w r. 1951 burżuazyjno - nacjonalistyczny rząd Nahasa Paszy jednostronnie zerwał narzuconą Egipcjom w 1936 r. umowę anglo-egipską, domagając się

bezwzględnej ewakuacji strefy Kanału Sueskiego. Rząd amerykański zdecydowanie poparł postulaty egipskie, naciskając od tego czasu nieustannie na W. Brytanię, by ewakuowała Egipt, zarzucając W. Brytanii tendencje „kolonializmu“ i pozując na obrońcę uciśnionych narodów kolonialnych. Rząd brytyjski ze swej strony stanowczo opierał się bezwzględnej i całkowitej ewakuacji bazy wojskowej w Suez, stawiając szereg warunków.

Ostania faza targów anglo-egipskich o Suez ciągnie się od blisko dwóch lat, od chwili objęcia rządów w Egipcie przez juntę wojskową. Generał Naguib wystąpił z żądaniem natychmiastowej ewakuacji strefy Kanału Sueskiego przez brytyjskie siły zbrojne. Rząd brytyjski uzależniał swoją zgodę na wycofanie swoich sił zbrojnych od dwóch warunków: 1) negocjatorzy angielscy domagali się uznania przez Egipt prawa automatycznego powrotu brytyjskich sił zbrojnych do strefy Kanału Sueskiego w razie zaatakowania przez stronę trzecią Turcji i Iranu oraz w wypadku agresji uznanej przez ONZ; 2) technicy brytyjscy, którzy w liczbie 4000 pozostać mieliby w strefie Kanału Sueskiego dla obsługi instalacji technicznych w utworzonych przez W. Brytanię bazach, mieliby nosić mundury, które odróżniałyby ich od reszty mieszkańców strefy.

Negocjatorzy egipscy stanowczo sprzeciwiali się warunkowi drugiemu, twierdząc, że noszenie przez techników brytyjskich mundurów uważane byłoby przez społeczeństwo egipskie za pewnego rodzaju wyzwanie. Technicy angielscy, paradując

cy w Egipcie w mundurach, byłoby identyfikowani z wojskiem i wobec tego mógłby powstać zarzut, że ewakuacja brytyjskich sił zbrojnych ze strefy Kanału Sueskiego była fikcją. Co do drugiego warunku to Egipt zgadzał się na ewentualność automatycznego powrotu brytyjskich sił zbrojnych do strefy Kanału Sueskiego — bez uprzednich konsultacji z Egiptem — jedynie w razie zaatakowania przez jednostki wojsk lądowych którykolwiek z krajów arabskich, który byłby sygnatariuszem pan-arabskiego paktu zbiorowego bezpieczeństwa. Należą doń Egipt, Arabia Saudyjska, Syria, Jemen, Liban, Transjordanian, Irak. Stanowisko egipskie wyraźnie wykluczało automatyczny powrót wojsk brytyjskich w razie zaatakowania przez strony trzecie Turcji i Iranu oraz w wypadku agresji uznanej przez ONZ. W dalszym toku pertraktacji rząd egipski poczynił ustępstwo, że — w wypadku zaatakowania Turcji lub Iranu — przed powrotem brytyjskich sił zbrojnych do strefy Kanału Sueskiego miałyby być podjęte konsultacje brytyjsko-egipskie.

Ten stan rzeczy trwa w dalszym ciągu pomiędzy W. Brytanią a Egiptem w sprawie ewakuacji Kanału Sueskiego przez Anglików. Pertraktacje toczą się jakiś czas, a potem urywają się i zaczynają od nowa. Ani jedna, ani druga strona nie zdradzała dotąd chęci ustąpienia. Rząd Churchilla, mając w łonie partii konserwatywnej poważną grupę posłów, sprzeciwiających się w ogóle ewakuacji Anglików z Kanału Sueskiego, przeciąga sprawę, licząc na to, że może do roku 1956, kiedy

to wygasa termin traktatu anglo-egipskiego. Ale wobec nacisku amerykańskiego rząd brytyjski stwarzać musi pozory, że pragnie rokowań. W czasie niedawnych rozmów w Waszyngtonie Eisenhower i Dulles ponownie naciskali na Churchilla i Edena, aby rząd brytyjski okazał więcej ugodowości wobec postulatów egipskich. Temu też należy niewątpliwie przypisać obecne wznowienie rokowań.

Treść nowych propozycji brytyjskich ani też treść kontrpropozycji egipskich nie zostały dotąd ujawnione, ale według „**New York Times**“ projekt brytyjski ma poparcie Stanów Zjednoczonych. Na ogół prasa brytyjska i amerykańska ocenia tym razem widoki porozumienia anglo-egipskiego bardziej optymistycznie.

Niedawno minister orientacji narodowej Egiptu (czyli — inaczej mówiąc — minister propagandy), Salah Salem określił sytuację angielską w Egipcie w następujących słowach: „**Zachód osiągnął właściwie jedną rzecz, że 80 tysięcy ludzi okrażonych jest w worku strefy Kanału Sueskiego przez miliony ludzi, których serca są przepelnione nienawiścią i gniewem**“.

W tych warunkach imperializm brytyjski, trzeźwo oceniając sytuację, zaczyna się zastanawiać, czy gra jest warta stawki.

LOS „EUROPEJSKIEJ WSPÓLNOTY OBRONNEJ“

Politykę zagraniczną Francji cechowała w ostatnich latach służalcza uległość wobec Departamentu Stanu. Na przesłance posłuszeństwa wobec rozkazów amerykańskich opierały

się rządy na Quai d'Orsay zarówno Roberta Schumana jak i Georgesa Bidault. Gdy wpływy proamerykańskiej katolickiej partii MRP, której przedstawicielami byli Robert Schuman i Bidault, zostały z rządu francuskiego wyeliminowane, Departament Stanu zaczął stosować wzmożone metody nacisku na nowy rząd Francji, aby od razu zmusić go do uległości i posłuszeństwa.

W sprawie ratyfikacji układu o „europejskiej wspólnocie obronnej” — układu, który prowadzi do remilitaryzacji Niemiec zachodnich pod płaszczykiem tzw. „armii europejskiej”, nacisk ten zaczął się od separatystycznej konferencji Eisenhowera i Dullesa z Churchillem i Edenem w Waszyngtonie. Wydany po tych rozmowach komunikat stwierdza, że obydwa rządy zdecydowane są forsować wprowadzenie w życie układu o „europejskiej wspólnocie obronnej”, uważając utworzenie „armii europejskiej” przy udziale Niemiec zachodnich za najluszniejsze rozwiązanie dla przywrócenia Republice Federalnej pełnej suwerenności. Komunikat stwierdzał także, że Stany Zjednoczone i W. Brytania przeciwnie są zmianom w układach z Bonn i Paryża oraz że nalegać będą na Francję, by jak najszybciej ratyfikowała układy w ich obecnej postaci.

Zaraz potem wystąpił sam Adenauer, który w wywiadzie radiowym brutalnie zagroził Francuzom, że Niemcy zachodnie nie są skłonne dłużej czekać, że Republice Federalnej należą się obecnie pełne prawa suwerenne i o ile Francuzi nie zgodzą się na układ o „europej-

skiej wspólnocie obronnej”, to Niemcy zachodnie zmuszone będą przystąpić do formowania własnej armii narodowej. Adenauer odrzucił wszelkie inne alternatywy. Bezzcelne wystąpienie Adenauera wywołało w Paryżu oburzenie. Premier Mendès-France odwołał wyjazd do Bonn podsekretarza stanu spraw zagranicznych, Beaumonta, który spotkać się miał z Adenauerem dla omówienia kwestii zmian w układzie o „europejskiej wspólnocie obronnej”.

Innym ciosem, wymierzonym we Francję, a mającym też odegrać rolę nacisku na premiera Mendès-France'a, było powołanie do życia na skutek rozmów waszyngtońskich mieszanej komisji ekspertów amerykańsko-brytyjskich dla ustalenia, w jaki sposób można by przywrócić Republice Federalnej prawa suwerenne, przewidziane w układzie z Bonn, bez oczekania na wprowadzenie w życie układu paryskiego. Jak wiadomo, wprowadzenie w życie układu z Bonn uzależnione zostało przy podpisywaniu przeszło dwa lata temu obu układów od równoczesnego wprowadzenia w życie układu paryskiego, przewidującego utworzenie „armii europejskiej” w ramach „europejskiej wspólnoty obronnej”. Obecnie więc Stany Zjednoczone i W. Brytania dążą do zerwania więzów, łączących obydwa układy i usiłują uniezależnić wprowadzenie w życie układu z Bonn od wprowadzenia w życie układu paryskiego. Fakt powołania tej komisji do życia i przeprowadzenia przez nią prac w Londynie bez udziału w niej Francji uderzał w

pozycję Francji jako wielkiego mocarstwa europejskiego, najbardziej bezpośrednio zainteresowanego sprawą przyszlności sąsiadujących z Francją Niemiec zachodnich.

Po odbytej separatystycznej anglo-amerykańskiej naradzie ekspertów w Londynie, nastąpiły jednoznaczne oświadczenia Dullesa w Waszyngtonie i Churchilla w Izbie Gmin, że Stany Zjednoczone i W. Brytania proponują Francji wprowadzenie w życie „układu ogólnego” z Bonn bez względu na istniejący obecnie związek pomiędzy układem z Bonn a układem o „europejskiej wspólnocie obronnej”, celem przywrócenia Niemieckiej Republice Federalnej suwerenności, jednakże bez prawa natychmiastowego zbrojenia się. Przywrócenie suwerenności miałyby nastąpić, gdyby układ o „europejskiej wspólnocie obronnej” nie został ratyfikowany w czasie obecnej sesji francuskiego Zgromadzenia Narodowego, która kończy się około 15 sierpnia.

Jako jedno z trzech państw okupacyjnych Niemiec zachodnich, Francja mogłaby sparaliżować, a w każdym razie znacznie utrudnić nadanie Republice Federalnej praw suwerennych dla stworzenia własnego Wehrmachtu przez odmowę zgody w obrębie francuskiej strefy okupacyjnej na zerwanie więzów, łączących obydwie układy. Zdobycie się jednak przez rząd francuski na taki krok oznaczałoby zerwanie z dotychczasową polityką mocarstw imperialistycznych w Niemczech, z wszystkimi stąd wypływającymi dla Francji konsekwencjami.

Żądanie anglo-amerykańskie wywołało we Francji stanowczy opór. Paryski „Monde” pisał na ten temat: „Nic nie zmusza premiera Mendes-France’a do powzięcia decyzji przed załatwieniem sprawy Europejskiej Wspólnoty Obronnej. Projekt anglo-amerykański, sugerujący przywrócenie Niemcom suwerenności bez prawa remilitaryzacji, wydaje się być raczej sposobem wywarcia nacisku niż polityką długofalową”. Postępowy „Liberation” podkreślił, że „chodzi tu o wciągnięcie Francji, z początku w formie łagodnej, w zębate koło remilitaryzacji Niemiec zachodnich”.

„Przed Francją — podkreślił na łamach „Monde” znany publicysta, Maurice Duverger — stawia się wybór: albo Europejska Wspólnota Obronna, albo narodowa armia niemiecka. Ale naprawdę istnieją nie dwa, lecz trzy rozwiązania: Europejska Wspólnota Obronna, Wehrmacht, lub zaniechanie remilitaryzacji Niemiec”.

Również w Anglii podniosły się głosy w obronie Francji. Organ Labour Party, „Daily Herald” napisał: „Premier francuski powinien mieć poparcie W. Brytanii. A zamiast tego rzuca mu się kłody pod nogi w tym samym czasie, gdy obsypuje się Adenauera kwiatami. Każdy musi przyznać, że jest to szaleństwo. Pół wieku historii Europy stanowi ostrzeżenie przeciwko takiemu postępowaniu”.

Stanowisko rządu francuskiego nie jest w tej sprawie jeszcze wykrystalizowane. Amerykańskie koła dziennikarskie w Genewie twierdziły co

prawda, że premier Mendes-France miał wyrazić Dullesowi, w czasie nagłej i niespodziewanej wizyty amerykańskiego sekretarza stanu w Paryżu, swoją zgodę na odseparowanie układu ogólnego z Bonn od układu o „europejskiej wspólnocie obronnej”. o ile by Niemcy zachodnie nie były chwilowo uzbrajane. Amerykańskie źródła prasowe spekulowały nawet, że była to cena, jaką Mendes-France zgodził się zapłacić Dullesowi za udział amerykańskiego podsekretarza stanu Bedell Smitha w końcowej fazie konferencji genewskiej i aprobatę Stanów Zjednoczonych dla osiągniętego w sprawie Indochin porozumienia. Przeczy temu stanowisko wiceministra spraw zagranicznych Francji, Beaumonta, który kategorycznie oświadczył, że rząd francuski nie godzi się na oddzielenie układu ogólnego z Bonn od układu o „europejskiej wspólnocie obronnej”.

Jedno jest rzeczą pewną, a mianowicie, że dopiero teraz, po definitywnym uregulowaniu sprawy Indochin premier Mendes-France zająć się może problemem ratyfikacji układu o „europejskiej wspólnocie obronnej”. Załatwienie zaś tej sprawy przed feriami letnimi Zgromadzenia Narodowego, które nastąpią najpóźniej 15 sierpnia, nie wydaje się możliwe ze względu na brak czasu. Zagadnienie ratyfikacji układu o „europejskiej wspólnocie obronnej” jest najbardziej kontrowersyjną sprawą we Francji. Dużo jeszcze wody upłynie, zanim stanowiska zainteresowanych w tej sprawie polityków francuskich wykrystalizują się do tego stopnia że możliwe będzie powzięcie decyzji: za czy przeciw.

Niecierpliwość Adenauera objawiająca się w coraz bardziej brutalnych i coraz mniej odpowiedzialnych wystąpieniach publicznych zmierzających do wywarcia nacisku na Francję, a wywołujących skutek odwrotny, podyktowana jest przede wszystkim faktem, że jego własna pozycja uległa w Niemczech zachodnich poważnemu osłabieniu i że jego koalicja trzeszczy. Wielkim ciosem był dla Adenauera wynik wyborów do Landtagu czyli sejmu krajowego Północnej Nadrenii i Westfalii, najbardziej zaludnionego i gospodarczo najważniejszego obszaru administracyjnego Republiki Federalnej. Północna Nadrenia i Westfalia były dotąd domeną wpływów CDU — partii chrześcijańsko-demokratycznej Adenauera. Obecne wybory wykazały, że od września zeszłego roku, od wyborów do Bundestagu, partia Adenauera straciła w Północnej Nadrenii i Westfalii przeszło milion głosów, czyli więcej niż 30% ze swego stanu posiadania. Dotychczasowy rząd z premierem Arnoldem z partii Adenauera na czele okazał się w mniejszości i dla utworzenia nowego rządu Arnold będzie musiał zabiegać o względy Freie Deutsche Partei albo socjaldemokracji. Również odbyte w NRD referendum na temat: układ o „europejskiej wspólnocie obronnej” czy traktat pokojowy, w wyniku którego przeszło 12 milionów głosów padło na rzecz traktatu pokojowego, podczas gdy mniej niż 850 tysięcy głosów opowiedziało się za „europejską wspólnotą obronną”, przyczyniło się do osłabienia pozycji Adenauera,

występującego w roli głównego szermierza niepopularnej w całych Niemczech „europejskiej wspólnoty obronnej“.

W tej sytuacji specjalnego znaczenia nabierają coraz głośniej rozlegające się w Niemczech głosy na rzecz porozumienia między samymi Niemcami. W nawiązaniu ściślejszych kontaktów między Niemcami z Republiki Federalnej a Niemcami z NRD dużą rolę odegrał odbyty w Lipsku ogólnoniemiecki „Kirchentag“, który zebrał przeszło 50 tysięcy aktywnych ewangelików z całych Niemiec. Przewodniczący „Kirchentagu“, działacz ewangelicki z Niemiec zachodnich, von Thadden Trieglaff, podkreślając na końcowej manifestacji, że „Kirchentag“ toczył się w atmosferze pełnej wolności i że pobił rekord pod względem ilości uczestników, co posiada specjalną wymowę z uwagi na trwający podział Niemiec, oświadczył: „**Tegoroczny Kirchentag jest wydarzeniem, które tworzy historię.** A przewodniczący Rady Kościoła Ewangelickiego w Niemczech, biskup Dibelius określił zjazd jako „**największy, najbardziej żywotny i wzruszający ze wszystkich dotychczasowych Kirchentagów.**“ W ramach „Kirchentagu“ spotkali się w Lip-

sku również wybitni działacze polityczni obu części Niemiec jak np. przewodniczący Bundestagu z Bonn, Ehlers i przewodniczący Izby Ludowej w NRD Dieckman, federalny minister Tillman i minister kultury w strefie radzieckiej, Becher, wicepremier NRD Nuschke i deputowany do Bundestagu Metzger i wielu innych. Po powrocie do Bonn przewodniczący Bundestagu, Ehlers oraz szereg deputowanych, którzy brali udział w lipskim „Kirchentagu“, podkreślili na konferencji prasowej atmosferę wzajemnej życzliwości i przyjaźni, jaka panowała w Lipsku, stwierdzając, iż ewangelicy z Zachodu mieli całkowitą swobodę wypowiedziania się. „**Jakkolwiek Kirchentag był imprezą o charakterze czysto kościelnym — która to zasada nie została złamana — to jednak posiadał on poważne znaczenie polityczne**“ — przyznał Ehlers. Rośnie w Niemczech liczba tych, którzy potępiają adenaüerówsko-dullesowską politykę pogłębiania rozbitcia Niemiec i przygotowywania bratobójczej walki między Niemcami. Rośnie liczba zwolenników pokojowego zjednoczenia Niemiec. Naród niemiecki chce pokoju.

STEFAN LITAUER

U W A G A

Przypominamy, że ostateczny termin opłacania prenumeraty na następny okres upływa z dniem 10 września 1954 r.

Kronika nowości



FRANCJA. — Ostatnio ukazała się tu cała lawina nowych znaczków. Oprócz trzech, które poprzednio sygnalizowaliśmy: 8 fr — Dolina Sekwany, 12 fr — Marszałek de Latre i 15 fr — „Ładowanie aliantów” misji z dnia 5 czerwca, — zostały wydane także: 12 czerwca: 6 fr — Lourdes, 12 fr — Quimper (miejscowość w departamencie Finistère).

13 czerwca: 12 fr — XIII-te stulecie Opactwa w Jumièges (ruiny Opactwa Benedyktynów z czasów Merowingów).

18 czerwca: 30 fr — Ośrodek studiów romańskich.

19 czerwca: 18 fr — Zamek Cheverny (słynny zamek nad Loarą).

3 lipca: 10 fr — Royan, 20 fr — Ajaccio (miejscowość na Korsyce, miejsce urodzenia Napoleona).

UNIA FRANCUSKA. — Dla terytoriów zamorskich wypuszczono 12 znaczków — upamiętniających lądowanie aliantów. Wszystkie są jednakowego formatu i przedstawiają znaczek francuski, powiększony o egzotyczny krajobraz po lewej stronie.

NIEMCY ZACHODNIE. — 11 maja ukazał się 10-fenigowy znaczek ku czci Ottmara Mergenthalera, który udoskonalił sztukę drukarską i był właściwym wynalazcą nowoczesnego drukarstwa.

N. R. D. — II-gi Ogólnoniemiecki Zjazd Młodzieży o Pokój i Wolność, upamiętniony został 3-go czerwca dwoma znaczkami: 12 fen. zielony i 24 fen. czerwony.

AUSTRIA. — 1-go czerwca ukazał się w obiegu, dla upamiętnienia pięćdziesięciolecia esperanto, jeden znaczek wartości 1 schil. w kolorze brunatno-oliwkowym i zieloną gwiazdą.





BULGARIA. — Pojawiła się, dawniej zapowiedziana, seria złożona z dziesięciu wartości. Znaczki przedstawiają widoki Bułgarii z unoszącymi się nad nimi samolotami.

IRLANDIA. — Zielony znaczek za 3 p., przedstawiający „Madonnę z Dzieciątkiem“, ukazał się 24 maja.

POLSKA. — 1-szy maja „Święto Pracy“ został uczczony trzema znaczkami (40, 60 i 80 groszy). Dwie wartości po 80 gr. upamiętniły kolarski „Wyścig Pokoju“.

WĘGRY. — Dwie wartości uczeły 1-szy maja (40 f. zielono-żółty i 60 f. czerwono - pomarańczowy). 24 maja ukazał się jeden znaczek 60 filerowy ku czci Kongresu Robotników Węgierskich

ONZ. — Wypuszczono dwa znaczki o identycznym rysunku dla uczczenia Międzynarodowej Organizacji Pracy (3 c brązowy i 8 c różowy).

ZSRR. — Siedem wielobarwnych znaczków upamiętniło 300 rocznicę połączenia się Ukrainy z Rosją.

ARGENTYNA. — Trzy znaczki upamiętniają z przeszło rocznym opóźnieniem Konferencję Telekomunikacyjną.

CEJLON. — Pojawiły się cztery znaczki serii obiegowej. Później, jako uzupełnienie, ukaze się dalszych sześć wartości.

KUBA. — Pojawiły się dwa znaczki przedstawiające „przemysł cukrowniczy“.

WŁOCHY. — Jeden znaczek za 25 lirów upamiętnia 10 rocznicę Włoskiego Ruchu Oporu.

CZECHOSŁOWACJA. — Nowa seria znaczków sportowych składa się z trzech wartości: 30 h — postać Zatopka, 80 h — turystyka górską i 1 korona — pływanie.

WIETNAM. — Na początku bieżącego roku Demokratyczna Republika Wietnamu wydała sześć znaczków, utrzymanych w jednolitym typie, przedstawiających prezydenta Ho Szi Mina.

PANAMA. — Znaczek za 1 c zielony, zmienia kolor i staje się różowo-karminowym.

JAPONIA. — Dla uczczenia „Tygodnia Ptaków“ ukazał się 10 maja zielony znaczek o wartości 3 yenów — przedstawiający kukułkę.



MECZ ZSRR — USA 20:12

JAK wiadomo planowany w roku ubiegłym mecz ZSRR — USA nie doszedł wówczas do skutku: szachiści radzieccy przyjęli wprawdzie zaproszenie Federacji Szachowej USA, dojechawszy jednak już do Paryża — zmuszeni byli zawrócić do Moskwy, wobec niedopuszczalnego stanowiska władz amerykańskich, ograniczającego możliwość poruszania się drużyny radzieckiej jedynie do obrębu miasta Nowy Jork. Odpowiedzią na to policyjne zarządzenie był sławny „list otwarty“ arcymistrzów radzieckich — zapraszający reprezentację szachową USA do rozegrania spotkania w Moskwie, list, który odbił się szerokim echem w całym świecie. I to spotkanie jednak do skutku nie doszło, natomiast szachiści amerykańscy skierowali w tym roku ponowne zaproszenie do szachistów ZSRR z prośbą o przybycie do Nowego Jorku zapewniając, że zeszłoroczne ograniczenia zostały cofnięte. Zaproszenie to zostało i tym razem przyjęte i w początku czerwca wyjechała z Moskwy do USA pod kierownictwem Postnikowa ekipa radziecka (osłabiona jedynie brakiem mistrza świata Botwinnika).

Należy podkreślić, że ten rozegrany w Nowym Jorku w dniach 16—24 czerwca mecz był pierwszą wizytą sportowców radzieckich w Stanach Zjednoczonych i jak stwierdził w przemówieniu końcowym Postnikow — powinien przyczynić się znacznie do wzmocnienia kulturalnej i sportowej więzi między ZSRR i USA. Mecz spotkał się z wielkim zainteresowaniem (mimo stanowiska pewnej części prasy, która w ogóle usiłowała go przemilczeć...) i w pięknej sali hotelu „Roosevelt“ codziennie około 1 000 widzów obserwowało rozgrywkę, a wśród widzów byli nawet mieszkańcy daleko położonych stanów i... Meksyku!

Sportowe wyniki meczu, rozgranego na analogicznych warunkach, jak niedawny mecz ZSRR — Argentyna — ilustruje poniższa tabelka

ZSRR *		Rundy:				USA		Rundy:			
	I	II	III	IV				I	II	III	IV
1. W. Smysłow	1/2	1/2	1/2	1/2=2	1. S. Reshevsky	1/2	1/2	1/2	1/2=2		
2. D. Bronsztajn	1	1	1	1=4	2. A. Denker	0	0	0	0=0		
3. P. Keres	1	1	1	0=3	3. M. Pavey	0	0	0***	1=1		
4. J. Awerbach	0	1	0	0=1	4. D. Byrne	1	0	1	1=3		
5. E. Heller	1	1/2	1/2	1=3	5. I. Horowitz	0	1/2	1/2	0=1		
6. A. Kotow	1	1/2	1/2	1/2=2 1/2	6. R. Byrne	0	1/2	1/2	1/2=1 1/2		
7. T. Petrosjan	1/2	1/2	1	1=3	7. A. Bisguier	1/2	1/2	0	0=1		
8. M. Tajmanow	1	0	1/2	0=1 1/2	8. L. Evans	0	1	1/2	1=2 1/2		
	6	5	5	4=20				2	3	3	4=12

* Rezerwowi zawodnicy radzieccy, I. Bolesławski i I. Bondarewski nie grali ani jednej partii.

** Zamiast Denkera grał A. Dake.

*** Zamiast Paveya grał A. Kevitz.

Zgodnie zatem z ogólnymi przewidywaniami drużyna radziecka odniosła i tym razem i oczywiście odnieść musiała — najzupełniej zasłużone i przekonujące zwycięstwo. A jednak wynik 20:12 jest swego rodzaju małą sensacją: niżej dziś niż Argentyna „notowana“, silnie „odmłodzona“ drużyna USA zdołała zabrać arcymistrzom radzieckim aż 12 punktów (więcej niż Argentyna!) i — z wyjątkiem katastrofalnie przegranej I rundy — nawiązywała równorzędną walkę, podobnie jak w 1946 r. w Moskwie, gdzie w dwukółowym meczu na 10 szachownicach szachiści radzieccy wygrali zaledwie 12½ : 7½. Wydaje się, że po I rundzie drużyna radziecka jakby odrobinię „spoczęła na laurach“, a prócz tego Awerbach i Tajmanow tym razem zdecydowanie zawiedli. Na specjalne natomiast podkreślenie zasługuje świetna gra Bronsztajna, Keresa, Hellera i Petrosjana, a ze strony amerykańskiej — D. Byrne'a i Evansa. Cały mecz, aczkolwiek rozegrany w bardzo serdecznej atmosferze był dosłownie „naładowany elektrycznością“, partie prowadzone bojowo i bardzo interesujące, czego najlepszym dowodem będzie poniższa „próbka“:

OBRONA KRÓLEWSKO - INDYJSKA grana w I rundzie meczu

Białe: **R. Byrne** Czarne: **A. Kotow**

- | | |
|-----------|--------|
| 1. d2—d4 | Sg8—f6 |
| 2. c2—c4 | g7—g6 |
| 3. g2—g3 | Gf8—g7 |
| 4. Gf1—g2 | 0—0 |
| 5. Sb1—c3 | d7—d6 |
| 6. Sg1—f3 | |

W ostatnim meczu o mistrzostwo świata Botwinnik trzykrotnie zastoso-
wał przeciw Smysłowowi nowy,
ciekawy plan rozwoju: 6. e3 wraz
z 7. Sg—e2 i 0—0, b2—b3, Ga3 itd.
Mistrz amerykański woli jednak le-
piej zbadać drogę.

- | | |
|----------|--------|
| 6. ... | Sb8—d7 |
| 7. 0—0 | e7—e5 |
| 8. e2—e4 | |

Białe decydują się pójść na głów-
ny wariant tego niezwykle ostrego
i skomplikowanego debiutu, cieszą-
cego się dziś, jak wiadomo wielką
i zasłużoną popularnością.

- | | |
|--------|-------|
| 8. ... | c7—c6 |
|--------|-------|

Wielki znawca tego otwarcia Hel-
ler uważa za najdokładniejsze na-
tychmiastowe 8. ... e : d4.

- | | |
|----------|--|
| 9. h2—h3 | |
|----------|--|

Wartość idei Botwinnika 9. Ge3 ze
względem na nowość Smysłowa: 9. ...
Sg4. 10. Gg5, Hb6! 11. h3 e:d4!
(XIV p. meczu o mistrzostwo świata
br.) stoi obecnie nieco pod zna-
kiem zapytania.

9. ... Wf8—e8

Czarne lawirują, przedstawiając po-
sunięcia (najprecyzyjniejsze rzekomo
9. ... e : d4) i pragną zapewne za-
chęcić białe do zboczenia z najbar-
dziej utartych szlaków, np. ruchem
10. d5!? Ale Byrne nie daje się
„sprowokować“...

- | | |
|--------------|---------|
| 10. Wf1—e1 | a7—a5 |
| 11. Gc1—e3 | e5 : d4 |
| 12. Sf3 : d4 | Sd7—c5 |
| 13. Hd1—c2 | a5—a4 |

Nowa idea, wprowadzona do prak-
tyki turniejowej przez Hellera w
znanej partii przeciw Botwinnikowi
(Budapeszt, 1952). Czarne uwalniają
d'a swego hetmana pole a5, gdzie bę-
dzie on stał pewniej, niż na b6 i ew.
grożą w odpowiednim momencie
a4—a3, lub manewrem Sf6—d7—e5
i Hb4.

- | | |
|------------|--------|
| 14. Wa1—d1 | Hd8—a5 |
| 15. f2—f4 | |

Analogiczny plan przeprowadził
Botwinnik w cytowanej partii z Hel-
lerem, nie jest on jednak najsilniej-
szy. Na podstawie partii Nowotel-
nów — Lilienthal (XX Championat
ZSRR, Moskwa 1952). Bolesławski
autorytatywnie uważa tu za najlep-
sze 15. Gf4! Gf8. 16. Sf3, Ge6 (mo-
że lepsze 16. ... Wd8). 17. G:d6, G:c4
18. G:f8, W:f8. 19. e5, Sf—d7. 20. Wd4
i jego zdaniem białe stoją znacznie
lepiej. Białe zapewne nie znalazły tej

partii, ciekawe jednak, jakie wzmocnienie miał tu przygotowane Kotow?...

W partii Reshevsky — Bronsztajn (Turniej Kandydatów, Szwajcaria, 1953) nastąpiło w identycznej pozycji (powstałej z przestawieniem posunięć!). 15. Sd—e2? i po 15. ... Sf—d7! czarne przejęły inicjatywę (16. W:d6, Se5! np. 17. b3, a:b3. 18. a:b3, G:h3! 19. G:h3, Sf3+. 20. Kf1, S:e1. 21. K:e1, S:e4!).

15. ...	Gc8-d7
16. Ge3-f2	We8-e7
17. g3-g4	Wa8-e8

Falanga białych pionów pozornie wygląda groźnie, ale nacisk na e4 daje czarnym równą szansę, jak zresztą wykazała m. in. wzmiankowana już partia Botwinnik — Heller.

18. f4-f5.

Konsekwentnie, ale nieco przedwczesne, należało raczej wpierw zagrać 18. a3!

18. ... g6:f5.

Groziło oczywiście 19.g5, Sh5, 20. f6.

19. Sd4:f5.

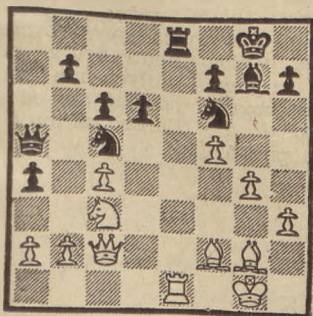
19. e:f5, W:el+. 20. W:el, W:el+. 21. G:el wobec 21. ... a3! (22. b3? Sf-e4!) nie było wiele lepsze

19. ... Gd7:f5.

20. e4:f5 We7:el+.

21. Wd1:el?

To już jest poważniejszym błędem, który czarne pięknie wykorzystają. Należało grać 21. G:el! z prawie równą partią.



21. ... a4-a3!

Tego ruchu białe nie doceniły. Pozycja skoczek c3 zostaje teraz nieprzyjemnie poderwana.

22. g4-g5?

Dopiero to ostre posunięcie okaże się jednak rozstrzygającym błędem. Należało pogodzić się z losem grając 22. b3, W:el+. 23. G:el, Sf-e4. 24. G:e4! (nie 24. S:e4? H:el+. 25. Kh2, Ge5+ albo 25. Gf1, S:e4) S:e4. 25. H:e4! G:c3. 26. G:c3, H:c3. 27. Hg2! Hal+. 28. Kh2, Hb2. 29. Kg3 z trudną, ale prawdopodobnie możliwą jeszcze do utrzymania końcówką hetmańską.

22. ... a3:b2!!

Straszna niespodzianka!

23. g5:f6.

Wyboru nie ma; po 23. H:b2? W:el+. 24. G:el, Sf-e4 traciły białe figurę (25. f6, Sd3! 26. He2, S:el!), a po 23. W:e8+, S:e8. 24. f6 nastąpiłoby 24. ... H:c3!

23. ... We8:el+.

24. Gf2:el, Ge7:f6.

Na razie mają czarne tylko dwa piony za figurę, ale dzięki groźbie 25. ... G:c3. 26. G:c3, H:c3! 27. H:c3, bl, H+ natychmiast ją odbierają, pozostając z pionem więcej.

25. Hc2:b2,

Nie ma nic lepszego.

25. ... Sc5-d3,

26. Hb2-e2 Sd3:el,

27. He2:el, Gf6-d4+,

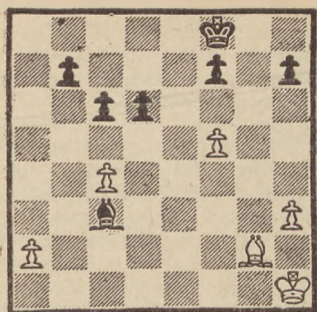
28. Kgl-h1 Kg8-f8,

Skoczek nie ucieknie...

29. Hel-d2, Ha5:c3,

30. Hd2:c3, Gd4:c3.

W wyniku głębokiego i efektownego manewru czarnych, zapoczątkowanego 22. posunięciem, wytworzyła się obecnie bardzo interesująca końcówka, godna dodatkowego diagramu:



Czarne mają piona więcej i lepszą konfigurację pionów, atutem białych jest wielka remisowa siła różnobarwnych gońców. Warto uważnie prześledzić, w jak prosty i pouczający sposób Kotow realizuje swą przewagę.

31. Ge2-f3, Kf8-e7,
32. Khl-g2, Ke7-f6,
33. Gf3-h5, Kf6:f5!
34. Gh5:f7, Kf5-e4.

Król czarny zajął dominującą pozycję i białe skazane są wyłącznie na defensywę. „Kontratak“ 35. Ge6, Kd3 (grozi Kd3-c2-b2:a2). 36. Gc8? K:c4 dałby czarnym rozstrzygającą parę związanych wolnych pionów.

35. Kg2-f2, Ke4-d3,
36. Gf7-e6, h7-h6.

Oczywiście nie 36. ... Kc2? 37. Gf5+.

37. Kf2-f3, Gc3-e5.
38. Kf3-f2, Ge5-f6,
39. Kf2-f3, Gf6-g5,
40. Kf3-f2, Gg5-h4+,
41. Kf2-f3, Gh4-g5.

Do kontroli czasu czarne naturalnie lawirują, nie forsując pozycji, aby w domowej analizie spokojnie wynaleźć zwycięski plan.

42. Kf3-f2, h6-h5,
43. Kf2-g3, h5-h4+,

44. Kg3-g4, Ge5-d8.
45. a2-a4.

Wzmocniewszy swą pozycję czarne groziły już przerwaniem króla na b4 wraz z c6-c5 i Kb4-a3:a2 itd.

45. ... Kd3-d4,
46. a4-a5, d6-d5!!

Początek decydującego manewru.

47. c4:d5, c6-c5!
48. Ge6-c8, c5-c4!

Pointe'a! Białe nie mają czasu bić na b7 wobec 49. ... c3 i pion „c“ ucieka.

49. Kg4-f3, Gd8:a5!

Grozi znów 50. ... c3, n. p. 50. G:b7? c3. 51. Ke2, c2! itd. Czarne osiągnęły zatem wreszcie swój cel: dwa związane wolne piony.

50. Kf3-e2, b7-b5,
51. d5-d6, b5-b4,
52. Ke2-d1, b4-b3,
53. Kd1-cl, Kd4-c3,
54. Gc8-f5.

Białe przypuszczalnie liczą jeszcze na to, że uda im się oddać gońca i piona d6 w zamian za czarne piony „b“ i „c“, o ile czarne zbyt lekko-myślnie dadzą im taką okazję, a następnie uciekną królem do zbawczego rogu!h1 i remis!... Ale są to już tylko złudzenia...

54. ... Ga5-d8,
55. Kcl-bl, Gd8-g5,
56. d6-d7, Kc3-b4,
57. Gf5-g4, c4-c3,
58. Gg4-f5, Kb4-c5.

i białe poddały się. Czarne zbliża się królem do piona h3, następnie zagrają c2+ i po wymuszonym oddaniu przez białe gońca — zniszczą piona h3 i wygrają swym ostatnim pionem, goniec neutralizuje piona „d“, a królowi białych nie wolno niestety zbyt oddalić się od pionów „b“ i „c“. Bardzo zajmująca i zacięta partia.

Miesięcznik „W Obronie Pokoju“ ukazuje się dotychczas w następujących krajach:

FRANCJA: „Defense de la Paix“ 33, rue Vivienne, Paris 2.

Prenumerata: rocznie — 600 fr., półrocznie — 300 fr.

ZSRR: „W Zaszczitu Mira“, Moskwa, ul. Krapotkina 10.

BULGARIA: „Zaszczita na Mira“, Sofia, Ivan Vazov 27.

WŁOCHY: „La Pace , Rassegna internazionale del mese“,
Roma, Via Savoia 82.

MEKSYK: Revista „Paz“, Mexico 1, D. F., Avenida Jaurez 20.

CHINY: „Pao Wei Ho Ping“, Pekin, Taichichang 9.

NRD: „Friedenswacht“, Berlin W 8 Taubenstrasse 1-2.

NIEMCY ZACHODNIE: „Friedenswacht“, Stuttgart 0 —
Heinrich-Baumannstrasse 27.

JAPONIA: „Haiwa Yogo“, Japan Peace Committee 28.
Tamach, Bunkyo-ku, Tokio.

RUMUNIA: „In Apararea Pacii“, Revista Lunara Bucuresti,
str. Polonia 19.

BRAZYLIA: „Partidarios da Paz“. Rua Sao Jose No 50,
Sala 502, Rio de Janeiro.

KANADA: „Peace Review“, 82 Gould St., Toronto.

FINLANDIA: „Tanaan“, 15/17 Erottajankatu, Helsinki.

IRAN: „Defae Az Solhe“, av. Ferdowsi Teheran.

INDIE: „Peace Review“. 14. Munshi Niketan, Kamla Market,
New Delhi (India).

W obronie POKOJU

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę miesięcznika „W Obrońce Pokoju“ są przyjmowane:

Na okresy kwartalne: do dnia 10-go grudnia na I kwartał, do dnia 10-go ~~marca~~ marca na II kwartał, do dnia 10-go ~~grudnia~~ czerwca na III kwartał, do dnia 10-go września na IV kwartał.

Na okresy półroczne: do dnia 10-go grudnia na I półrocze, do dnia 10-go czerwca na II półrocze.

Na okres roczny — do dnia 10-go grudnia.

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy.

Reklamacje prosimy kierować do P. P. K. „Ruch“ — Warszawa, ul. Srebrna 12.

